

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XLIV.

ROK XI.

TOM IV. — ZESZYT II.

Listopad.

WARSZAWA.

Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1886.

SPIS RZECZY.

I. PROLETARYAT WIEJSKI I ZAPOWIEDZIANE POŻYCZKI DLA WŁOŚCIAN Z FUNDUSZÓW UŻYTECZNOŚCI OGÓLNEJ. Przez *H. Wiercieńskiego* . . 193
II. PIERWSZA CZĘŚĆ FAUSTA. Przez *Walerego Gostomskiego* 201
III. SEJM CZTEROLETNI W OPRACOWANIU KSIĘDZA KALINKI. Przez *Tadeusza Korzona* 230
IV. MIŁOŚĆ W OPAŁACH. Powieść z dziejów Kroacyi. Przez *T. T. Jeża* (Ciąg dalszy). 243
V. WYJĄTKOWE PRAWA SZKOLNICZE DLA W. Ks. POZNAŃSKIEGO, PRUS ZACHODNICH I CZĘŚCI SZLĄZKA GÓRNEGO. Przez *W. S.* 288
VI. SZKOŁY HISTORYCZNE W POLSCE. (Główne kierunki poglądów na przeszłość). Przez *Wład. Smoleńskiego* 297
VII. POWIEŚĆ SPÓŁCZESNA WE FRANCYI. Przez *Kazimierza Waliszewskiego* 333
VIII. ZARAZA MORALNA. Studyum psychologiczno społeczne przez *J. W. Dawida*. Ocenił *F. Kr.* 349
IX. OSTATNIA POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z. KACZKOWSKIEGO. Ocenił *Piotr Chmielowski*. 356
X. ROZBIORY, SPRAWOZDANIA I WRAŻENIA LITERACKIE.
Monumenta Poloniae historica. Pomniki dziejowe Polski tom IV, wydany nakładem Akademii umiejętności w Krakowie, opracowany przez członków lwowskiej komisyi hist. tejże akad. Ocenił *Dr. A. Prochaska* 364
XI. Wrażenia literackie. 370
XII. KRONIKA MIESIĘCZNA p. *Ludwika Straszewicza* . . 373
XIII. OGŁOSZENIE KONKURSU. 384
XIV. SPROSTOWANIE . . . . —

Druk ukończono 2 Listopada 1886 r.



PROLETARYAT WIEJSKI
I ZAPOWIEDZIANE POŻYCZKI DLA WŁOŚCIAN
Z FUNDUSZÓW UŻYTECZNOŚCI OGÓLNÉJ.

Niektóre pisma krajowe podniosły w ostatnich czasach kwestyą bezrolnéj, lub skąpo uposażonéj ludności wiejskiéj. Zaliczywszy ją do proletaryatu, i jako taki traktując, doszły do wniosków nie zawsze zgodnych z rzeczywistym stanem rzeczy. Projektowany użytek „funduszu użyteczności ogólnéj“ nie znalazł również u nich aprobaty, z powodów nie tyle może pogwałcenia praw dyspozytorów funduszu, ile z mniemanéj bezskuteczności środka.

Ważność sprawy, zainteresowanie się nią ogólne, nie pozwalają i nam pominąć jéj milczeniem; tém więcéj, że w téj nierozjaśnionéj dotąd kwestyi przyjrzenie się jéj wszechstronne bardzo jest pożądane.

Ażeby uzyskać swobodę dyskusyi, pomijamy kwestyą prawowitości użycia wspomnianego funduszu, która to kwestya rozebrana zresztą została nieco dawniéj w „Gazecie Rolniczéj“ (1883, N. 39), nie wiele pono pozostawiając do dalszego roztrząsania. Natomiast, chcemy przyjrzéć się sprawie ze strony utylitarnéj, ze strony pożytku, jaki rokuje dla kraju wypuszczenie kilku milionów rubli pomiędzy ludność wiejską,—jakie korzyści obiecywać sobie po tém użyciu kapitału możemy, lub jakie szkody nam grożą.

Wiadomo, że władze wyższe postanowiły „fundusz użyteczności ogólnéj“, zebrany z oszczędności Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, a wynoszący jakoby około 3 milionów rubli, obrócić na pożyczki dla włościan, celem ułatwienia im nabywania na własność przestrzeni dworskich. Projekt ten spotkał w prasie zarzuty nie tylko co do sposobu jego urzeczywistnienia, ale i co do saméj zasady. Pomiędzy innemi zarzutami spotkaliśmy i te, że przez zwiększenie po-

siadłości włościańskich ubędą ręce do pracy, których posiadłość większa tak bardzo potrzebuje, że pożyczka, udzielona wydziedziczonym, bezrolnym, pomocy rzeczywistéj im nie przyniesie, bo ciężar gniotącego ich długu, zaciągniętego na kupno ziemi, przewyższy korzyści posiadania ziemi, i wyrodzi większy niż dziś proletaryat rolniczy; to znów, że część ludności wiejskiéj pozbawiona, z powodu zmniejszenia obszarów dworskich, możności spożytkowania pracy na służbie dworskiéj lub najmie, wytworzy nową gałąź proletaryatu, który już i dziś, pomimo tych zarobków, istnieje.

Samo przeciwieństwo zarzutów wykazuje ich jednostronność. Przyjrzyjmy się im pokrótce.

Czy większa posiadłość może stracić robotnika? Myśl o téj ewentualności słusznie rodzi obawy w szeregach większych właścicieli. Obawy te wszakże pochodzą z niedostatecznego poznania rzeczy. Postaramy się to zdanie nasze usprawiedliwić.

Cyfry statystyczne przekonywają, że żaden może kraj w Europie nie jest tak hojnie uposażonym w ludność rolniczą, jak właśnie nasz. Kiedy we Francyi przypada na głowę ludności rolniczéj 5,30 morgów przestrzeni, a w Prusach 3,60 morgów, — tedy w Królestwie Polskiém wypada zaledwie 2,73 morgi ziemi uprawnéj, łącznie z łąkami na tekąż samą jednostkę ludności. Jeżeli w owych krajach para rąk wystarcza do obrobienia $3\frac{1}{2}$—$5\frac{1}{2}$ morgów, powinna wystarczyć i u nas; z tego względu, poniekąd już zupełnie wszystko jest jedno, czy między ludność rolniczą rozdzieloną będzie ziemia w taki lub inny sposób: bo zbywający czas jednych może być spożytkowanym na gospodarstwach innych, potrzebujących pomocy rąk sąsiadów. Małorolni właściciele, jacy z biegiem czasu wytwarzać się muszą, o ile ścieśnienia prawne nie staną na przeszkodzie do równego podziału ojcowizny,—są nawet najpożądańszym i poważnym bardzo elementem robotników folwarcznych, czego przykład mamy już dziś na tak zwanych noworolnikach,— owych obdarzonych po roku 1864 służących dworskich. Braku robotnika w ciągu roku nie doświadczają i dziś gospodarstwa nasze; zdarza się on jedynie w pewnych chwilach tylko, jak we żniwa, przy sprzęcie roślin okopowych, lub pieleniu buraków,—kiedy roboty te wykonanemi być muszą w krótkim i ściśle ograniczonym czasie, a wypływa to nie tyle z liczebnego niedostatku robotnika, ile z natury samych robót, nie cierpiących zwłoki, czułych na zmiany atmosfery i naglących do pośpiechu. Nie podobna dla tych robót powiększać stałéj służby folwarcznéj; więc małorolny sąsiad-włościanin, przywiązany do ziemi, przychodzi wtedy z pożądaną pomocą, im zaś jest liczniejszym, tém dla większego gospodarstwa lepiéj.

A jeszcze jedna uwaga. Przez uprzedaż pewnéj przestrzeni własności większéj bezrolnym włościanom, niechaj ubędzie pewna ilość rąk roboczych, obsługujących przedtém przestrzenie dworskie; to przecież jednocześnie z tym ubytkiem pracowników ubywa i przestrzeni dworskiéj, która w ich ręce przechodzi: zmniejsza się zapotrzebowanie najemnéj pracy i czeladzi dworskiéj, co razem wzięte, w zupełności równoważy inny niż dawniéj podział własności ziemskiéj, skoro rąk roboczych bynajmniéj przy tym nowym podziale nie ubywa.

Więcéj może niebezpieczeństwa przedstawiałaby owa parcelacya dla interesów dzisiejszych wyrobników wiejskich, czy to stałych służących, czy najemników dziennych, żyjących wyłącznie z zarobków po dworach. Niebezpieczeństwo to byłoby rzeczywiście poważném, gdyby wykup ziemi dworskiéj zastosowanym był na wielką skalę. Fundusz jednak, przeznaczony na wykup ziemi dworskiéj, wynosi zaledwie 0,3% jéj obecnéj wartości, gdybyśmy ją jak najtaniéj nawet szacować chcieli. Taki stosunek nie może wywołać przesilenia w tym kierunku, ile, że i część ludności, o któréj w téj chwili mówimy, znalazłaby upust w nowozakładanych osadach, powstałych z parcelacyi.

Nie znajdujemy tedy powodu do przypuszczania jakichkolwiek strat zarówno dla większéj własności, jak i dla jéj otoczenia. Natomiast wiele względów przemawia na korzyść projektowanego spożytkowania „funduszu użyteczności ogólnéj."

Najpierwszym jego wynikiem będzie niejakie podniesienie cen ziemi. Owa nieznaczna na pozór suma około 3 milionów rubli, któréj doniosłość nie wieleśmy szacowali, gdy była mowa o jéj wpływie na zmniejszenie zarobku po dworach, może być bardzo doniosłą w skutkach przy przechodzeniu z rąk do rąk własności ziemskiéj. Ten różny jéj wpływ tłómaczyć się daje tém, że kiedy zmniejszenie 0 $^1/_3$% przestrzeni folwarcznéj jest tak małém, że go robotnik wiejski odczuć nie powinien, bo zawsze jeszcze 99 $^2/_3$% pozostałych folwarków potrzebuje jego pracy i bez niéj się nie obejdzie,—to nie w tym samym stosunku znajduje się liczba folwarków do sprzedania. Więc na te, które sprzedaży ulegną, i niewielka konkurencya owych paru milionów może wpłynąć bardzo skutecznie i cenę ziemi podnieść. Nie potrzeba być na to prorokiem, ażeby skutek podobny przewidzieć. Dostarczony tani kredyt (jak dotąd kredyt Tow. K. Z.) wpływa zawsze korzystnie na wzrost cen ziemi, nie może więc i w tym razie pozostać bez skutku.

Zaprzeczyć jednak niepodobna, że na częściowéj téj parcelacyi straci większa własność część swéj posiadłości nieruchoméj, na ko-

rzyść drobnéj posiadłości. Czy to będzie z pożytkiem dla gospodarstwa społecznego — nie śmiemy twierdzić. Ale skoro powszechne obdłużenie, wobec niezbyt pomyślnych widoków dla gospodarstw rolnych, zmusza znaczną część ziemian do likwidacyi; gdy likwidacya ta dokonywa się w najgorszych dla nich warunkach, przy pomocy kapitałów, użyczonych przez lichwiarzy, na których zyski i sprzedający i kupujący składać się muszą; gdy dążność do rozpadania się większych posiadłości na drobne gospodarstwa jest zjawiskiem powszechném i objawia się niezależnie od ułatwionéj pomocy kredytowéj, która się jeszcze nie urzeczywistniła; toć lepiéj, zarówno dla sprzedających jak i kupujących, że zmiany w ustroju stosunków własności odbędą się z najmniejszemi dla stron interesowanych stratami i nie spowodują przesileń. Pomoc więc kredytu państwowego, za nią wzrost konkurencyi nabywców i cen na ziemię, pożyteczne tylko skutki przynieść mogą.

Według tego, cośmy wyżéj powiedzieli, interesa większéj własności ziemskiéj bynajmniéj nie ucierpią z powodu utworzenia kredytu, mającego za zadanie rozszerzyć teren drobnych gospodarstw. Wreszcie nawet wyłącznie z jéj stanowiska, można powiedziéć, że skoro już niepodobna odwrócić naturalnego prądu rozdrabniania się własności ziemskiéj, kredyt projektowany ten tylko będzie miał skutek, że pozwoli dokonać jéj w korzystniejszych niż obecne warunkach. Gdyby zaś w bliższéj lub dalszéj przyszłości nadeszła chwila sprzyjająca rozwojowi większych gospodarstw i wywołała dążność do skupienia się ziemi w większe posiadłości,—same one naturalném ciążeniem znów zrastać się będą, jak to miało już miejsce przed 40-ma z górą laty, kiedy drobno-szlacheckie parowłókowe posiadłości wsiąkały w rozległe sąsiednie folwarki lub skupiały się w jednych ręku.

Jeżeli ze stanowiska interesów większéj własności moglibyśmy miéć jakiekolwiek wątpliwości co do skutków zapowiedzianego kredytu i pozory ich niekorzyści, — tedy taż sama kwestya, ze stanowiska interesów téj ludności, dla któréj kredyt ów jest przeznaczonym, potrzebuje również niejakiego wyjaśnienia.

O ile wiadomości nas dochodzą, pożyczki na zakup ziemi dworskiéj udzielane być mają włościanom bezrolnym lub małorolnym, posiadającym własność ziemską mniejszą od 3 morgów. Rozległość pojedyńczych działek, jakie wytworzyć się mają z owego zakupu, mają nie przechodzić 6 morgów, wykazanych jako norma przestrzeni niezbędna do samodzielnego utrzymania rodziny. Fundusz, przeznaczony na pożyczki, przenosi 3 miliony rubli, które częściowo tylko w ciągu lat kilku spożytkowane być mają. Według oblicze-

nia jednéj z gazet, można z pomocą owego funduszu utworzyć w ciągu lat 10-ciu około 7,250 działek włościańskich, z ludnością około 30,000 głów. Ponieważ fundusz ten byłby wypożyczanym tylko i służył bez przerwy do wykupywania nowych przestrzeni, przeto ludność, w ten sposób bonifikowana, wzrosłaby w ciągu lat 100 do 300,000 głów, czyli 6% dzisiejszéj ludności rolniczéj.

Z zestawienia cyfr tych okazuje się, że fundusz pożyczkowy jest bardzo ograniczony, w porównaniu do potrzeb ludności. Potrzebujących ziemi w chwili obecnéj nie można obliczać na podstawie cyfr z lat dawniejszych. Skutkiem śmierci obdarowanych włościan, mnóstwo ich spadkobierców pozostaje bez ziemi, chociaż rodziny ich liczą się do obdarowanych, ponieważ ich ojcowie byli obdarowani. Dzisiaj, osady, niedochodzące 12 morgów przestrzeni, są już niepodzielne i w takich razach jeden tylko ze spadkobierców pozostaje na ojcowiznie; reszta zaś rodzeństwa zadawalać się musi spłatą w pieniądzach, za które rzadko tylko może znaleść osadę, odpowiednią jéj środkom i pozostaje bezrolną, wydziedziczoną, podobnie jak służba dworska. Dołączając do niéj tę ludność, która, skutkiem przejść różnych, własność utraciła, możemy już na miliony liczyć rzesze bez ziemi, spragnione jéj posiadania niechętnie przerzucające się do innych zajęć, i dla których posiadanie kawałka ziemi jest szczytem marzeń. Cóż im ta mała sumka obiecuje? Oto, że zaledwie nieznaczna ich cząstka z pożyczki téj skorzysta.

Cokolwiekbądź, dobre i to na początek, a ludność krajowa nie może przyjąć projektu rządowego inaczéj, jak z zupełnem uznaniem. Działalność projektowanego banku włościańskiego, czy jak tam nowa instytucya nazwaną zostanie, jakkolwiek nie zaspokoi wszystkich potrzeb, nie pozostanie bez śladu i bez pożytku.

Pożytek ten odczuć się da jeszcze i we wpływie na stopę procentu, przez rolników obecnie opłacanego. Włościanin, nabywający ziemię za pożyczone pieniądze, opłaca od nich 30 — 36% rocznie, w jedynych dzisiejszych na ten cel instytucyach kredytowych — to jest u lichwiarzy małomiasteczkowych. Bywają wypadki, że tacy spekulanci kupują folwarki na parcelacyą, odprzedają częściami chłopom na tak zwaną „spłatę“, w którą oblicza się szacunek ziemi wraz z 30—36% za czas kilkoletni, i to wszystko rozkłada na raty, w ciągu lat kilku przez nabywców spłacane. Tam, gdzie ziemia płaci się 60—75 rubli za morgę, chłopi płacą kapitaliście przez lat 6 po 150 rubli za działkę 6-morgową, czyli że w miejsce 360—450 rubli, spłacają 900 rubli. Dla takich pożyczka będzie prawdziwém dobrodziejstwem, bo ich ze szpon lichwy oswobodzi; dla innych o tyle się do obniżenia stopy procentu przyczyni, o ile włościanin będzie miał

w banku swoim rezerwę i nie na lichwiarzu wyłącznie środki nabycia ziemi opierać będzie zmuszony. Z rozwojem instytucyi może przytém działalność jéj być rozszerzoną, czy to za pomocą emisyi obligów, czy listów zastawnych, lub tym podobnych znaków obiegowych, które tém potrzebniejszemi się okażą, że nie tylko na kupno gruntów dworskich, ale i na spłatę współsukcesorów włościanin pożyczki potrzebować będzie. Zaopiekowanie się interesami ludu, a szczególniéj włościan, każe się spodziewać, że podobne rozszerzenie działalności instytucyi kredytowych dla drobnych właścicieli nie należy do niepodobieństw,—a potrzeby tego ludu do jak najszybszego otworzenia takiego kredytu przynaglają.

Zarzucano także, że włościanin nabywający działkę sześciomorgową, musiałby przez lat kilka opłacać z niéj po 56 rubli, których z ziemi wyciągnąćby nie mógł. Jest-to rzecz bardzo względna. W ziemiach dobrych spłaci je z łatwością, w innych trudniéj mu to przyjdzie; ale ulga, jakiéj dozna, spłacając 56, w miejsce 150, i tak będzie znaczną, ażeby jéj zasługi odmówić można. Wreszcie przedłużając termin amortyzacyi pożyczki, można będzie raty coroczne obniżyć, gdyby to okazało się koniecznem.

Nie tykamy tu zresztą technicznéj strony projektowanych banków. Sądzimy, że niedługa praktyka wskaże im najlepsze drogi działania i dopomoże najskuteczniéj nie tylko do ustosunkowania czasu amortyzacyi, ale także i unormowania wysokości pożyczki. Wnosząc jednak z tego, co widzimy dokoła siebie, należy mniemać, że pożyczka, udzielana bodajby w granicach mnożnika 80 podatku gruntowego, będzie silną dźwignią i pomocą dla włościan nabywców. Gdy jednak obok takiéj pożyczki, reprezentującéj mniéj więcéj jednę trzecią szacunku ziemi, potrzeba będzie nabywcy uiścić resztę szacunku, postawić budowle, zaprowadzić inwentarze, a niekiedy i zasiewy, o pożyczkę tę będą mogli się ubiegać jedynie tacy włościanie, którzy i swego mienia cośkolwiek posiadają,— a do korzystania z jéj dobrodziejstw staną nie najubożsi, wydziedziczeni, proletaryat, jak ich niektórzy nazywają,—lecz posiadacze albo gospodarstw własnych w sąsiedztwie lub drobnych kapitałów. Pierwsi przedstawiając bezpieczeństwo pożyczki, niezbędnéj dla dopełnienia sumy szacunkowéj, wolni od potrzeby stawiania nowych budowli; drudzy, zasobni we własne kapitaliki, będą zawsze mieli pierwszeństwo przed innymi, bo posiadają przewagę środków. Wydziedziczeni i ubodzy będą i nadal mieli najmniéj szans wyjścia z dotychczasowego położenia—chociaż intencye twórców projektu ich przedewszystkiém miały na myśli.

Jeszcze słów parę o użyciu nazwy „*proletaryat*“, z jaką spotykaliśmy się w ostatnich czasach. Pod tę rubrykę podciągnięto lu-

dność wiejską bezrolną i małorolną. Zdaje się to nam być nadużyciem wyrazu. Bezrolny włościanin, dokąd ma zapewniony całoroczny zarobek, a do téj kategoryi należy przedewszystkiém stała służba dworska, nie może być zaliczony do proletaryatu. Gdybyśmy wszystkie klasy pracujące, a nieposiadające własności nieruchoméj, do proletaryatu zaliczać chcieli, byliby w tym szeregu urzędnicy, lekarze, inżynierowie, adwokaci, uczeni i t. d., o ile tylko nie posiadaliby własności nieruchoméj. Takiego jednak rejestru układać niepodobna. I tu więc proletaryatu, w ścisłém słowa znaczeniu, prawie nie ma. Zarobek, jaki gospodarstwa większe, lub zamożniejsze dają ludności wiejskiéj potrzebującéj pracy, rozkłada się pomiędzy nią dość jednostajnie. Apatya i wrodzone Słowianinowi lenistwo, o ile nie zmusza go do pracy konieczność, ułatwiają zresztą ten równy rozdział zarobków; bo gdy chłop zarobi tyle, że ma na pierwsze potrzeby najbliższéj chwili, niechętnie szuka zarobku, pozostawiając go tém samém innym, potrzebniejszym.

Nie stąd téż grozi chłopu naszemu widmo pauperyzmu. Źródła jego szukać trzeba w przymusowém obdłużeniu, do jakiego doprowadza go prawo o niepodzielności osad włościańskich i konieczność spłacania współspadkobierców. Wobec tego, co pokolenie dług osady wzrasta; jeżeli syn odziedziczy przeciętnie $1/3$ osady, wnuk już $1/9$, a na resztę jeden i drugi zadłużać się musi i pozostaje tytularnym zaledwie właścicielem tak samo, jak dzięki fałszywie zrozumianemu interesowi własności większéj i niepodzielności hypoteki, nikt dziś, prócz ordynatów, nie siedzi na ziemi ojczystéj, — a jeżeli jeszcze pozostał, dźwiga brzemię długów, które go prędzéj lub późniéj zgniecie. Tu tedy potrzeba taniego kredytu i w tę stronę inicyatorowie banków włościańskich winni baczniejszą zwrócić uwagę, jeżeli realne interesa ludności wiejskiéj mają na względzie. Skoro pewne względy polityczne zaprowadziły porządek, ustanawiający niepodzielność osad włościańskich i porządek ten zmienionym być nie może, niechajby przynajmniéj posiadacz osady znalazł środki do wykonania tego prawa bez ruiny. Ziemia, jaka pozostaje w ręku włościan, daje zupełną gwarancyą dla wszelkich pożyczek, które dla spłaty współspadkobierców zaciągniętemi być by mogły; osobnym regulaminem możnaby zastrzedz dla tych pożyczek pierwszeństwo hipoteczne i zorganizować instytucyą kredytową na ten cel jedynie. Jeżeli tedy interes ludności wiejskiéj był pobudką do użycia funduszu użyteczności ogólnéj na pożyczki dla włościan, celem powiększenia ich posiadłości,—tenże sam interes domaga się instytucyi, któraby dopomogła téj saméj ludności w sprawie jeszcze naglejszéj, bo w sprawie zabezpieczenia jéj tego, co już posiadła, i dała środki na

spłaty peryodyczne spadkobierców osady, w pożyczkach amortyzujących się choćby w okresie 25-letnim i niskim obłożonych procentem. Zapewniwszy spłatę peryodyczną należności drogą administracyjną, nie byłoby trudności do rozszerzenia skali pożyczki do $^2/_3$ wartości osady i wyrugowania lichwiarzy, wysysających dziś ludność wiejską.

Lat 20 nie minęło jeszcze od wprowadzenia w wykonanie ukazu o uwłaszczeniu włościan, a trudno już znaleść osadę włościańską, którąby nie była obciążoną długiem. Jest-to przedsmak tego, co je w dalszéj przyszłości czeka, gdy działy coraz drobniejsze nastaną. Sprawa to ważna, lekceważyć jéj nie może nikt, komu idzie nie tylko o los téj ludności, ale i o losy kraju. Wiszące nad nią widmo nędzy może ją zepchnąć naprawdę w szeregi proletaryatu, a rozrost tego żywiołu z pewnością ani tym, co się do niego przyczynili, ani tym, co byli niemymi jego świadkami, na pożytek nie wyjdzie.

H. Wiercieński.





PIERWSZA CZĘŚĆ FAUSTA.

STUDYUM LITERACKIE.

III. **Tragedya miłości.**

Przystępuję teraz do ustępu tragedyi, który ze wszystkich największą cieszy się popularnością.

Przyczyną tego jest przedewszystkiém sama natura przedmiotu. Niekażdy może zrozumiéć owe tytaniczne dążenia Fausta, lub ocenić subtelną ironią i głęboką satyrę Mefistofela,—ale któż nie zrozumie uczuć zawartych w epizodzie Małgorzaty, przedstawionych z taką siłą i prawdą, a przytém w tak uroczo pięknéj formie? Następnie, epizod ten zawiera daleko więcéj rzeczywistéj, zewnętrznéj akcyi niż poprzednie sceny. Tam sytuacya dramatyczna jest wynikiem wewnętrznéj kolizyi uczuć i dążności,—tutaj zewnętrznych czynów i zdarzeń: naturalną jest zaś rzeczą, iż ta ostatnia, jako bardziéj zewnętrzna plastyczna, żywiéj musi przemawiać do wyobraźni. Wreszcie, zauważę tu nawiasem, iż niemało się przyczyniła do spopularyzowania tego ustępu poematu opera Gounoda, jedno z najpiękniejszych arcydzieł muzyki, w którém znakomity kompozytor w cudnéj formie i z porywającą siłą ekspresyi wyraził główne uczuciowe motywa miłości Fausta i Małgorzaty.

Już z powyższych uwag wypada, iż istnieją wybitne różnice pomiędzy epizodem Małgorzaty a tém, co go poprzedza. Rzeczywiście, epizod ten stanowi w pewnéj mierze odrębną całość poetycką, która, jak się to niżéj okaże, łączy się ściśle z główną osnową poematu, niemniéj jednak w swoim zakresie posiada pewną samoistność. Główną bohaterką jest tu oczywiście Małgorzata: około niéj skupia się cały dramatyczny interes, jéj urocza postać najplastyczniéj występuje na tle akcyi, jéj miłość, cierpienie, upadek najsilniéj przema-

wiają do serca i wyobraźni, wreszcie charakter jéj jest tu zupełnie i wszechstronnie rozwinięty, stanowi poetyczną kreacyą całkowicie wykończoną.

Nastręcza się tu przedewszystkiém pytanie: jaką w ogóle rolę odegrywa Małgorzata w poemacie—jakie jéj znaczenie w rozwoju zasadniczéj jego osnowy? Ażeby to pytanie rozwiązać, musimy sobie uprzytomnić główne, poprzednie momenty akcyi.

Na początku tragedyi, w wielkim monologu widzieliśmy Fausta pogrążonego w rozpaczy, wskutek niemożności zaspokojenia pragnień wiedzy i szczęścia, w dążeniu do których streszcza się cała psychiczna jego istota. Badania i spekulacye naukowe nie odkryły przed nim prawdy, a odciągnąwszy go od rzeczywistego życia, pozbawiły możności doświadczenia nawet tego względnego szczęścia, jakie człowiek może znaleść w chwilowém choćby zaspokojeniu pragnień zmysłowo-uczuciowéj strony swego jestestwa. Faust, zapatrując się na ogół objawów życiowych ze stanowiska abstrakcyjnego myśliciela i widząc w nich wszędzie ogromną przewagę cierpienia, nie poznawszy zaś w swém własném doświadczeniu piękniejszych stron życia,—musiał dojść do ostatecznego zwątpienia o możliwości znalezienia w niém prawdziwego szczęścia. To zwątpienie w połączeniu z utratą wiary we wszelką wiedzę ludzką jest przyczyną rozpaczliwego nastroju jego duszy.

W takim stanie uczuć znajduje go Mefistofel. Zadanie tego ostatniego, w konsekwencyi właściwego mu negacyjnego stanowiska w obec wszelkich objawów działalności ludzkiéj,—polega na odciągnięciu Fausta od wyższych dążeń i pogrążeniu go w duchowéj apatyi i martwocie. W tych widokach zużytkowywa on niezaspokojone pragnienia wysoce rozwiniętéj zmysłowo-uczuciowéj natury Fausta: ostatecznie zohydza w jego oczach wiedzę i naukę, w rozkoszach życia wskazuje mu źródło prawdziwego szczęścia, zamierzając uwięzić na zawsze duchową jego siłę w bezdusznéj apatyi używania i w dzikich namiętnościach zmysłowych. Dla dopięcia tego celu używa Mefistofel popędów zmysłowéj miłości, téj najwyższéj rozkoszy, do jakiéj zdolną jest cielesna natura człowieka i dlatego wplątuje Fausta w stosunek miłosny z Małgorzatą. Ale tutaj właśnie duch przeczenia okazuje swój fałszywy bo jednostronny pogląd na życie i dla tego w postępowaniu swojém błądzi i wprost przeciwne zamierzonym osiąga rezultaty.

Zapatrując się wyłącznie z ujemnéj strony na wszelkie wyższe objawy życiowe, widzi on w miłości płciowéj jedynie pospolitą, zmysłową jéj stronę, nie dostrzega zaś i nie pojmuje wyższych jéj składowych żywiołów, skutkiem tego nie przypuszcza uszlachetniającego

jéj wpływu, widzi w niéj tylko środek opanowania duszy ludzkiéj przez dziką żądzę. Zobaczmy, jaka jest ta wyższa natura miłości i na czém polega dodatni jéj wpływ.

Miłość płciowa, w podnioślejszém i szerszém jéj pojęciu, to niezmiernie złożony kompleks uczuć, którego punktem wyjścia jest prosty popęd zmysłowy, a najdalsze ewolucyjne ogniwa sięgają w najwyższe sfery moralnéj natury człowieka. Zauważmy bowiem, iż podstawą wszelkiego moralnego rozwoju społeczeństwa jest odpowiedni rozwój uczuć altruistycznych,—zarodkową zaś postacią tych uczuć jest niewątpliwie popęd płciowy jako objaw dążności zachowawczéj gatunku, która to dążność, w swéj wyższéj i rozleglejszéj formie, jest także ostateczną treścią wszelkiego altruizmu. O ile więc w życiu społecznėm uczucia altruistyczne osiągnęły mniéj lub więcéj znaczny udział, muszą one przedewszystkiém wystąpić w téj sferze pojawów życiowych, która jest bezpośrednim produktem rozwinięcia prostego popędu płciowego, tj. w miłości płciowéj i wynikających z niéj uczuciach rodzinnych; stąd wynika, iż sfera stosunków płciowych i rodzinnych prędzéj niż wszelkie inne stosunki życia otrzymuje przez udział altruizmu wyższy moralny charakter. Stosunek miłosny dwojga ludzi, stojących na pewnym stopniu moralnéj kultury, nie może się opierać wyłącznie na prostym zmysłowym popędzie; wyższego porządku uczucia, określające ich moralną istotę, znajdują w tym stosunku swój wyraz i nadają mu szlachetniejszy charakter. Główny udział w tym uszlachetniającym wpływie przypada kobiecie: w obecnym bowiem ustroju społecznym rola jéj życiowa ograniczona jest prawie wyłącznie do sfery stosunków rodzinnych; naturalną jest więc rzeczą, iż w uczuciach, będących podstawą tych stosunków, wyraża się cała jéj psychiczna istota. Podczas gdy mężczyzna zużywa siły swéj duszy na rozległéj arenie ogólno-społecznéj działalności: kobieta wszystkie swe zasoby duchowe, całą treść swéj moralnéj istoty składa w stosunku miłosnym, podnosząc przez to niezmiernie jego etyczną wartość. Takim sposobem kobieta przez miłość oddziaływa dodatnio na moralny charakter mężczyzny.

Rozważmy teraz o ile Małgorzata, jako pewien typ niewieściéj natury, zdolną jest wywrzéć taki dodatni wpływ na Fausta.

Głównym rysem charakteru Małgorzaty jest siła miłości w najobszerniejszém i najwznioślejszém jéj pojęciu. Miłość, pełna poświęcenia i zaparcia siebie, uszlachetnia jéj postać i wznosi ją na wyższe stanowisko moralne. Ta okoliczność, iż miłość prowadzi ją do upadku, nie poniża moralnéj wartości jéj charakteru, nie świadczy o przewadze w jéj jestestwie zmysłowych popędów: bo najprzód nie ulega wątpliwości, iż upadek Małgorzaty, podobnie jak to najczęściéj bywa

w tego rodzaju zdarzeniach, nie tyle wynika ze zmysłowéj jéj natury, ile z nadmiaru miłosnego zaufania, z całkowitego oddania się ukochanemu, które sprawia utratę wszelkiéj siły odpornéj, wszelkiéj prawie samodzielności; następnie zaś, o ile nawet zmysłowość ma pewien udział w upadku Małgorzaty, wina jéj w téj mierze okupiona jest stokrotnie cierpieniem i dobrowolną pokutą, które świadczą o przewadze w jéj duszy etycznych żywiołów nad pospolitą zmysłowością. W ogóle bowiem pamiętać należy, iż moralna wartość człowieka nie polega na zupełnym braku niższych popędów w jego życiu psychiczném, gdyż to byłoby przeciwne naturze, lecz na dominującym wpływie w niém wyższych sił duchowych. Że w charakterze Małgorzaty te ostatnie siły przeważny mają udział, to okazuje nietylko podniosły charakter jéj miłości i fakt dobrowolnéj pokuty, lecz nadto cały ogół jéj cech moralnych: głęboka wiara i pobożność, prostota serca, szczera ufność, uczucia rodzinne i mnóstwo podobnych rysów, które w każdém jéj słowie, w każdém uczuciu tak wybitnie okazują w niéj doskonały, moralny typ natury prawdziwie kobiecéj.

Co do zewnętrznych, estetycznych cech Małgorzaty, grających tak ważną rolę w stosunku kobiety do mężczyzny: to czyż trzeba szeroko się rozwodzić, aby okazać, iż pod tym względem, jest ona cudném zjawiskiem. Kto raz przeczyta Fausta, nie może się oprzéć urokowi téj postaci: w każdém poruszeniu jéj umysłu, w każdém uczuciu, w każdém nieomal słowie i ruchu jest jakiś czar niewysłowionego wdzięku; jakiś niepochwytny powab miękkości niewieściéj. Jeśli wewnętrzne przymioty jéj duszy czynią ją doskonałym typem moralnéj natury niewieściéj, to, z drugiéj strony, niezrównana piękność i wdzięk wznoszą ją na wyżyny ideału estetycznego kobiecości.

A wszystkie te przymioty Małgorzaty, tak moralne jako téż estetyczne, podniesione są niezmiernie przez bijącą w oczy prawdę swych objawów. Całe jéj zachowanie wskazuje, iż nie ma w niéj ani odrobiny sztuki i fałszu, wszystkie jéj uczucia, czyny i myśli płyną z najgłębszych właściwości jéj psychicznéj istoty, są bezpośrednim objawem jéj czystéj i pięknéj natury.

Wreszcie zauważyć należy, iż cały sposób przedstawienia postaci Małgorzaty czyni ją nietylko tak typowém i piękném zjawiskiem, lecz nadto, przez umiejętne i wszechstronne nagromadzenie różnorodnych cech i przymiotów nadaje jéj nadzwyczajną plastyczną wydatność. Jest to jedna z tych kreacyi poetycznych, które z nieprzepartą siłą narzucają się naszéj wyobraźni, jak żywe stają przed naszemi oczami i zmuszają nas nieomal do wiary w swą realną egzystencyą.

Już to w ogóle wiadomo jest powszechnie, iż Goethe osobliwie był szczęśliwy w tworzeniu postaci niewieścich. Żaden poeta nie utworzył tylu i tak doskonałych typów kobiecych. Dorota, Karolina w cierpieniach Werthera, Klara w Egmoncie, Otylia w Powinowactwach z wyboru, Mignon i Filina w Wilhelmie Meistrze:—oto kilka wydatniejszych przykładów. A w całéj téj galeryi tak różnorodnych, a zawsze tak niezrównanie prawdziwych i pięknych typów—Małgorzata, ze względu na głębokość charakteryzujących ją cech i najwyższy artyzm w ich przedstawieniu, zajmuje niewątpliwie najpierwsze, a przynajmniéj jedno z najpierwszych miejsc.

Naturalną jest rzeczą, iż taka istota jak Małgorzata musiała wywrzéć nadzwyczaj silne wrażenie na umyśle Fausta. Wiemy, iż obdarzony on jest zarówno żywą wrażliwością zmysłowo-uczuciową, jak wielką siłą duchowo-intelektualną: Małgorzata, jako tak urocze zjawisko natury zadawalnia wymagania pierwszéj strony jego jestestwa, jako wyższy moralny typ podnosi i uszlachetnia jego duchową istotę. Miłość Małgorzaty jest dla Fausta pierwszém dodatniem następstwem porzucenia bezpłodnych spekulacyi i zwrócenia się do realnego życia; w stosunku tym znajduje on to, czego nadaremnie szukał poprzednio i o możliwości czego zwątpił zupełnie: pozytywny objaw życia, zdolny zaspokoić wyższe pragnienia natury ludzkiéj i dostarczyć jéj przynajmniéj kilka chwil prawdziwego szczęścia. Takim sposobem Mefistofel przez wplątanie Fausta w ten stosunek, działając w zamiarze wprost przeciwnym, wyświadcza mu mimo woli niewątpliwą przysługę, umożliwia dalszy postęp na drodze udoskonalenia psychicznego. Wprawdzie w pierwszéj chwili i w niektórych dalszych momentach akcyi, zły duch zdaje się być bliski swego celu:—niewieści powab Małgorzaty wzbudza w Fauście przedewszystkiém żądzę zmysłową, jako najprostsze, a zatém najpierw występujące zjawisko psychiczne, lecz wkrótce uczucie jego zostaje uszlachetnione przez wyższe psychiczne żywioły: piękność i wdzięk ukochanéj wywołują estetyczny zachwyt, moralne jéj przymioty wzbudzają szacunek i cześć głęboką—jedném słowem, prosty popęd zamienia się w złożone uczucie prawdziwéj miłości.

Wskutek ujemnego wpływu Mefistofela, zmysłowa żądza osiąga chwilową przewagę nad wyższemi uczuciami i duch przeczenia cieszy się krótkim tryumfem w obec tragicznéj katastrofy Małgorzaty; ostatecznie jednak upadek jéj oraz cierpienie i skrucha pokutnicza, będące jego następstwem, dodatnio wpływają na moralną naturę Fausta, budząc w nim siłę duchowego współczucia, która stanowi najwyższą humanitarną treść jego jestestwa.

Prawda, że ten ostatni wynik stosunku Małgorzaty i Fausta w téj części tragedyi, jak to na właściwém miejscu zobaczymy, zbyt słabo i pobieżnie jest przedstawiony. Motyw ten powraca w dalszém rozwinięciu w zakończeniu 2-éj części, gdzie Faust pociągnięty przez wieczno-kobiecy ideał wznosi się do najwyższych sfer duchowego udoskonalenia. Żałować jednak należy, iż i tam przedstawienie owéj ostatecznéj fazy rozwoju Fausta nie jest zupełnie zadawalniające, zawarte jest bowiem tylko, podobnie jak cała osnowa 2-éj części, w dosyć mglistych symbolach, pozbawione realnéj siły i żywszego kolorytu. W każdym razie przyznać trzeba, iż jakkolwiek w wykonaniu poetyczném swoich idei nie zdołał Goethe wznieść się tu do właściwéj sobie zwykle doskonałości artystycznéj: sam jednak pomysł przedstawienia najwyższego humanitarnego ideału w uszlachetniającym wpływie miłości i poświęcenia jest niezmiernie piękny, głęboki i odbija w sobie najwznioślejsze strony ludzkiego ducha.

Taki jest w ogólnych zarysach charakter i takie znaczenie epizodu Małgorzaty. Jak wskazane powyżéj zasadnicze jego motywa rozwinięte i przedstawione zostały w szczegółach: to nam okaże bliższy przegląd i rozbiór pojedyńczych scen, do czego obecnie przystępujemy.

Faust spotyka na ulicy Małgorzatę, powracającą z kościoła. Piękność i wdzięk młodéj dziewczyny czyni na nim nadzwyczajne wrażenie, a ponieważ pozostaje on obecnie pod bezpośrednim wpływem napoju czarownego, wrażenie to objawia się w gwałtownéj pożądliwości zmysłowéj, wyrażającéj się w sposób wielce pospolity i brutalny. Jednakże w bezpośrednio następującéj scenie w pokoju Małgorzaty, gdzie Mefistofel go wprowadza w czasie jéj nieobecności, uczucie jego przybiera już całkiem odmienny, szlachetniejszy charakter. W monologu, który tu Faust wypowiada, występuje już nie prosta pożądliwość zmysłowa, lecz ten nader złożony kompleks uczuciowy, w którego skład wchodzą często najsprzeczniejsze żywioły, a który nazywamy właściwie miłością. Prosty popęd płciowy gra tu naturalnie także swoję rolę, ale inny przybiera charakter: brutalna pożądliwość zamienia się w tę nieokreśloną tęsknotę, która stanowi specyficzną cechę miłości płciowéj, a jest nie czém inném, jak objawem prostego popędu, ograniczonego w swobodnym swym wylewie przez działanie innych wyższego porządku stanów psychicznych. Tutaj, we wspomnianym monologu te wyższe uczucia nader charakterystycznie się wyrażają. Faust, wchodząc do dziewiczéj izdebki Małgorzaty, przejęty zostaje pełnym szacunku podziwem w obec téj harmonii i spokoju, któremi tu wszystko oddycha, a w których zdaje się objawiać czysta dusza młodéj dziewczyny; uczuwa

trwogę, odrazę do siebie samego i do swych grzesznych żądz, żal i zgryzotę, iż ośmielił się znieważyć swoją obecnością ten cichy przybytek niewinności. Wyobraża sobie: gdyby w téj chwili weszła ukochana, jakże strasznie musiałby cierpieć za swą zbrodnię, u nóg jéj w prochu błagałby przebaczenia. To téż gdy Mefistofel budzi go nagle z miłosnéj zadumy, gwałtownie wykrzykuje: Precz! precz! nigdy tu już nie powrócę.

Następna scena rozpoczyna szereg tych przepysznych poetycznych obrazów, stanowiących tragedyą Małgorzaty, w których Goethe nagromadził tyle różnorodnych uczuć, począwszy od pełnéj niewysłowionego uroku naiwności dziewczęcéj aż do najwyższéj tragicznéj grozy, cierpienia i rozpaczy. W téj scenie widzimy pierwszy objaw budzącego się w sercu Małgorzaty uczucia. Spotkanie z Faustem i jego trochę zuchwała zaczepka pozostawiły pewne, dość silne i dość miłe wrażenie,—postać śmiałego zalotnika żywo utkwiła w jéj pamięci. Pod wpływem nieokreślonego nastroju budzących się uczuć śpiewa tęskną balladę ludową. Ballada ta jest jakby wstępem do mającego się wkrótce rozegrać miłosnego dramatu, osnowę jéj stanowi melancholijny wyraz uczucia głębokiéj, trwalszéj nad śmierć miłości. Zasadniczy motyw epizodu Małgorzaty występuje tu w lirycznéj pieśni, pełnéj niewysłowionego czaru poezyi,— rzewny smutek, który ją przenika, jest jakby zapowiedzią, mającéj się rozegrać w następnych scenach bolesnéj tragedyi. Nie potrzebuję zastanawiać się dłużéj nad wrażeniem, jakie czynią na Małgorzatę znalezione klejnoty: z bijącą w oczy prawdą objawia się w niém to tak właściwe kobietom uczucie próżności i zamiłowanie w strojach. Rys ten uzupełnia charakterystykę jéj czysto-niewieściéj natury. Pomijam tu następną scenę między Faustem i Mefistofelem jako epizodyczną i przechodzę do sceny w domu Marty oraz przechadzki w ogrodzie.

W pierwszéj z tych scen Mefistofel, który poprzednio w rozmowie z Faustem przewidywał trudność opanowania swym demonicznym wpływem czystéj duszy niewinnego i pełnego szczeréj wiary dziewczęcia, ucieka się do pośrednictwa Marty, jakby w myśl naszego przysłowia: gdzie dyabeł nie może, tam babę pośle. I rzeczywiście, Marta jest jakby stworzona na taką dyabelską pośredniczkę: jest to typ pospolitéj, przewrotnéj kobiety, traktowanéj przez poetę z wybornym, pełnym charakteru komizmem. Humorystyczny jéj dyalog z Mefistofelem daje nam poznać nader charakterystycznie pospolitość jéj uczuć i myśli. Wrażenie, jakie czyni na niéj wiadomość o śmierci męża, czułe wspomnienie o nieboszczyku, chęć upewnienia się jednak o jego śmierci, — wszystko to rysy pełne dosadnéj typo-

wości. Małgorzata w całej tej scenie mały bierze udział: żywe współczucie, jakie objawia dla mniemanego cierpienia Marty, daje poznać dobroć jéj niewinnego serca, odpowiedzi na ambarasujące komplementa Mefistofela wskazują na prostotę i naiwność jéj myśli.

Wyborna scena w ogrodzie dostarcza nowych rysów do charakterystyki Małgorzaty. Kontrast dwóch przechadzających się par służy do tém lepszego uwydatnienia poetycznéj miłości Małgorzaty i komicznéj zalotności Marty. Pełne uczciwéj szczerości zwierzenia Małgorzaty określają bardzo charakterystycznie właściwy jéj ogólny nastrój umysłowy, a jednocześnie przez swoje szczegóły dostarczają wiele rysów uzupełniających jéj charakterystykę. Naiwność, która stanowi jednę z wybitnych cech Małgorzaty, a szczególnie w niniejszéj scenie jest uwydatniona, określa wogóle typowo prosty i niewinny umysł młodéj dziewczyny. Niezależnie jednak od tego ma w sobie coś specyficznie niemieckiego. Wiadomo, że młode Niemki w szczególnie wysokim stopniu posiadają tę cechę. Ta naiwność, jeśli kontrastuje zbytecznie z warunkami bytu towarzyskiego staje się czasem śmieszną,— o ile jednak jest wyrazem naturalnéj prostoty i szczerości uczuć, posiada wysoką estetyczną wartość, jako objaw prawdy i natury w przeciwstawieniu do konwencyonalnego fałszu i sztuczności, które cechują zazwyczaj nasze stosunki towarzyskie. Goethe zużytkował znakomicie tę właściwość kobiet niemieckich, podnosząc przez nią niezmiernie wdzięk i urok poetycznéj swéj kreacyi. Oczywiście, że naiwność Małgorzaty nie zostaje w sprzeczności z warunkami jéj bytu towarzyskiego, owszem wybornie z nimi harmonizuje,— połączona zaś z żywą i głęboką uczuciowością, umożliwia wyrażenie wewnętrznych poruszeń duszy w sposób niezmiernie naturalny i czyni postać Małgorzaty prawdziwie czarującém zjawiskiem natury, jedną z najpiękniejszych i zarazem najprawdziwszych kreacyi poetycznych.

Opuszczam teraz na chwilę rozbiór roli Małgorzaty i zwracam się do Fausta. Scena w lesie i jaskini (*Wald und Höhle*) daje nam poznać obecny stan jego uczuć. Sytuacya jest następująca: Faust obawiając się następstw swéj gwałtownéj namiętności dla Małgorzaty i przewidując, iż może zniszczyć spokój i niewinność ukochanéj, ucieka od niéj i w samotném ustroniu zatapia się w kontemplacyi natury. Widzieliśmy poprzednio w wielkim monologu, w scenie przechadzki z Wagnerem i w scenie układu z Mefistofelem, jak żywe posiada Faust uczucie dla natury: z wewnętrzną tęsknotą zwraca się tam do niéj, pragnie odczuć w swém łonie działanie potężnych jéj sił, ogarnąć ją swém uczuciem. Otóż teraz te pragnienia w znacznéj części znajdują urzeczywistnienie. Uczucie, jakie żywi dla Mał-

gorzaty zbliża go do natury, budzi w jego piersi jednę z najwyższych naturalnych potęg. Teraz Faust czuje się jedném ogniwem w tym wielkim łańcuchu zjawisk przyrody; może wzierać w głęboką jéj pierś jak w łono przyjaciela; w niezliczonych miryadach tworów widzi pokrewne, bratnie sobie istoty. Zwrot do potężnego ducha, którym się rozpoczyna ten monolog, trochę niejasny, a przynajmniéj daje powód do bardzo dziwacznych wykładów myśli poety. Tak np. tłómacz polski Fausta p. Jezierski słowa: „nienapróżno twarz swoję ku mnie zwróciłeś w płomieniu" — objaśnia w ten sposób, iż w nich leży napomknienie co do podania biblijnego o ukazaniu się Mojżeszowi bóstwa w krzaku gorejącym, a w całym monologu widzi wspomnienia o przedwiecznéj, rajskiéj jednolitości człowieka z naturą. Pominąwszy już, iż ten wykład jest niekonsekwentny, bo jakiż ma związek widzenie Mojżesza z rajskim bytem człowieka, — ale jest on przytém bardzo naciągnięty i nieuzasadniony. Ten ustęp daleko prościéj i naturalniéj daje się objaśnić. Nie ulega wątpliwości, iż Faust zwraca się tu do ducha ziemi, który w płomieniu téż ukazuje mu się w pierwszéj scenie tragedyi. Wiemy, że duch ziemi jest symbolem ziemskiéj natury, — rzecz więc prosta, iż jemu, t. j. naturze zawdzięcza Faust to uczucie wewnętrznego szczęścia, jakiego doznaje obecnie. Również łatwo da się wytłómaczyć i ten ustęp, w którym Faust skarży się, iż dany mu jest przez potężnego ducha ów zimny, szyderczy towarzysz, który zamąca i psuje pełnię wyższego szczęścia. Wiemy, iż zadanie Mefistofela polega na odciągnięciu Fausta od dążenia w pozaświatowe sfery, zwróceniu jego dążeń ku ziemi, ku naturze, — zatém słusznie Faust uważa Mefistofela jako zesłańca, jako jeden z organów owego potężnego ducha. W całym tym monologu przebija nader charakterystycznie naturalistyczny pogląd Goethego na życie ludzkie i jego stosunek do ogółu przyrody: pogląd, który jest jedną z zasadniczych idei wielkiego poety, wielokrotnie wyrażoną w różnych jego dziełach. Goethe, znakomity przyrodoznawca, jeden z poprzedników współczesnéj teoryi rozwoju, pojmował już wybornie tę wielką prawdę, która dopiero za naszych czasów ogólniejsze znajduje uznanie, mianowicie powszechność i jednorodność praw przyrody. To braterstwo z ogółem tworów przyrody, do jakiego się tu Faust poczuwa, nie jest jakiémś mistyczném wspomnieniem rajskiego bytu — jak niefortunnie przypuszcza p. Jezierski — ale wynika z przeświadczenia o jednolitéj naturze wszystkich zjawisk przyrody, w któréj wszystko się łączy w jednę wielką całość, w jeden nieskończony łańcuch rozwoju. Jest to jeden z tych poglądów, w którym Goethe uprzedził swój czas, co kilkakrotnie podnosiłem, jako wybitną cechę jego geniuszu.

W następującym potém dyalogu Mefistofel stara się skłonić Fausta, aby powrócił do swéj kochanki i dokonał uwiedzenia biednéj dziewczyny. Faust broni się przeciw tym pokusom szatana, ale własna jego rozgorzała namiętność czyni obronę zbyt słabą. Teraz, kiedy z takiém uniesieniem rzucił się na łono natury, nie może się oprzeć najpotężniejszemu z jéj popędów. Mefistofel w téj scenie, jak wogóle w całym epizodzie Małgorzaty, występuje przeważnie w charakterze kusiciela, starającego się zwrócić Fausta w kierunku pospolitéj zmysłowéj rozkoszy. Ta to scena dała zapewne Düntzerowi powód do uważania Mefistofela za uosobienie zmysłowych popędów; poprzednio jednak starałem się okazać, że rola, jaką on tu odegrywa, cynizm będący jéj cechą, są tylko konsekwencyą negacyi i sceptyzmu, które stanowią zasadnicze cechy jego charakteru: Mefistofel wciąga Fausta w wir zmysłowości, ażeby w końcu wyszydzić tak samo nędzę natury ludzkiéj w tym zakresie, jak poprzednio wyszydza ją w sferze wyższych duchowych dążeń. Zresztą i w tym epizodzie zachowuje on zawsze właściwy sobie sarkastyczny ton, i wypowiada wiele wybornych satyrycznych myśli, pomieszanych z nader zręczną sofistyką. Zwrócę uwagę na owe humorystyczne opowiadanie o zabraniu przez księdza klejnotów, komiczny dyalog z Martą, dowcipną uwagę o zakochanych, którzy na rozrywkę lubéj gotowi słońce, księżyc i wszystkie gwiazdy wysadzić w powietrze. Przykładowo wymieniłem te kilka miejsc; gdyby bowiem kto chciał wszystko wyliczać, co godne uwagi w roli Mefistofela, musiałby ją prawie całą przepisać.

Scena przy kołowrotku zapowiada zbliżającą się w całéj grozie tragedyą miłości. Dotąd poznaliśmy spokojne, czyste serce niewinnéj dziewczyny: jéj piękną naturę, wśród któréj budzą się i rozwijają pierwsze błyski uczucia. Teraz to uczucie dochodzi do najwyższéj potęgi, w przecudnym monologu wyraża Małgorzata miłość, która przenika całą jéj istotę. A obok tego budzą się w jéj duszy bolesne przeczucia o straconém nazawsze szczęściu i spokoju. Głowa jéj w obłędzie—na sercu ciężar—myśl stargana. Uczucie wyraża się tu z porywającą siłą ekspresyi i najwyższą prawdą psychiczną. Zwracam uwagę na tę pyszną gradacyą uczuciowego nastroju: Małgorzata przypomina sobie postać ukochanego, jego chód wspaniały, szlachetną postawę, uśmiech ust, oczu potęgę.

Urok mowy jego	Und seiner Rede
Koi mnie, czaruje,	Zauberfluss,
Uścisnienie dłoni,	Sein Händedruck,
Ach! i całus czuję!	Und ach! sein Kuss!

Pod wpływem wyobraźni wznosi się żywość uczucia, aż wkońcu wybucha namiętnym okrzykiem żądzy:

Gdybym mogła wreszcie	Ach, dürft' ich fassen
Ująć go, przytrzymać!	Und halten ihn!
Wiecznie go całować,	Und Küssen ihn
Jakbym tylko chciała,	So wie ich wollt,
Choćbym w tych całusach	An seinen Küssen
Sama zginąć miała.	Vergehen sollt'!

W następującéj scenie przedstawiona jest jeszcze jedna szczęśliwa chwila stosunku dwojga kochanków. Tutaj spotykamy nowy charakterystyczny rys miłości Małgorzaty. Pełne szczeréj wiary i pobożności dziewczę podejrzywa o obojętność religijną kochanka,—troszcząc się o zbawienie jego duszy z naiwną prostotą usiłuje go nawrócić. Zapytania jéj w kwestyi wiary wywołują sławną odpowiedź Fausta, która powszechnie jest uważana za poetyczny wyraz panteistycznych przekonań Goethego. Rzeczywiście jest to wspaniały hymn na cześć bóstwą, objawiającego się w naturze i ma w sobie zatém pewien charakter panteistyczny. Jednakowoż sądzę, że panteizm Goethego, tak jak on się tu i w innych miejscach objawia, ma pewien odrębny charakter: mianowicie nie jest ugruntowany na jakiejś apriorystycznéj teoryi filozoficznéj, lecz na uznaniu *a posteriori* powszechności praw natury — jest więc raczéj naturalizmem. Powyżéj już zaznaczyłem to naturalistyczne stanowisko Goethego. I tutaj jest ono widoczne. Faust uznając zjawiska natury, jako ostateczny przedmiot naszéj świadomości, w nich jedynie widzi objaw niepoznawalnego w swej istocie pierwiastku, będącego zasadą i źródłem istnienia. Jest to więc religia naturalna, którą i współcześni filozofowie naturaliści, jak np. H. Spencer, uznają jako konieczny czynnik ludzkiéj umysłowości. Przytém zaznaczyć należy, że to wyznanie wiary Fausta jest charakterystycznym objawem obecnego stanu jego duszy. Poprzednio rozpaczliwie wątpił on o istnieniu jakiejkolwiek wyższéj zasady bytu, następnie rzucił straszliwe przekleństwo na wszystkie objawy życia. Teraz pod wpływem tych uczuć, jakie Małgorzata obudziła w jego sercu, szczęścia, jakie mu daje jéj miłość, uznaje w życiu i naturze objaw bytu jakiejś najwyższéj, najdoskonalszéj istoty. To téż stosownie do obecnego swego stanu w uczuciu, w szczęściu, miłości, sercu widzi ten niepojęty pierwiastek istnienia. Wreszcie zaznaczyć należy szczególnie wybitnie okazujące się w téj scenie charakterystyczne różnice we wzajemnym stosunku tych trzech typów, które wypełniają głównie pierwszą część tragedyi: Faust, Małgorzata i Mefistofel. Z jednéj strony Małgorzata—wcielenie wiary i miłości, wszystkiego, co najwięcéj pozytywne w życiu, co najwyższą nadaje mu wartość; na przeciwległym krańcu Mefistofeles—negacya życia, duch krytyki i sceptyzmu, a w pośród tych

dwóch tak sprzecznych istot—Faust, natura ludzka w rozwoju, dążeniu do udoskonalenia, ulega naprzemian wpływom obojga. Wpływ Małgorzaty objawia się w zbudzeniu w nim szlachetniejszych uczuć miłości i wiary w podniosłe strony życia i natury; wpływ Mefistofela w pobudzeniu dzikiéj żądzy, negującéj przyrodzone prawa moralne. Obecnie wpływ Mefistofela osiąga przewagę, ślepy popęd zwycięża wyższe uczucia, wchodzące w skład jego miłości, któremi powodowany Faust uważał za zbrodnię przekroczenie progu mieszkania ukochanéj i uciekał przed pokusą własnéj żądzy, obecnie ulegając jéj korzysta z miłosnego odurzenia kochanki. Przy końcu téj sceny upadek Małgorzaty daje się przewidziéć.

Dalszy rozwój akcyi jest dość niejasny, w wielu miejscach niedostatecznie uzasadniony i obok pierwszorzędnych piękności zawiera bardzo słabe strony. Już-to wogóle akcya w Fauście nie rozwija się jednym ciągiem, lecz idzie skokami, pojedyncze sceny nie łączą się z sobą ściśle; wynika to z saméj natury przedmiotu. Poprzednie jednak sceny, jakkolwiek nie stanowią nieprzerwanego ciągu, pozostają jednak z sobą w pewnym logicznym związku. Otóż tego związku brak niekiedy w dalszych scenach. Chodziło tu o przedstawienie tragicznych następstw upadku Małgorzaty: poeta nagromadził więc pewną ilość wysoce tragicznych sytuacyi, niezbyt troszcząc się o konsekwencyą w ich następstwie. Pierwszą słabą stroną jest fakt śmierci matki Małgorzaty, spowodowanéj, jak się domyślać trzeba, usypiającym płynem, który Faust daje kochance. Faust poleca Małgorzacie nalać trzy krople tego płynu do napoju matki, co sprowadzi mocny sen, pozostawiający wszelką swobodę kochankom. Przypuścić należy, jak to czyni Düntzer, że Małgorzata w pomięszaniu zbyt wiele wlała płynu, następstwem czego była śmierć matki. Ale sama ta okoliczność, iż trzeba się dopiero domyślać istotnego przebiegu tak ważnego zdarzenia — jest już niemałą wadą. Daléj, w scenach bezpośrednio następujących po upadku Małgorzaty, śmierć matki nie jest widocznie przypuszczaną: jest o niéj wzmianka dopiero w scenie w kościele, co oczywiście jest także niekonsekwentne. Prawdopodobnie przyczyną tego jest, iż Goethe, który, jak wiadomo, w różnych czasach tworzył pojedyncze sceny swego poematu, pisząc następne sceny, zapomniał o szczególe zawartym w poprzedniéj. Drugą ujemną stroną jest scena śmierci Walentego, mianowicie rola, jaką w niéj Faust odegrywa. Rzecz dzieje się tu w nocy przede drzwiami Małgorzaty; Faust przychodzi w towarzystwie Mefistofela, chce nowego podarku dla kochanki; słucha obojętnie jak Mefistofel śpiewa złośliwą piosnkę, w któréj wyszydza nieszczęście Małgorzaty. Walenty ukazuje się, aby pomścić hańbę siostry, — Faust zabija go

w pojedynku przy pomocy Mefistofela i następnie z tym ostatnim ucieka. Otóż oczywistém jest, iż całe to zachowanie się Fausta w nazbyt poniżający sposób wystawia jego charakter i nie zgadza się ze szlachetnym gruntem jego moralnéj natury. Wprawdzie Faust wypowiada tu poczucie swéj winy, mówi o ciemnościach zapełniających wnętrzne jego duszy, z drugiéj strony dodać należy, że pozostaje on pod wpływem demonicznym Mefistofela. Ale co do pierwszego, to wyraz téj świadomości winy jest zbyt słaby; co do drugiego zaś, to naturalne jest, że Mefistofel mógł Fausta popchnąć do występków, nawet do zbrodni, przez pobudzenie jego namiętności, jak to widzimy w uwiedzeniu Małgorzaty, ale mniéj jest naturalne, aby go mógł skłonić do postępowania, obrażającego wszelkie delikatniejsze i wyższe uczucie — do czynów świadczących o niskim sposobie myślenia. Trzeba bowiem zawsze pamiętać, że Mefistofel to nie zwykły dyabeł ludowy, któremu-by Faust zaprzedał duszę, lecz uosobienie pewnych wpływów zewnętrznych oddziaływających na niego raz w kierunku dodatnim, to ujemnym, zależnie od nastroju psychicznych sił jego w różnych sytuacyach życia. Tak poeta zawsze przedstawia znaczenie wpływu Mefistofela, zawsze on wyzyskuje w swych widokach naturalne właściwości charakteru Fausta, nie pozbawiając go jednak samodzielności. Otóż z tego stanowiska zapatrując się na postępowanie Fausta w scenie śmierci Walentego, musimy uznać w niém brak prawdy i konsekwencyi, gdyż jest ono nacechowane najzupełniejszą biernością, a przytém zdradza takie strony charakteru, jakich w Fauście żadną miarą przypuścić nie możemy, mając na uwadze ogólne wrażenie, jakie na nas czyni jego postać w tragedyi. Chodziło tu widocznie poecie o podniesienie tragizmu sytuacyi Małgorzaty i, podobnie jak poprzednio fakt śmierci matki, również w mniéj szczęśliwy sposób przedstawił dla osiągnięcia tego celu śmierć Walentego z ręki Fausta. Niezależnie od tego znajdują się w téj scenie bardzo piękne miejsca. Twarda, żołnierska dusza Walentego wyraża się z wielką siłą w szorstkich i dosadnych słowach; nielitościwa jego srogość względem siostry uzasadniona jest przez głębokie poczucie honoru, tragiczność sytuacyi Małgorzaty wznosi się do najwyższego stopnia.

Trzy sceny: u studni, przed obrazem Matki Boskiéj i w kościele dają poznać stopniowe wzmaganie się cierpienia i rozpaczy w duszy Małgorzaty.

Scena u studni, traktowana w guście bardzo realistycznym, przedstawia nader typowo bezwzględny, nielitościwy głos potępienia pospolitéj opinii publicznéj wobec wszelkiego przekroczenia przez kobietę istniejących wyobrażeń moralnych. Wiadomo, że właśnie

kobiety są w takich razach najskorsze do rzucenia kamieniem na biedną grzesznicę, jak to czyni Elżbietka w niniejszéj scenie.

Monolog, w którym Małgorzata przypomina sobie, jak to i ona niegdyś umiała być surową dla innych, zanim własne doświadczenie nauczyło ją wyrozumiałości,—podnosi jeszcze realizm i charakterystyczność téj sceny.

W cudnéj modlitwie przed obrazem Matki Boskiéj wyraża się stan okropnego przygnębienia i rozpaczy Małgorzaty. Jest coś poruszającego do głębi duszy w tym obrazie nieszczęśliwiéj, cierpiącéj istoty, uciekającéj się ze szczerą wiarą i ufnością pod opiekuńcze skrzydła najwyższego ideału miłości i miłosierdzia. Krótki, urywany wiersz, z nierówną miarą i na nierówne podzielony zwrotki podnosi jeszcze plastyczność w wyrażeniu zamieszania i rozpaczy, panujących w duszy Małgorzaty.

Wreszcie tragiczność wznosi się do najwyższéj potęgi w pysznéj scenie kościelnéj. Nigdy pono poezya nie zdołała za pomocą równie prostych środków wywołać tak potężnego wrażenia. Sytuacya nader prosta: Małgorzata w kościele wpośród tłumu ludzi, dręczące ją myśli i wyrzuty sumienia uosobione w postaci złego ducha. Dokoła brzmią uroczyste tony organu i rozlega się ponury chór, głoszący straszliwość sądów bożych nad grzesznikami. Krótki, nierymowany, najdowolniéj poszarpany wiersz, w którym zły duch ze straszliwą żywością wyraża wielkość grzechu i okropność kary, okrzyki rozpaczy nieszczęśliwéj grzesznicy, a nadewszystko ów hymm *Dies irae*, w którym poeta średniowieczny z całą żywością wyobraźni, rozgorzałéj religijną ekstazą, kreśli ponurą grozę ostatecznego sądu: wszystko to potęguje do najwyższego stopnia tragiczność téj niewymownie pięknéj sceny. Powtarzający się dwukrotnie wiersz ostatniéj zwrotki: „*Quid sum miser tunc dicturus*"—wyobraża przygniatające wrażenie, jakie czyni na umyśle Małgorzaty zapowiedź straszliwego sądu.

Po téj scenie tak głęboko tragicznéj naraz czytelnik przeniesiony zostaje w dzikie orgie sabatu czarownic. Kontrast bardzo dziwaczny i niezbyt artystyczny. Zapewne, bezwzględnie biorąc, cały epizod nocy Walpurgi jest wadą ogólnéj budowy tragedyi:—główna akcya zostaje przerwaną przez nader długi epizod, który ani treścią, ani charakterem prawie się z nią nie łączy. Jednakże wada ta zupełnie różna od tych, które powyżéj wskazałem: tam znajdują się wadliwe sytuacye w saméj głównéj akcyi i użyte zostały z konieczności w braku innych lepszych; tutaj poeta wtrącił ten epizod, bo mu się tak podobało, bez żadnéj konieczności i oddzielił go zupełnie od głównéj osnowy. Komu się podoba, może opuścić cały ten ustęp

i przejść odrazu do ostatnich scen tragedyi i w przedstawieniu scenicznêm Fausta zawsze téż on bywa opuszczany. Jest to więc całość zupełnie odrębna i jako taka nie przynosi żadnéj ujmy innym scenom tragedyi. Prawda, iż jest tu pewien związek z akcyą główną, ale nader słaby. Wyobrażona jest tu mianowicie szalona orgia rozpasanéj zmysłowości, w którą Mefistofel wciąga Fausta, aby oderwać go od nieszczęśliwéj kochanki. Ale ta strona jest bardzo pobieżnie traktowana,—główną zaś rzeczą są ustępy nie mające żadnego związku z biegiem akcyi: głównie satyra zwrócona przeciw najrozmaitszym ogólnym i szczególnym stosunkom: społecznym, literackim, politycznym, osobistym itd., są tu rzeczy, dotyczące współczesnych i miejscowych faktów, które zatém obecnie bez komentarza są już zupełnie niezrozumiałe. Uważany jako odrębna całość, epizod ten niepospolite ma zalety. Jest to dziwna mieszanina najrozmaitszych żywiołów poetyckich. Ogólne tło obrazu stanowi dzika legenda ludowa o sabatach czarownic i diabelskich orgiach. Na tém tle, z iście romantyczną dowolnością, porozrzucał poeta różnorodne postaci i obrazy, odtworzone z niezrównaną plastyką i żywością, poruszające się w szalonym wirze jakiejś demonicznéj gorączki zmysłów. A wszystko prawie przeniknięte głębszą myślą satyryczną, przyodziane w szatę wytwornego humoru i dowcipu—obok których znów występuje czasem prostackie błaznowanie, gruby komizm, przechodzący niekiedy granice przyzwoitości. Jedném słowem, rzecz bardzo dziwaczna, ale pomimo tego niepospolicie w swoim rodzaju piękna.

Nie będę się jednak zatrzymywał tu nad szczegółami, gdyż chodzi mi przedewszystkiém o przedstawienie głównéj osnowy poematu, dla którėj ten epizod żadnego prawie nie ma znaczenia.

W scenie bezpośrednio następującéj po nocy Walpurgi (pochmurny dzień,—pole) przedstawiona jest rozpacz Fausta z powodu nieszczęścia kochanki i wściekły jego gniew przeciw Mefistofelowi, który utaił wiadomość o jéj okropnym losie. W jaki sposób dowiedział się Faust o nim, przedstawia to poeta dosyć niewyraźnie w nocy Walpurgi. Faust widzi tam postać młodéj dziewczyny, w więzach z czerwoną pręgą na szyi,—w téj postaci dostrzega podobieństwo do Małgorzaty. Mefistofel jednak odwraca jego uwagę od tego zjawiska, podając je za ułudę czarodziejską. Przypuszczać należy, że nowe nalegania Fausta zmusiły Mefistofela do wyjawienia prawdy. W dyalogu, następującym po tém odkryciu, Faust wybucha szaloną rozpaczą, oburzeniem, gniewem, dochodzącym do wściekłości. Uczucie to wyrażone w słowach niezmiernie silnych i dosadnych,—zbytnia tylko wielomówność osłabia nieco wrażenie. Wobec tych

szalonych wybuchów, Mefistofel zachowuje się z lodowatą, szyderczą obojętnością. „Ona nie pierwsza"—taką szyderczą pociechę rzuca złośliwy sceptyk w odpowiedzi na rozpaczne skargi Fausta. Te słowa podnoszą i rozszerzają tragiczność sytuacyi. Przez usta nieubłaganego szydercy wyrażony tu jest ciężki wyrzut, zwrócony do całego społeczeństwa, wśród którego podobne potworne anormalności dziać się mogą, które upadek niewinnéj istoty, grzeszącéj tylko nadmiarem miłości i zaufania, sądzi z bezwzględną surowością, podczas gdy jéj uwodziciel znajduje najzupełniejsze pobłażanie. Wreszcie dodać jeszcze należy, że ten dyalog jak również scena śmierci Walentego wtrącone zostały znacznie późniéj w osnowę tragedyi, mianowicie w latach 1800 i 1803, podczas gdy wszystkie pozostałe sceny epizodu Małgorzaty powstały w r. 1774—75, równocześnie z pierwszą połową monologu, w czasach najszczęśliwszych twórczych natchnień Goethego. Te późniejsze sceny, pod względem poetycznéj siły i świeżości natchnienia, po większéj części nie dorównywają dawniejszym; były one za zwyczaj rezultatem usilnéj pracy i wielokrotnych przeróbek. Szczególniéj odnosi się to do dwóch wspomnianych scen. Pomimo wielu bardzo szczęśliwych miejsc należą one w całości do mniéj udatnych ustępów tragedyi. Toż samo da się powiedzieć o następnéj sześciowierszowéj zaledwie scenie w blizkości rusztowania,—z tą tylko różnicą, iż ta ostatnia wydaje mi się zupełnie zbyteczną, nie zawiera w sobie nic charakterystycznego i żadnego nie ma znaczenia w biegu akcyi (1).

---

(1) Co do dwóch ostatnich scen (Pochmurny dzień—pole i Noc—otwarte pole) Scherer podaje ważne wyjaśnienia, oparte na przypuszczeniu, iż rzeczy te są pozostałością pierwotnego prozaicznego opracowania Fausta, które miało być dokonane w latach 1771 i 72, a zatém w epoce Götza von Berlichingen. Hipotezę tego prozaicznego Fausta opiera Scherer na wielu wskazówkach, poczerpniętych z obecnego tekstu poematu, oraz z życia Goethego. Wspomniane sceny w owym pierwotnym planie bardziéj racyonalne i uzasadnione zajmowały stanowisko. Mianowicie Scherer uważa, iż pierwsza z nich jest tylko fragmentem, poprzedzona ona była przez coś, w czém się zawierało wyjaśnienie losu Małgorzaty. Otóż przypuścić można, iż to wyjaśnienie znajdowało się właśnie w następnéj scenie (w bliskości rusztowania). Faust z Mefistofelem przelatują około rusztowania, przy którém uwija się gromada czarownic, z rozmów ich Faust dowiaduje się o śmierci grożącéj kochance i teraz dopiero powinien nastąpić dyalog w scenie przy pochmurnym dniu. Przypuszczenia co do takiego stosunku tych scen czyni zrozumiałą druga z nich. Tak jak obecnie ona stoi, zupełnie jest niepojętém, dla czego Mefistofel nie pozwala się zatrzymywać Faustowi i nagli do pośpiechu,—powinnoby być zupełnie odwrotnie: Faust powinienby pragnąć pośpiechu, Mefistofel zwłoki. Trudno pojąć, dla czego Goethe, w obec tych niekonsekwencyi, pozostawił tę scenę w późniejszym tekście i na tak niewłaściwém miejscu, (Wilhelm Scherer: Aus Goethes Frühzeit. – Strassburg 1879).

Ostatnia wreszcie scena w więzieniu pod względem dramatycznéj siły i głębokości uczucia zawiera pierwszorzędne piękności; powstała ona téż, jak się domyśla Düntzer, na podstawie bardzo zasadniczych dowodów, w znacznéj przynajmniéj części, w dawniejszym okresie twórczości Goethego, jakkolwiek nie zawiera się w pierwszém wydaniu Fausta z r. 1791, prawdopodobnie z powodu braku związku jéj osnowy ze zdarzeniami poprzednich. Poeta, wytworzywszy sobie ogólne pojęcie o przebiegu akcyi, napisał ostateczne jéj rozwiązanie, odkładając na późniéj opracowanie pośrednich scen;—że to opracowanie mniéj szczęśliwie wypadło, o tém już wyżéj była mowa. Zauważyłem już pewne niekonsekwencye w poprzednich pomysłach, służących do podniesienia tragizmu sytuacyi Małgorzaty. Również niezupełnie zadawalniające przedstawienie ostatniego tragicznego motywu—morderstwa dziecka. Ze słów Fausta na początku ostatniego dyalogu z Mefistofelem, dowiadujemy się, iż Małgorzata długo w nędzy i opuszczeniu tułała się, aż w końcu jako morderczyni dziecka została uwięziona. Otóż z tego należy się domyślać, iż z jednéj strony powszechna pogarda i hańba,—z drugiéj nędza, niemożność może wyżywienia dziecka doprowadziły ją do ostateczności i w przystępie obłędu rozpaczy popełniła dzieciobójstwo. Ale ten stan jéj przed popełnieniem zbrodni nie jest dostatecznie uwydatniony. Taka tkliwa, pełna miłości istota, jak Małgorzata, tylko w stanie obłędu mogła stać się zbrodniarką,—ale tego się tylko domyślać możemy: w tekście spotykamy bowiem zaledwie parę słów, które naprowadzają na ten domysł. Wprawdzie w scenie więziennéj widzimy Małgorzatę w stanie obłąkania, ale ten stan mógł być dopiero następstwem zbrodni. Przytém zachodzi tu pewna chronologiczna niedokładność, mianowicie od sceny śmierci Walentego do sceny więziennéj, jak z przebiegu akcyi wnosić można, upływa zaledwie parę dni czasu, co nie zgadza się ze wspomnianemi wyżéj słowami Fausta.

Jakkolwiek jednak niedostatecznie uzasadniona jest tragiczna sytuacya téj sceny, przedstawienie jéj jest ze wszech miar mistrzowskie: okropność położenia Małgorzaty,—jéj katusze moralne, wreszcie zwycięstwo nad wszystkiemi uczuciami wiary i skruchy pokutniczéj,—przedstawione z porywającą siłą i prawdą.

Faust przybywa dla ocalenia kochanki; z wnętrza więzienia dochodzi go śpiew, świadczący o smutnym stanie umysłu nieszczęśliwéj. Piosenka, którą śpiewa Małgorzata, wzięta jest z poezyi ludowéj, nie wiele ją tylko zmienił Goethe. Düntzer podaje oryginalny tekst ludowy. Przytoczę tu w paru słowach treść jéj: zła macocha zabiła dziecko męża i dała je ojcu do zjedzenia jako potrawę; sio-

strzyczka pozbierała kości i pogrzebała pod drzewem,—a dusza dziecka uleciała jako ptaszek leśny. Małgorzata nuci w obłędzie tę okropną powieść o zbrodni dzieciobójstwa pod wpływem wspomnień swéj winy; przybycie Fausta nie przywraca jéj przytomności, bierze go za kata, który już przyszedł ją na śmierć prowadzić. Słowa, w których błaga o życie, wspomina swą utraconą młodość i piękność, skarży się na swój los ciężki,—niewymownie rzewne, a przytém tak proste, tak naturalne w ustach biednego dziewczęcia. Charakterystyczne jest bardzo, kiedy wyobrażając sobie w obłędzie, iż jéj źli ludzie zabrali dziecko, aby ją jako zbrodniarkę skazać i do niéj stosują ową okropną piosnkę o morderczyni dziecka—dodaje te słowa, w których maluje się tak żywo jéj dobre serce i prosta duszą:

I śpiewają o mnie pieśni,
Wiesz, jak ta piosenka gminna.
Co ja im winna?
Kto im to kazał?

Wreszcie poznaje głos kochanka i daléj ciągnie się ten okropny dyalog, w którym Faust błaga z rozpaczą i używa wszelkich środków, aby ją skłonić do opuszczenia więzienia,—a ona, na przemian w najwyższym obłędzie, to znowu odzyskując chwilami przytomność, wyraża w bezładny sposób najrozmaitsze uczucia. Miłosne pieszczoty, wspomnienia chwil szczęśliwych mieszają się ze wspomnieniami okropnych zdarzeń przeszłości. Straszliwe obrazy przesuwają się w jéj umyśle; a wpośród tego całego chaosu uczuć i myśli, przebija ciągle poczucie własnéj winy, dobrowolne poddanie się karze. Wszystkie te uczucia wyrażone z całą plastyką poetyczną, z wielką siłą ekpresyi, w sposób odpowiadający naturze charakteru Małgorzaty. Mniéj charakterystyczne są tu uczucia i całe zachowanie się Fausta, ale jest to wynikiem saméj sytuacyi: rola jego bowiem ograniczona tu jest naturą sytuacyi do próźb i błagań o jaknajszybsze opuszczenie więzienia; w granicach zaś téj roli uczucia Fausta i słowa, w których się one wyrażają, są bardzo żywe i naturalne.

Wreszcie ostateczny, nader zręczny zwrot akcyi nadany zostaje przez ukazanie się Mefistofela. Na widok téj postaci, do któréj Małgorzata instynktowny zawsze wstręt uczuwa,—trwoga ją ogarnia, zdaje jéj się, iż zły duch chce ją porwać: w gorącéj modlitwie zwraca się do Boga o ratunek, ucieka z przerażeniem od kochanka, który chce ocalić jej życie a zgubić duszę. W téj chwili Małgorzata zostaje oczyszczoną i rozgrzeszona: cierpienie, żal, skrucha dają jéj wybawienie. Na słowa Mefistofela: „Osądzona jest,“—głos z góry odpowiada: „Ocalona.“ Faust znika z Mefistofelem; głos z wnętrza, głos jego kochanki, teraz już czystéj duszy, odkupionéj potęgą miłości i cierpienia, woła za nim po imieniu.

IV. Zakończenie.

Rozwój charakteru Fausta nie został oczywiście w téj części tragedyi ukończony. Kreacya to pomyślana na zbyt rozległą skalę, aby charakterystyczne jéj cechy mogły być w jednéj tragedyi wyczerpane; wiadomo, że Goethe wątpił nawet, aby ją kiedykolwiek mógł wykończyć; tylko niezwyle długie życie pozwoliło mu w późnéj już starości to uskutecznić. Jednakowoż w 1-éj części tragedyi charakter Fausta został przedstawiony w najgłówniejszych i najistotniejszych cechach: tak, iż teraz już możemy rozumiéć i ocenić jego istotne społeczne znaczenie, oraz psychologiczną prawdę i estetyczną piękność.

Pod względem społecznym Faust to najogólniejszy typ nowoczesnych dążeń i aspiracyi: w nim znajdują swój wyraz najgłówniejsze prądy, wstrząsające w obecnéj dobie łono społeczeństwa europejskiego, pojęcia i uczucia najwybitniéj charakteryzujące nowoczesne życie. I tak: w pierwszéj fazie rozwoju, poprzedzającéj rozpoczęcie właściwéj akcyi,—Faust zużywa swe siły w dążeniu do poznania ostatecznéj prawdy, pragnie się wznieść na niedostępne dla ducha ludzkiego wyżyny wiedzy. Zostaje zawiedziony w tém dążeniu, wtrącony w chaos zwątpień i niepewności, wśród których duch jego miota się w rozpaczliwych wysiłkach. W takim stanie widzieliśmy go w wielkim monologu. Podobnie ludzkość nowoczesna,—po utracie pierwotnéj, naiwnéj wiary,—po ostateczném bankructwie licznych systematów filozoficznych, pozostaje niepewna swéj drogi, w chaotycznym zamęcie pojęć i dążności.

Pod względem psychologicznym, widzieliśmy, iż we wszystkich uczuciach i dążeniach Fausta ukazuje się zawsze natura ludzka w całém bogactwie swych sił psychicznych i harmonijném ich ustosunkowaniu.

Naustępnie widzimy, jak Faust, pod wpływem ducha negacyi i sceptyzmu, wyrzeka się wszelkich wyższych dążeń. Mefistofel jest tu przedstawicielem tego ducha krytycznéj negacyi, który w pewnych epokach ze szczególną siłą występuje w łonie ludzkości, pozornie niszczy i obala wszystko, a w istocie pobudza nową, wyższą, postępową działalność. Widzieliśmy też, iż w rezultacie wpływ jego na Fausta jest dodatni; odciąga go od bezpłodnych metafizycznych zaciekań, zwraca do życia i natury. Ten zwrot w usposobieniu Fausta, uzasadniony poprzednim stanem jego umysłu, oraz wpływem zewnętrznym objawia się w psychologicznie prawdziwéj i logicznéj formie, jak to na właściwém miejscu było wykazane.

Wreszcie w ostatnim ustępie 1-éj części poematu, w tragedyi Małgorzaty, Faust gra drugorzędną rolę; główną bohaterką jest Małgorzata, jako uosobienie jednego z najwyższych dodatnich objawów życia. Jednakowoż w granicach téj roli charakter Fausta, wpływ jaki nań wywiera miłość Małgorzaty, zmiany w nim zachodzące — przedstawione są z żywą ekspresyą i w sposób psychologicznie prawdziwy.

Tutaj miejsce powiedziéć o zarzutach, jakie niektórzy czynią roli Fausta w epizodzie Małgorzaty. Zarzucają mianowicie, iż Goethe apoteozuje tu egoizm, obraża uczucie sprawiedliwości, uwalniając swego bohatera od wszelkiéj kary. Przedewszystkiém zauważyć należy, iż poeta wcale nie idealizuje, nie usprawiedliwia czynów Fausta; przedstawia owszem nader żywo odzywającą się w jego umyśle świadomość winy i bolesne zgryzoty. Że zaś Faust popełnił tę winę, wynika to, jak wyżéj było okazane, z naturalnego rozwoju jego stanów uczuciowych. Zresztą pamiętajmy, że Faust, to ogólny typ natury ludzkiéj, — a czyż tylko cnoty same wchodzą w jéj skład? Czyż błędy, upadek, grzech, nie są pospolitym udziałem człowieka? „Błądzi człowiek, póki dąży" — mówi Goethe w prologu i zawsze jest wierny téj prawdzie: dzięki temu, jego poetyczne kreacye to nie jakieś chińskie cienie cnót i doskonałości, ale ludzie pełni prawdy i realizmu. Dlatego Faust błądził poprzednio w swych duchowych zapędach, błądzi następnie wśród wiru uczuć i burzy namiętności. Upadek jego moralny uzasadniony jest przez owę siłę demonicznéj negacyi, która ogarnia go swym wpływem: wpływ ten z jednéj strony, jak widzieliśmy, dodatni—musiał miéć jednak, ze względu na swą naturę, i ujemne rezultaty w negacyi wyższych objawów życia i pobudzeniu niskich żądz i namiętności. Jednakże to uzasadnienie postępowania Fausta w epizodzie Małgorzaty nie odnosi się do tych rysów, które spotykamy w scenie śmierci Walentego, a których ujemną wartość na właściwém miejscu wykazałem. Pomijając jednak tę małoznaczną scenę, cały rozwój charakteru Fausta w tym ustępie poematu jest konsekwentny i logiczny. Że zaś Faust nie ponosi kary za swe przewinienie, że nie ginie razem z Małgorzatą, — jest to skutkiem istotnego znaczenia jego roli, celu, jaki poeta za jéj pośrednictwem chciał osiągnąć.

Chodziło Goethemu, jak wiemy, o przedstawienie typu człowieka nowoczesnego, dążącego do zrozumienia i wypełnienia istotnego zadania życia. W tém dążeniu musiał on błądzić, musiał upaść wielokrotnie, bo to jest nieodłączną właściwością natury ludzkiéj,— ale podnosząc się z upadku, nie ustając w dążeniu, miał w końcu dojść do swego celu. Rozumie się, iż wobec takiego zadania nie mógł poeta skończyć zawodu swego bohatera w samym jego po-

czątku. Wogóle nie można przecież czynić poecie zarzutu z tego, iż postawiwszy sobie pewne zadanie, konsekwentnie zmierzał do jego rozwiązania. A jednak często krytycy Fausta, jak słusznie zauważył Lewes, nie zdają sobie sprawy z téj tak naturalnéj zasady i oceniają utwór Goethego nie ze stanowiska autora, ale ze swego własnego; przedstawiają swój własny pomysł Fausta i gniewają się, że Goethe nie uwzględnił go w wykonaniu swéj kreacyi. Z takiego fałszywego wychodząc stanowiska, rozumie się, że do fałszywych dochodzą wniosków i stawiają poecie całkiém bezzasadne zarzuty. Taka metoda oceniania poetycznych kreacyi spotyka się często w krytyce, częściéj wobec Fausta, gdyż ze względu na wielką rozległość téj kreacyi trudniéj tu zrozumiéć rzeczywistą intencyą poety, łatwiéj podsunąć mu swą własną.

Zwróćmy teraz uwagę na dramatyczność i tragiczność w roli Fausta. Że Faust jest postacią wysoce dramatyczną, tego dowodzić, zdaje się, niepotrzeba; walka uczuć, która wre w jego piersi, tytaniczne dążenia do niedościgłych celów nadają mu wielce dramatyczny charakter. Ale ta dramatyczność jest szczególnego rodzaju, odpowiednio do wyjątkowego w poezyi charakteru roli Fausta; mianowicie nie polega ona na żadnéj szczególnéj sytuacyi zewnętrznéj, powodującéj dramatyczną kolizyą, jak się to dzieje zwykle w utworach tego rodzaju poezyi. Sytuacya jest tu możliwie najogólniejsza, stanowią ją bowiem ogólne warunki ludzkiego bytu; dramatyczność polega na dążeniu bohatera do przełamania przeszkód, jakie działalność jego spotyka w tych warunkach. Podczas gdy zwykle dramatyczna kolizya jest następstwem w części wewnętrznego usposobienia bohatera, w części danéj sytuacyi zewnętrznéj; w Fauście ma ona swą podstawę wyłącznie w wewnętrznych psychicznych czynnikach umysłowości bohatera. Z natury bowiem rzeczy, każda istota ludzka znajduje się w téj saméj, co Faust sytuacyi; tylko ustrój psychiczny Fausta sprawia, iż nie może on się pogodzić z tą sytuacyą i całą mocą swych uczuć i myśli dąży do przekroczenia jéj granic. Ponieważ ze wszystkich niemożliwych do przezwyciężenia przeszkód te, które Faust spotyka, są najniemożliwsze,—następstwem tego musi być tragiczność. Tragiczność ta wzrasta w ciągu całéj drugiéj połowy monologu, dosięgając najwyższego szczytu w zamiarze samobójstwa nie jest jednak posunięta do ostateczności — bohater nie ginie; gdyż, jak wiemy, takie zakończenie nie zgadzałoby się z ostatecznym celem roli Fausta.

Z tego, co wyżéj powiedziano, wypada, iż tak samo jak postać Fausta jest ogólnym typem natury ludzkiéj, dramatyczność i tragiczność jéj jest odbiciem doli całéj ludzkości, o ile ona dąży do wyż-

szych celów, walczy z ograniczonością swéj własnéj natury, cierpi krwawo i boleśnie pod naciskiem nieprzyjaznych potęg natury. Wreszcie dodać należy, iż tego rodzaju dramatyczna kolizya może być tylko okazana w wewnętrznéj walce uczuć i myśli; niema tu żadnych szczególnych zdarzeń i sytuacyi, stanowiących zewnętrzną szatę dramatyczności,—cały dramat rozegrywa się w wewnętrznym świecie ducha ludzkiego. To téż głównie wyżéj określona dramatyczność zawarta jest w wielkim monologu. W scenie przechadzki z Wagnerem rola Fausta nacechowana jest liryzmem; toż samo w monologu przed zjawieniem się Mefistofela. W scenach z Mefistofelem interes dramatyczny skupia się głównie na tym ostatnim; przystąpienie Fausta do układu nie przedstawia szczególnego interesu i traktowane jest przez poetę w sposób humorystyczny i dosyć pobieżny,—dlaczego?— o tém wyżéj była mowa. Wogóle liryzm ma tu téż znaczny udział w roli Fausta, choć znajdują się tu ustępy bardzo dramatyczne. Wreszcie w tragedyi Małgorzaty dramatyczność, charakteryzująca rolę Fausta, łączy się z innego rodzaju dramatycznością, która jest wynikiem danéj specyalnéj sytuacyi, stanowiącéj osnowę miłosnéj tragedyi. Główną rolę w téj ostatniéj gra, jak wiemy, Małgorzata. Dramatyczność roli Fausta uwarunkowana pewnemi szczególnemi sytuacyami wyraża się głównie w scenie z Mefistofelem (*Wald und Höhle*), w któréj Faust nadaremnie walczy ze swą namiętnością, w drugiéj scenie z Mefistofelem (*Trüber Tag*), w któréj dowiaduje się o tragicznym losie kochanki, wreszcie w pysznéj scenie więziennéj. Najpiękniejsze objawy liryzmu znajdujemy w monologu *Erhabner Geist* (scena w lesie i jaskini), oraz w wyznaniu wiary w dyalogu z Małgorzatą (druga scena w ogrodzie Marty).

Charakter Małgorzaty w pierwszéj części tragedyi doprowadzony zostaje do ostatecznego kresu swego rozwoju. Miłość stanowiła główną jego cechę. To uczucie w ziemskiéj, zmysłowéj naturze łączy się nieodzownie z niższemi jéj popędami: wpływ tych ostatnich, jakotéż niedoświadczenie i ślepa ufność niewinnéj dziewczyny sprawiają upadek, polegający na naruszeniu praw i zasad istniejącéj społecznéj moralności. Moralność ta mści się przez cały szereg tragicznych następstw, wtrącających Małgorzatę w otchłań cierpienia i hańby. Jednakże po nad zasadami etycznemi, będącemi wynikiem każdoczesnego społecznego rozwoju, istnieją wyższe i wznioślejsze zasady, znajdujące swą podstawę w najistotniejszych cechach rozwoju ludzkości: pierwszą z nich jest zasada miłości, w któréj wyraża się najwyższa idea humanitarna, będąca ostatecznym, dającym się pojąć kresem społecznych dążeń; drugą jest zasada przebaczenia, wypływająca jako nieunikniona konsekwencya z tamtéj. Te wzniosłe idea-

ły społecznego altruizmu znalazły najpełniejszy swój wyraz w chrześcianizmie, który je sformułował, przyodział w zmysłową szatę symbolów i dogmatów i w téj postaci postawił przed oczyma ludzkości, niezdolnéj jeszcze w danéj fazie rozwoju, pojąć tych idei w oderwanéj postaci. W tym też duchu i w tym kształcie rozwiązał Goethe los swéj Małgorzaty: potępiona przez sprawiedliwość ludzką, znajduje ona przebaczenie u boskiéj sprawiedliwości. Cierpienie i pokuta są rękojmią oczyszczenia jéj serca; miłość, stanowiąca główne tło jéj charakteru, podnosi ją do najwyższéj apoteozy w ostatecznêm zakończeniu 2-giéj części poematu.

Należy teraz zwrócić uwagę na dramatyczność i tragiczność w roli Małgorzaty. Pod tym względem jest ona doskonałym typem nowoczesnéj dramatycznéj kreacyi. Wiadomo, że główna cecha nowoczesnego dramatu na têm polega, iż wszystkie dramatyczne i tragiczne jego sytuacye winny być uzasadnione przez cechy tkwiące w charakterze działających osób, w myśl tych słów Schillera: „In deiner Brust sind deiner Schicksals Sterne."

Temu warunkowi czyni zadość kreacya Małgorzaty. Widzieliśmy, iż cała tragiczność jéj losu jest następstwem właściwości jéj charakteru: niedoświadczenia, ślepéj ufności, miłosnego odurzenia i t. d. Wprawdzie te wady, jeśli wogóle można je tak nazwać, są bardzo małe i w żadnym razie nie zasługują na tak srogą karę; głównie są tu winne stosunki społeczne, które tak łatwo pozwalają na upadek niewinnéj istoty, a tak srogo go karzą,—ale ta okoliczność nie czyni ujmy warunkom dramatyczności. W nowoczesnym dramacie nie chodzi o to, aby tragiczność była karą za winę, lecz aby znajdowała uzasadnienie we właściwościach charakterów ludzkich, bez względu na to, czy te właściwości uważać będziemy jako przewinienia, wady, czy też jako cnoty. Owszem, im wyższy jest charakter, im szlachetniejszemi powoduje się pobudkami, têm więcéj wzbudzać będzie sympatyi, interesu, a zatém wyższą mieć będzie estetyczną wartość. Właśnie w kreacyi Małgorzaty znajdujemy urzeczywistnienie tych warunków: piękna, czysta jéj postać wzbudza w nas najwyższy interes, a cały przebieg zdarzeń w jéj życiu umotywowany jest psychiczną i społeczną koniecznością. Konieczność ta wyraża się w tym pewniku, iż istota z takim charakterem, z duszą tak niewinną i niedoświadczoną, z sercem tak pełnem miłości i ufności—w danych warunkach społecznych i w pośród tych pokus, które ją otaczały, upaść musiała i musiała cierpieć tragiczne następstwa swych czynów. Podniesienie się zaś jéj z upadku i ostateczna apoteoza, która kończy jéj rolę, zadawalniają nasze uczucie sprawiedliwości.

Pozostaje mi jeszcze dodać kilka ogólnych uwag o roli Mefistofela. Oczywiście nie może być mowy o jakimkolwiek rozwoju jego charakteru. Nie jest to bowiem żaden ludzki charakter, któryby podlegał zewnętrznym wpływom i pod ich działaniem się rozwijał, lecz uosobienie pewnéj, abstrakcyjnie wziętéj właściwości umysłu ludzkiego. Zresztą i zewnętrzna jego postać, jako demona, nie dopuszcza możliwości rozwoju: jako istota demoniczna pozostaje on po za sferą wszelkich czynników życia i ich wpływu. Wskutek tego nie może on téż być postacią dramatyczną w ścisłém znaczeniu: jakkolwiek bowiem posiada pewne zamiary, dąży do pewnego celu, lecz ponieważ rozporządza nadnaturalnemi środkami, za pomocą których działa i usuwa stojące na drodze przeszkody, więc nie może zachodzić kolizya dramatyczna wobec tych przeszkód. Wprawdzie spotykamy w poezyi postaci demoniczne, nacechowane dramatycznością: np. szatan Miltona, Massynisa Krasińskiego; ale dramatyczność ich jest wynikiem kolizyi nie ze zwykłemi przeszkodami, jakie człowiek na swéj drodze spotyka, lecz z bezpośrednim objawem najwyższéj, potężniejszéj od nich woli Bożéj. I Mefistofel staje się téż dramatyczny przy końcu 2-éj części, gdy wchodzi w kolizyą z tą potęgą,—lecz w téj części nie ma to miejsca i dlatego téż nie ma w jego roli istotnéj kolizyi dramatycznéj.

Pomimo tego jednak Mefistofel jest postacią nadającą się ze wszech miar do dramatu, a przyczyną tego jest komizm, cechujący jego rolę. Gdyby tylko satyra i krytyka, główne, jak wiemy, składowe czynniki charakteru Mefistofela, zawierały się w jego roli, nie miałby on w sobie żadnych żywiołów dramatycznych; komizm, będący w części wynikiem tych cech głównych, a w części od nich niezależny, nadaje mu dramatyczne znaczenie. Zobaczmy dla czego i w jakiém znaczeniu komizm jest żywiołem dramatycznym. Istota poezyi dramatycznéj, wziętéj w najobszerniejszém znaczeniu, polega na okazaniu właściwości charakteru poetycznéj kreacyi za pomocą kolizyi pomiędzy jéj postępowaniem a warunkami zewnętrznemi. Jeśli ta kolizya ma za następstwo natężenie wszystkich sił dla zwalczenia przeszkód, wtedy mamy dramatyczność w ścisłém znaczeniu; jeśli następstwem jéj jest cierpienie i upadek bohatera, wtedy zachodzi tragiczność; jeśli zaś wynikiem kolizyi jest tylko mniéj lub więcéj silny kontrast, niepociągający za sobą ani cierpienia, ani szczególnych wysiłków,— wtedy, jak każdy tego rodzaju kontrast, wywołuje on śmieszność, czyli jest komiczny. Z tego powodu komizm słusznie do dramatycznych żywiołów poezyi jest zaliczany. Komizm jednak w roli Mefistofela nie jest następstwem mimowolnego komicznego kontrastu postępowania z zewnętrznném otoczeniem, ale wy-

nika z dążności jego satyryczno-krytycznéj: dla tém większego wyszydzenia i ośmieszenia jakichś stosunków, sam on się stawia umyślnie w sytuacyi, kontrastującéj z nimi komicznie; w ten tylko sposób powstaje po większéj części komizm w jego postępowaniu. Przypomnę tu dla przykładu dyalog z Faustem, w którym Mefistofel opowiada o zabraniu przez księdza klejnotów ofiarowanych Małgorzacie. Kontrast komiczny jest tu bardzo silny: dar dyabelski, przeznaczony na uwiedzenie Małgorzaty, poszedł na ofiarę do kościoła; a niezależnie od tego w całém przedstawieniu rzeczy zawiera się głęboka satyra. W scenie z uczniem komiczną jest rola tego ostatniego, w roli Mefistofela nie ma właściwie komizmu, lecz niezmiernie dowcipna i dosadna satyra. Komizm w scenach z Martą i w piwnicy Auerbacha jest więcéj lekkiego rodzaju, satyra więcéj powierzchowna, jak tego zresztą sama sytuacya wymaga. W epizodzie nocy Walpurgi i w scenie u czarownicy obok głębokiéj satyry zawiera się komizm jeszcze lżejszego rodzaju, przechodzący niekiedy w błaznowanie, ale i w tém błaznowaniu dowcip, choć pozbawiony głębszéj treści, bardzo jest artystyczny i w najlepszym smaku, z wyjątkiem paru miejsc, gdzie przechodzi w trywialność. Ta ostatnia jednak nie czyni ujmy roli Mefistofela: jest naturalnym objawem cechy cynizmu, która znowu konsekwentnie wynika z ogólnéj cechy przeczenia. Zresztą każdy przyzna, że Goethe w bardzo umiarkowanéj mierze pozwolił sobie trywialności, tyle tylko, ile było potrzeba dla dobitniejszego scharakteryzowania Mefistofela, dla uczynienia bardziéj dosadną, żywą, plastyczną tej niezrównanéj, jedynéj w poezyi kreacyi.

Powyższy rozbiór dał nam poznać główne składowe żywioły 1-éj części tragedyi, teraz chodzi o to, aby sobie zdać sprawę z wrażenia, jakie czyni połączenie ich w jedno dzieło sztuki.

Właściwie, wyczerpujący pogląd w téj mierze mógłby być wyrzeczony dopiero po zbadaniu i ocenieniu części drugiéj; część 1-sza sama przez się nie stanowi skończonéj całości, jest bez wątpienia arcydziełem, ale arcydziełem fragmentarycznėm. Jednakowoż i z obecnego punktu widzenia, ze względu na to, iż mamy przed sobą, w każdym razie, bardzo wielką część całego dzieła i pod względem estetycznym niewątpliwie najważniejszą, możemy wytworzyć sobie pewne ogólne pojęcie o jéj artystycznym charakterze i wartości.

Przedewszystkiém, że Faust nie jest tragedyą klasyczną, tego, zdaje się, nie trzeba dowodzić i z tego stanowiska nie będziemy go też oceniać. Brak jedności miejsca i czasu, pomieszanie żywiołów komicznych z tragicznemi itp. wady, którychby nie wybaczył krytyk XVIII wieku, nas obecnie wcale nie rażą; największy nowoczesny dramaturg, Szekspir, przyzwyczaił już nas do tego rodzaju dramatu.

Ale posiada Faust inne właściwości, które nawet ze stanowiska nowoczesnego poglądu wydają się wadami: przerwy w akcyi, niedostateczne umotywowanie pewnych sytuacyi, przewaga liryzmu w niekrórych scenach—oto główniejsze z nich. Zaznaczyłem na właściwém miejscu pewne ujemne strony tragedyi stąd wynikające. Nie dowodzą one jednak, aby Faust nie był genialném arcydziełem, ale dowodzą tylko tego, że największy nawet artystyczny geniusz nie może się wznieść do absolutnéj doskonałości; tak samo, jak nigdy człowiek nie może posiąść w życiu absolutnéj prawdy i absolutnego szczęścia: bo natura ludzka względną jest, do absolutu nigdy, wznieść się nie może. Dlatego niema bezwarunkowo takiego arcydzieła sztuki, któreby pewnym zarzutom podlegać nie mogło.

Co zaś do innych wad Fausta, to przytoczę tu przedewszystkiém trafne słowa p. de Staël: „Niepodobna, mówi znakomita autorka, aby taki człowiek, jak Goethe, nie widział wad swego dzieła; ciekawém byłoby tylko wiedzieć: dlaczego je pozostawił?"—Otóż na to pytanie ogólnie można odpowiedzieć, że stało się to niewątpliwie dlatego, iż Goethe miał jasne poczucie swego geniuszu i, tworząc w natchnieniu, nie oglądał się na istniejące estetyczne wymagania. Natchnienie twórcze to samorodna siła, która płynie z głębi duszy poety i zmusza go do wylania na zewnątrz uczuć i myśli przepełniających jego łono i do nadania im takich kształtów, jakie najodpowiedniejsze są dla pełnego ich wyrażenia. Bo zważmy: zkąd się biorą formy i reguły artystyczne? Oczywiście, wyciągamy je z dzieł genialnych twórców; powstają ztąd, iż jakiś wyższy geniusz twórczy w takiéj właśnie, a nie innéj formie mógł wyrazić swe artystyczne pomysły. Następnie te formy przez powtarzanie i naśladownictwo zyskują utrwalenie i stają się pewnemi typami estetycznéj ekspresyi. Ale te typy nie są wiecznotrwałe: ulegają zmianom; bo zmienia się ciągle ogół uczuć, wyobrażeń, idei, które, rozproszone w całéj atmosferze społecznéj, objawiają się w najpełniejszéj mierze w umysłach wielkich twórców. Te zmienione żywioły psychiczne, o ile wywołują działalność twórczą, mogą nie znajdować w istniejących artystycznych typach odpowiedniego dla siebie zewnętrznego kształtu wskutek tego powstają nowe formy, które jeśli znajdą naśladowców stają się nowemi typami estetycznéj ekspresyi,—w przeciwnym razie zajmują stanowisko w sztuce wyłączne i odosobnione. Wiele jest, jak wiadomo, tego rodzaju dzieł w poezyi; przypomnę tu obok Fausta: Dziady, Boską komedyą, niektóre utwory Byrona, Słowackiego, Krasińskiego itd. Wszystkie te utwory dadzą się mniéj lub więcéj podciągnąć pod jeden z wielkich działów poezyi, nie podchodzą jednak pod żaden szczególny jéj typ. Faust należy niewątpliwie do

rodzaju dramatycznego, nie odpowiada jednak zupełnie wszystkim warunkom istniejących w tym rodzaju typów. Że z tego wynikają pewne niedogodności, np. trudność przedstawienia Fausta na scenie, to się nie da zaprzeczyć; można do pewnego stopnia nad tém ubolewać, ale nie można z tego czynić zarzutu poecie: gdyż on tylko w téj, a nie innéj formie mógł wyrazić ogół tych uczuć i pomysłów twórczych, które stanowią osnowę jego poematu. A że te uczucia i pomysły odbijają dziwnie prawdziwie i głęboko najistotniejsze objawy ducha ludzkości, że są odtworzone z porywającą siłą ekspresyi i w formach niewymownie plastycznych i pięknych: musimy uznać Fausta za genialne arcydzieło, niezależnie od wszelkich zarzutów, jakie można mu czynić ze stanowiska istniejących estetycznych wymagań. Interesującą wielce byłoby rzeczą zastanowić się nad szczególnemi własnościami estetycznéj formy Fausta, wykazać dlaczego właśnie takie a nie inne estetyczne środki nadawały się do pełnego wyrażenia uczuć i pomysłów poety: wymagałoby to jednak oddzielnego studyum, które nie może wchodzić w zakres niniejszéj pracy. Poprzestając więc na tych ogólnych uwagach, przechodzę na zakończenie do kwestyi jedności akcyi w Fauście.

Jakkolwiek estetyczne warunki twórczości poetyckiéj ulegać mogą mniéj lub więcéj doniosłym przeobrażeniom i zmianom: są jednak pomiędzy nimi takie, które pozostają zawsze niezmienne, gdyż wynikają z najistotniejszych cech umysłu ludzkiego, występujących w jego estetycznéj działalności i określających wszelkie wymagania w zakresie téj działalności. Jednym z takich warunków jest artystyczna jedność w każdém dziele sztuki:—ona bowiem jest przyczyną, iż dzieło to stanowi pewien określony przedmiot, w którym panuje wewnętrzny ład i harmonia, co jest oczywiście pierwszym warunkiem estetycznego upodobania. Otóż zachodzi pytanie: czy Faust odpowiada temu warunkowi?

Z całego powyższego rozbioru charakterów działających osób okazuje się, iż zasadnicza akcya Fausta skupia się około psychicznego rozwoju głównego bohatera. W wielkim monologu dramatyczna akcya rezegrywa się we wnętrzu duszy Fausta, w kolizyi ścierających się sprzecznych uczuć, w któréj objawiają się zasadnicze cechy jego natury psychicznéj i z któréj wynikają zmiany i przewroty w jéj wnętrzu. W następnych scenach występują pewne czynniki zewnętrzne, uosobione w dwóch tak sprzecznych postaciach Małgorzaty i Mefistofela, których wpływ wywołuje nowe zmiany, nowe przewroty w duszy Fausta. Negacyjny wpływ Mefistofela ma za rezultat porzucenie poprzednich dążeń, zwrot do życia i natury,—następnie zaś upadek moralny i cierpienie; miłość Małgorzaty podnosi i uszlachet-

nia charakter Fausta, odkrywa przed nim piękne i dodatnie strony życia; wreszcie, gdy pod wpływem Mefistofela, Faust upada moralnie i wciąga w swój upadek Małgorzatę:—jéj postać, oczyszczona przez miłość, pokutę i cierpienie, ukazując mu się w apoteozie pociąga go za sobą do najwznioślejszych sfer moralnego udoskonalenia. Ten ostatni wpływ dopiero w 2-éj części w pełni zostaje uwydatniony i w téj jednak zaznaczony jest dość wyraźnie w owym ostatnim głosie wzywającym Fausta, którym się kończy tragedya.

Tak więc widzimy, iż ogólny stosunek między głównemi postaciami tragedyi odpowiada warunkom jedności akcyi; ale zachodzi jeszcze pytanie: czy w rozwinięciu szczegółowém ról zachowana jest właściwa równowaga? Może tu zachodzić wątpliwość co do roli Małgorzaty. Wiemy, że epizod tragedyi, w którym ona występuje, stanowi w pewnéj mierze skończoną i samodzielną całość, w któréj Małgorzata jest główną bohaterką. Otóż czy ta okoliczność nie narusza jedności akcyi? Przedewszystkiém, zauważyć należy, iż nie można wymagać od utworu poetyckiego absolutnéj jedności: w utworach większych rozmiarów taka jedność byłaby nawet wadą, byłaby bowiem jednostajnością, a istotą całości estetycznéj jest jedność w rozmaitości. Im rozleglejszy jest zakres dzieła poetyckiego, tém naturalnie pojedyncze jego części większe mieć muszą rozmiary. W poemacie tak olbrzymiego zakresu, jak Faust, epizody muszą mieć też szczególne rozmiary i stanowić same przez się rozległe całości: z tego więc względu tragedya Małgorzaty nie czyni ujmy jedności akcyi. Przyznać wszakże trzeba, iż ze względu na swą szczególna piękność i doskonałość, z którą nie mogą iść w porównanie mianowicie sceny 2-éj części—epizod ten skupia w sobie szczególniéj estetyczny interes i przez to narusza do pewnego stopnia artystyczną równowagę całości. Jednakże w utworze téj rozległości co Faust, pisanym w ciągu całego życia poety, taki brak równowagi artystycznéj był rzeczą nieuniknioną, a, w każdym razie, niema powodu ubolewać, iż poeta, który w całém swém dziele okazał się niezrównanym mistrzem,—w niektórych jego ustępach wzniósł się jeszcze nad zwykłą miarę swego twórczego natchnienia i przeszedł, można powiedzieć, sam siebie.

Wreszcie, co do drugorzędnych postaci i scen tragedyi, takich jak Wagner, Marta, sceny ludowe itd.—to, z wyjątkiem epizodu nocy Walpurgi, który jest tylko, że tak powiem, mechanicznie połączony z całością i, jako taki, nie potrzebuje być brany pod uwagę; wszystkie one choć nie mają wpływu na bieg głównéj akcyi, przyczyniają się jednak do uwydatnienia różnych jéj momentów i różnych cech

głównego bohatera i takim sposobem łączą się z nią w jednę całość, podnosząc niezmiernie jéj piękność przez swą niezrównaną typowość i doskonałość artystyczną.

Ostatecznie, streszczając, na podstawie całego powyższego rozbioru, sąd nasz o Fauście, o ile go dotąd poznaliśmy: możemy powiedzieć, iż jest on nietylko jednym z najświetniejszych wytworów geniuszu ludzkiego pod względem głębokości myśli, siły i rozległości uczuć, ale nadto, pomimo wszystkich zarzutów, jakie mu można uczynić ze stanowiska estetycznego,—jest jedném z najdoskonalszych dzieł sztuki.

Walery Gostomski.





SEJM CZTEROLETNI

W OPRACOWANIU

KSIĘDZA KALINKI.

Sejm Czteroletni napisał X. Waleryan Kalinka ze Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego. Tomu Drugiego część I, 1881; część II, 1884—1886. Lwów. Nakładem księgarni Seyfartha i Czajkowskiego. Wydanie pierwsze (jednocześnie wyszły trzy edycye różnych formatów).

Na tém samém miejscu przed pięciu laty (1) zdaliśmy sprawę z tomu I-go znakomitéj, a tak skwapliwie przez powszechność naszą przyjętéj pracy ks. Kalinki; dziś mamy już przed oczyma ukończony tom drugi i znów pośpieszamy podzielić się wrażeniami z czytelnikiem, zanim się ukaże zakończenie całego dzieła. Spieraliśmy się wtedy z szanownym autorem o pogląd zasadniczy i o kilka wniosków szczegółowych, zapowiedzieliśmy jednak, że przy końcu badań na ostatnich kartach prac naszych może się znaleść „jeśli nie jednomyślność, to przynajmniéj zgodność, jakiéj z ksiąg początkowych nie możnaby wywróżyć.“ Obecnie z przyjemnością zaznaczam, że przepowiednia ta zaczyna się iścić.

Tom niniejszy składa się z dwóch ksiąg: pierwsza (raczéj czwarta) p. t. „Przyjaźń z Prusami“ obejmuje całą akcyą dyplomatyczną przywódców sejmu czteroletniego aż do kwietnia 1791 roku, a więc nie tylko sprawę przymierza pruskiego, ale też układów z Turcyą, Szwecyą, Anglią, oraz uboczne rzuty oka na sprzymierzone z sobą Rosyą i Austryą. Sieć intryg, sprzecznych wpływów, interesów, albo czasem fantazyjnych rojeń, która początkujących dyplomatów polskich oplątywała, występuje pod biegłem piórem ks. Kalinki z zupełną jasnością i logiczną konsekwentnością. Wybornie jest zdemaskowana bezinteresowność i prawość „pośrednika narodów“, króla

---

(1) Ateneum 1881, luty, tom I, zesz. II, str. 324—354.

Fryderyka Wilhelma II, który w ciągu kilku miesięcy z jednéj strony zawiera traktat przymierza z Polską, a z drugiej ofiaruje w Petersburgu przyzwolenie swoje na powrót wpływu czyli właściwie przemożnego panowania Imperatorowéj nad Rzecząpospolitą, gdy ta miała się okupić sprzymierzeńcowi ustępstwem Gdańska, Torunia i „kilku“ powiatów wielkopolskich (str. 76). To znów w Konstantynopolu poseł pruski przeszkadza z cicha Piotrowi Potockiemu w układach o przymierze z Turcyą (str. 183) i t. p. Godną podziwu jest przenikliwość, z jaką ks. Kalinka odcyfrował w przedrukowanych tu i owdzie reskryptach Katarzyny tajemny plan Potemkina ogłoszenia się hetmanem Ukrainy, skasowania Unii i zawezwania ludu w południowych województwach Polski do połączenia się z Rosyą (str. 115 przypisek). Było to pod koniec 1789 r. pod wrażeniem paniki, jaką w Polsce wywołała tak zwana sprawa buntów ukrainnych. Potemkin zamierzał wkroczyć w 60,000 od gubernii mohilewskiéj i posunąć się aż ku granicy galicyjskiéj, pod Zborów i Zbaraż. Tylko cesarz Leopold bezwiednie ochronił Polskę od wielkich nieszczęść na Rusi, może od wznowienia koliszczyzny (str. 120).

Mniéj zrozumiałą dla nas okazuje się polityka austryacka, mianowicie Kaunitza. Nie umiemy wynaleść właściwéj wagi dla propozycyi jego, uczynionych posłowi polskiemu Woynie (str. 38). Propozycye te były bardzo ponętne i od pruskich korzystniejsze, ale czy szczere, czy nie po to tylko wypowiedziane, aby rozerwać bliskie już zakończenia układy o traktat pruski? Niemniéj przeto ciężki spada na sumienie przywódców sejmowych, Ignacego Potockiego i samego „Arystydesa“ polskiego, marszałka Małachowskiego zarzut, że depeszę Woyny z rzeczonemi propozycyami zataili przed sejmem, wbrew obowiązkom swoim i przysiędze, złożonéj przy wstąpieniu do Deputacyi Interesów Zagranicznych (str. 41, 57; coś jednak o tych propozycyach wiedziano w izbie — str. 55). Rozumiemy teraz, że ks. Kalinka miał poważne powody do nazwania pewnéj grupy sejmowéj stronnictwem pruskiém, skoro wiedział o spełnioném przez nią tak wielkiém przestępstwie, o zwierzaniu się przed Lucchesinim z propozycyi austryackich i szwedzkich (str. 41, 191), o zapędach Ignacego Potockiego w podziwianiu wspaniałomyślności i szlachetności Fryderyka Wilhelma II, o projekcie oddania tronu polskiego młodszemu jego synowi i t. p. Wszakże pobudki moralne tych błędów i złudzeń odejmowały im cechę występku, lub hańby. Sam ks. Kalinka zaświadczył dawniéj o bezinteresowności pieniężnéj stronników przymierza pruskiego, a teraz przytoczył na korzyść Ignacego Potockiego odrzucenie ofiarowanego mu orderu orła pruskiego i na korzyść całéj deputacyi kilka faktów oporu i odmowy na propozy-

cye pruskie, jak tylko okazały się dla Polski niekorzystnemi (str. 26, 57, 110). Tak nie postępują najemnicy, dusze zaprzedane, zdrajcy. Więc ks. Kalinka w każdym razie postąpił zbyt surowo, zamieniając dawniéj przez spółczesnych nadaną nazwę stronnictwa patryotycznego na pruskie.

Surowość ta narusza nawet równowagę szal sądu historycznego, ponieważ inna wcale miara bywa stosowana do słów i czynności Stanisława Augusta. W przedmowie szan. autor podnosi i odpiera uczyniony mu przez recenzentów zarzut „zbytniéj wyrozumiałości." Oświadcza, że nie zatajał umyślnie win „najnieszczęśliwszego ze wszystkich królów polskich"; że wykazał takie błędy jego, o których dotąd mniéj, albo wcale nie wiedziano; że recenzenci walczyli faktami i sądami, zaczerpniętemi właśnie z zaskarżanéj książki. W istocie ks. Kalinka nic nie zataja, a jednak powyższemu zarzutowi podlega, ponieważ wykłada, tłómaczy, oświetla życzliwie i stylizacyą pochlebną podnosi politykę Stanisława Augusta nad wartość rzeczywistą. Tak np. widzi mądrość jego w niechęci do przymierza pruskiego, w domaganiu się przedewszystkiém traktatu handlowego i zniesienia ucisku cłowego na Wiśle oraz otworzenia granicy szląskiéj dla wywozu polskiego (str. 22, 42). Przyznaje mu „zasługę", że nigdy nie był sojuszowi tureckiemu przychylny, że podpisanie traktatu odpornego i zaczepnego udaremnił dodaniem warunku: „o ile Prusy i Szwecya wojnę z Rosyą prowadzić będą" (str. 184, 186, 168). Pochwala jego ociąganie się z nominacyą posła do Szwecyi w przekonaniu, „że ona pożytku Rzpltéj nie przyniesie, a Imperatorowéj nie będzie przyjemną" (str. 187). Gdy zaś dłużéj zwlekać nie można było, król zamianował Jerzego Potockiego do Sztokholmu, lecz „aby umniejszyć znaczenia téj nominacyi", wyznaczył zarazem posłów do Kopenhagi i Drezna (str. 188) bez żadnéj wówczas potrzeby, z narażeniem skarbu na zbyteczne koszta, o które dawniéj się spierał. Daléj, Stanisław August „zrozumiał donośność angielskich propozycyi i o ile stanowisko jego dozwalało, dopomagał do pomyślnego zakończenia negocyacyi" z ofiarą Gdańska i Torunia królowi pruskiemu (str. 246). A gdy się raz mu zdarzyło puścić mimo uszu propozycyą Stackelberga spłaty długów przez dwory cesarskie, to ks. Kalinka podwakroć podnosi tę „wspaniałomyslność"! (str. 35 i 252).

Rady królewskie „zacne i roztropne" rzadko były przyjmowane z ufnością przez stronnictwo patryotyczne, za co autor gromi przywódców, przy każdéj sposobności, wytykając im nieznajomość dyplomacyi, brak przezorności, łatwowierność, niemal nieudolność polityczną. My nie wdamy się w krytykę szczegółową całéj kampanii

dyplomatycznéj sejmu czteroletniego; gotowiśmy uznać z autorem niedostateczne uzdolnienie całéj Deputacyi Interesów Zagranicznych: ale nie możemy spuścić z uwagi, że jéj rozumowania i motywy postanowień nie mogły być wyświetlone należycie, skoro autor nie czytał protokułów sesyi tajnych sejmu i czerpie swe wiadomości wyłącznie prawie z korespondencyi z Debolim, t. j. od samego Stanisława Augusta, skoro patrzy tylko przez jego okulary, skoro czyni program jego osią swego systematu krytyki politycznéj. Wszystkie rady „roztropne“ co do przymierzy już-to z Prusami, już z Turcyą lub Szwecyą wypływały z jednego źródła mądrości politycznéj: nie robić nic nieprzyjemnego dla Imperatorowéj, nie urażać Rosyi. Ks. Kalinka mniema, że „gabinet petersburski dozwalał Rzpltéj pewnych ulepszeń administracyjnych i pomnażania wewnętrznych zasobów pod warunkiem, że Polska wpływowi Rosyi ulegać będzie dobrowolnie“, nazywa zerwanie z Rosyą i przechylenie się do Prus „pierworodnym grzechem sejmu“: ale nie zapominajmy, że sejm ten zapragnął uwolnić kraj od uciążliwéj i upokarzającéj gwarancyi, że uczuł urok niepodległości narodowéj i że tém właśnie zarobił sobie na sławę tak u spółczesnych, jak u potomności. Skoro zaś ów grzech sejmu był pierworodnym, to nie dziw, że przewodnicy jego nie mogli żywić zaufania do Stanisława Augusta, który wciąż, nawet po rzekomem odstąpieniu od stronnictwa rosyjskiego, wszedłszy w serdeczne stosunki ze stronnictwem patryotyczném, głosząc znane hasło „król z narodem“, zwierzał się ze spraw dyplomatycznych Stackelbergowi (np. str. 51, 64), lub czuwał bojaźliwie nad usuwaniem wszelkiéj decyzyi, którąby mogła być Imperatorowéj nieprzyjemną.

Nie dość na tém. Obrachunek niepowodzeń i uchybień stronnictwa przewodniczącego został obciążony nienależném „debet“ w takich wypadkach, w których autor posiadał niedokładne albo téż błędne wiadomości. Tak, wytykając szkodliwość i kosztowność poselstwa do Turcyi, podaje koszt w przesadnéj cyfrze 60,000 dukatów (str. 186), tymczasem rachunki skarbowe z obu dwuleci sejmowych zawierają dwie sumy: zł. 405,000 i 460,640, które czynią razem tylko 48,000 dukatów. [Zanotujemy nawiasowo, że Szkoła oryentalna w Stambule nie wtedy i nie przez starostę szczerzeckiego zakładaną była, lecz przed rokiem 1766 przez Tomasza Aleksandrowicza, który jeździł w poselstwie do Porty z zawiadomieniem o wstąpieniu na tron Stanisława Augusta (1)]. Opisując niemal z szyderstwem niezdarność i nieczynność posłów czyli ministrów polskich przy dworach zagranicznych, autor ogarnia też swoją naganą Ogińskiego (str. 194), cho-

(1) Wewn. Dzieje Polski t. III, tab. 176, str. 168, przypisek 2; tab. 203.

ciaż ten potrafił pomyślnie i szybko znegocyować 10-milionową pożyczkę holenderską w Hadze, zaszczepił tam sympatyczne dla sejmu usposobienie i jeździł do Londynu na układy z Pittem. W ustępie o rozprawach z dnia 1 kwietnia 1791 r., kiedy to zapadła uchwała o nierozdzielności Rzpltéj, ks. Kalinka powtarza z wiarą, a przynajmniéj bez żadnego objaśnienia śmieszne słowa Stanisława Augusta: „Widoczna była niechęć do mojéj osoby i to tak dalece, że już *cicho* szemrali, iż *rozsiekać* mię potrzeba“ (str. 238). Czyż można brać za dobre takie obawy tchórza? czy podobna przypuścić scenę rozsiekania w tém gronie arcy-sentymentalnnych i aż zanadto wydelikaconych ludzi, o których sam Ignacy Potocki powiadał: „*ils ne sont ni méchants, ni cruels; ile ne versent pas du sang; ce sont les hommes les plus doux et les plus moutons de la terre*“ (1).

Posiedzenie z d. 15 marca, na którém uchwalono zawarcie traktatu pruskiego, wywołuje w umyśle czytelnika zgorszenie, jeśli nie oburzenie na kierowników intrygi sejmowéj, szczególnie zaś odczytanie depesz ks. Jabłonowskiego z Berlina przez Matuszewicza, które „musiały być podrobione.“ Dla czego „musiały“? Na czém oparty jest tak ciężki zarzut? Oto, na streszczeniu owych depesz w raporcie posła austryackiego de Caché i na kombinacyach autora, z tegoż streszczenia wysnutych—podstawa tém wątlejsza, że to posiedzenie sejmowe odbyło się przy drzwiach zamkniętych i protokół jego nie jest autorowi znany (str. 56,51). Zarzut, a chociażby przypuszczenie fałszerstwa przy takim stanie materyału, bez dokumentu, bez porównania i sprawdzenia dowodów, nie może, nie powinien być stawiany, a więc *nie* „godzi się powiedziéć, że przy téj uchwale nie strzeżono ani prawa, ani dobréj wiary“ (str. 57).

Wymagałyby też dokładniejszego sprawdzenia: zakaz wywozu zboża do Rosyi i skasowanie zawartych kontraktów „z niemałą szkodą dla armii moskiewskiéj, która mogła być ogłodzoną, lecz z większą jeszcze krzywdą polskich obywateli, którzy stracili jedyny odbyt na swoje produkta (str. 243). Nie przypominamy sobie z przejrzanych akt zarządu skarbowego, aby straży granicznéj dawano stosowne instrukcye wykonawcze, a nie słychać też wyrzekań pokrzywdzonych obywateli, którzy na wszelkie uszczuplenie intrat wielką okazywali czułość.

Wreszcie powtarzają się niejednokrotnie błędne twierdzenia z tomu I-go, że w owéj epoce handel polski upadał, że kraj coraz bardziéj ubożał, że Rada Nieustająca lepiéj rządziła, że pod zarządem

---

(1) Dziennik Bułhakowa pod d. 16, XII, 1791 w Dokumentach do ostatnich lat panowania St. Aug. wydanych przez samegoż X. Kalinkę (str. 280).

króla wojsko było przez cudzoziemców chwalone, gdy armią sejmu czteroletniego jenerał Kalkreuth zganił (str. 244, 19, 105, 242, 249, 125, 124). Mniemania te zbijaliśmy w poprzedniéj recenzyi i dowodzenie swoje utrzymujemy.

Gdy do tak długiego szeregu argumentów logicznych dodamy wrażenia stylowe, tok wysłowienia, ujmującego, przeniknionego czcią i sympatyą, gdy o króla chodzi, surowego, zimno-krytycznego, czasem satyrycznego, jeśli jest mowa o Ignacym Potockim lub jego stronnikach: to się okaże znaczna przewaga na szkodę ostatnich, a na korzyść pierwszego.

Dwa razy jednak w tym tomie ks. Kalinka sięgnął do głębi duszy Stanisława Augusta i dostrzegł jéj nicości, moralnéj mianowicie: 1) z powodu mowy d. 15 marca, w któréj wbrew własnym przekonaniom i zabiegom król oświadczył zgodę na zawarcie traktatu pruskiego bez punktów handlowych; 2) w uwagach nad bohaterstwem Gustawa III pod Swenskasund „Nie było w jego (Stanisława Augusta) charakterze zdolności poczucia się królem“...

„Na téj sesyi nie był królem, tylko udawał króla, jak nie raz jeden w swém życiu“ (str. 161, 54). Na to spostrzeżenie godzimy się w zupełności i sami wyraziliśmy je w zamknięciu swojéj monografii, lecz ks. Kalinka nie zdecydował się na wszechstronne wyzyskanie i rozwinięcie tego określenia, na wyznaczenie właściwéj wagi takiemu defektowi, jak brak poczucia królewskości w królu. Wolał osłabić własny wniosek słodzącymi dodatkami o przykrości podobnych wyznań, o innych przymiotach i zasługach, których Stanisław August „miał więcéj od Gustawa“ itp.

W ogóle zaś krytyka polityki zagranicznéj sejmu czteroletniego budzi w umyśle naszym znaczne wątpliwości. Jakkolwiek na tém polu przyznajemy się do braku przygotowania, doświadczenia i kompetencyi, pozwalamy sobie wynurzyć domysł, że sąd ściśle naukowy o wartości układów czy to z Prusami, czy z Turcyą, Szwecyą, Anglią jest niemożliwy w obec braku dostatecznéj siły zbrojnéj, która stanowi zasadniczy i najważniejszy warunek powodzenia w dyplomacyi. Skoro wiemy, że w latach 1789 i 1790 armia polska ani doprowadzoną do stutysięcznego etatu, ani wyćwiczoną należycie nie była, to już z góry przewidziećbyśmy mogli, że wszelkie sojusze zawierane tak wedle planu Stanisława Augusta z Rosyą przeciwko Turcyi, jako téż wedle życzeń stronnictwa patryotycznego przeciwko Rosyi z Turcyą i Prusami, nie mogły Polsce przynieść istotnych i trwałych korzyści, jednémi słowem nie mogły mieć powodzenia. To téż cenimy najbardziéj w wykładzie ks. Kalinki te zdrowe uwagi; że zawarłszy traktat zaczepny, nie można usuwać się od przewidzianéj w nim

wojny bez narażenia się na zawód w blizkiéj przyszłości (taki błąd popełniono podczas układów w Reichenbach); że zgoda Fryderyka Wilhelma II z Austryą rozdarła przymierze pruskie w połowie, a zgoda z Rosyą musiała je rozedrzéć w swoim czasie do reszty; że niedorzecznością jest żądać od sprzymierzeńca opieki, poręczenia swoich posiadłości, swojéj niepodległości, gdy jemu za tę usługę druga strona niczém się nie wywzajemnia; że niemądrze myśleli Galicyanie, gdy, zabierając się do powstania przeciwko rządowi austryackiemu (1), żądali pieniędzy i wojska od króla pruskiego a sami „nie ofiarowali nic“ na własną swoję sprawę. W takich oto faktach objawia się dochodząca do naiwności dziecięcéj nieudolność myślenia i niedołęstwo czynu politycznego w owoczesném społeczeństwie polskiém.

Część druga tomu II, ukazująca się na półkach księgarskich w lat pięć po pierwszéj, obejmuje prace sejmu z r. 1790 nad naprawą Rzpltéj przez reformy wewnętrzne: skarbowe, kościelne i organiczno-państwowe, tj. dotyczące formy rządu. Tu ks. Kalinka spotkał się na jedném polu badań z nami, lecz ku pożytkowi nauki i zadowolnieniu czytelnika ogląda zwykle inne strony przedmiotu, odsłania nowe perspektywy. Tak, z głębokiém znawstwem i żywém poczuciem sprawiedliwości wyłożył sprawę unicką, przytoczył żądania krzeseł senatorskich dla episkopatu, kilkakrotnie od papieżów nadsyłane, potępił tak opór rządu polskiego przeciwko tym żądaniom jako też zaniedbanie oświaty w całém duchowieństwie unickiém. Mniéj sprawiedliwości widzimy w sądach szan. autora o duchowieństwie katolickiém: gdy okazuje pobłażanie proboszczom, fałszywie zeznającym swoje intraty dla umniejszenia podatku (str. 263); gdy broni Skarszewskiego, skazanego na śmierć w r. 1794, i posuwa się aż do twierdzenia, że „nic zgoła nie można było mu zarzucić“ (str. 400), chociaż znaną jest wina główna tego biskupa, spełniona na sejmie grodzieńskim (rozgrzeszenie z przysięgi na konstytucyę 3 maja), znanemi są także wahania Kościuszki w bezsenną noc zanim zdecydował się pod wpływem Niemcewicza na ułaskawienie, tj. na

---

(1) Sprawa Galicyjska zresztą wydaje się nam nieco przesadzoną w § 124 i 125. Wykład opiera się przeważnie na depeszach posła austryackiego de Caché, który, zdaje się widział więcéj niż było w rzeczywistości, a i z tych depesz nie widać, żeby ludność Galicyi myślała naprawdę o powstaniu. Pisma i czynności komisyi pełnomocnéj we Lwowie ostatecznie dały się pogodzić z lojalnością a czasem nosiły cechę zaprzaństwa narodowego jak np. prośba do Leopolda o zapewnienie takiéj przyszłości, iżby ona „ani w nas, ani w synach naszych nie wzbudzała tęsknego żalu za przeszłością naszą“ (str. 93).

zamianę kary śmierci dożywotniém więzieniem; wreszcie gdy ponownie gromi sejm za zajęcie dóbr biskupstwa Krakowskiego na użytek skarbu, broniąc nietykalności majątku kościelnego, a właściwie grubych intrat wyższego kleru, chociaż od owego czasu aż do dnia dzisiejszego wszystkie rządy we wszystkich krajach zniosły dawne średniowieczne uposażenie kleru, a sejm polski wyznaczył aż nadto hojną pensyą biskupom (100,000 złp.). Nikt przecież nie zaprzeczy, że biskupi krakowscy oddawna już używali dóbr swoich nie w tych celach dobra publicznego, w jakich niegdyś otrzymywali je od zapisodawców, że bogactwo ich nie przynosiło pożytku istotnego ani krajowi, ani kościołowi, ani religii. Gdzież tu jest wina przywódców sejmowych, jeśli poszli za wyobrażeniami o państwie nowożytném, na jakie musiała przeobrazić się Polska, chcąc ocalić istnienie swoje? Jako historyk polityczny ks. Kalinka, zdaje mi się, powinienby wytknąć marszałkowi Małachowskiemu i ks. Czartoryskiemu chwiejność zdania i słabość logiki w zabiegach o całkowite odwołanie uchwalonego prawa, naganić niewłaściwą uległość wpływom nuncyusza; tymczasem pochwala on właśnie ich „dobre chęci", a nawet w rozumowaniu swojém okazuje się *plus catholique que le Pape* skoro Pius VI nie nastawał na odwołanie uchwały, lecz zadowolnił się poprawką o wyznaczeniu biskupom proporcyonalnego uposażenia w dobrach zamiast pieniędzy (porówn. str. 300, 304, 307).

W wykładzie rozpraw podatkowych, a szczególnie w sądzie o deputacyi koekwacyjnéj ks. Kalinka nie przyjął naszych wyjaśnień, utrzymując dawne swoje twierdzenie o nierzetelności społeczeństwa lubo w złagodzonéj nieco formie (str. 270, 271). Zyska na tém czytelnik, albowiem będzie miał do rozsądzenia sprawę z dwóch stron obejrzaną: czysto administracyjnej i etyczno-obyczajowej. Ten ostatni pierwiastek występuje wybitnie w całém dziele tak dalece, że wywołuje częstokroć zamianę metody historycznéj na homiletyczną. Błędy, klęski polityczne, albo nawet nieumiejętność w zarządzeniach administracyjnych są częstokroć przypisywane grzechom, zepsuciu obyczajów, potrzebie „interwencyi Bożéj" itp. Związek pomiędzy szeregami pojęć naukowo-krytycznych i teologiczno-mistycznych daje się jednak wyrozumieć ze str. 273, gdzie szan. autor mówi o wpływie silnego rządu na moralność ludu w pogańskim Rzymie oraz w nowożytnéj Hiszpanii i Prusach; wszelako ustęp ten nie jest dostatecznym dla mniéj wyćwiczonych umysłów. Dla sejmu zaś czteroletniego metoda rzeczona o tyle jest niekorzystną, że zaostrzyła nieufność do wnioskodawców wszelkiéj reformy, że wywołała nadmierną podejrzliwość względem pobudek wszelkiego projektu lub

czynu, że wzmogła rygor sądów i zmniejszyła stopień wyrozumiałości dla przywar narodowych (1).

Wysoką cenę przywiązujemy do rozdziału III-go, poświęconego charakterystyce literatury politycznéj owoczesnéj. Uderza nas szczególnie studyum o wpływie J. J. Rousseau w Polsce. Radykalny filozof, twórca teoryi o stanie natury i umowie społecznéj znalazł w szlacheckiéj Rzeczypospolitéj mnóstwo sympatycznych dla siebie urządzeń i zasad. Ks. Kalinka wynalazł w pismach jego cały szereg wywodów, które użyczały uzasadnienia i powagi najdziwniejszym anachronizmom i błędnym wyobrażeniom szlachcica staréj daty, jak np. nie dbać o handel, finanse, przemysł zbytkowy, zamiast podatków pobierać dziesięcinę, wyrzec się skarbu, wojska stojącego, fortec, artyleryi, liczyć tylko na kawaleryę, nie ufać królom, pielęgnować wolność republikańską, utrzymując chłopa w poddaństwie, ba, nawet ścieśnić granice zbyt rozległéj rzeczypospolitéj (str. 356—359). Najgłębiéj przejąć się miał wpływem Russa, Staszic; ks. Kalinka widzi u niego „całe traktaty, wyjęte żywcem z Umowy Społecznéj,“ lecz obok tego widzi téż drugiego człowieka—polskiego statystę, ideologa, obserwatora. Ztąd wynikać mają liczne sprzeczności w twierdzeniach i teoryach. „Wszystkie myśli, wszystkie środki przezeń nastręczane do tego jedynie zmierzają, jak ludność i produkcyą podwoić, skalę podatkową podwyższyć, skarb zbogacić, jedném słowem, na ten czy inny sposób Polskę zbrojniejszą uczynić i od nowego podziału zasłonić. Bez wątpienia te ostatnie żądania są zacne i roztropne, ale po co je mąci i utrudnia pierwszemi?.. Jakże chory ma zawierzyć lekarzowi, który jednę rzecz chwali, a inną, przeciwną doradza?“ (str. 363).

Nam nie zupełnie trafia do przekonania tłómaczenie takie. Staszic zaczyna zwykle od rozumowania szczerze polskiego, prawie staroszlacheckiego i zgodność jego z Russem może pochodzić właśnie z zaznaczonych powyżéj sympatyi genewskiego filozofa dla Rzeczypospolitéj; potém, wykazując złe skutki dawnego stanu rzeczy i niezgodność ze społecznym stanem państw obcych, tłómaczy konieczność reform, któreby zabezpieczyły Polskę od upadku. Stacza on walkę z samym sobą i w imię patryotyzmu wyrzeka się miłych sercu wyobrażeń, urządzeń, nałogów, uprzedzeń. Sądzę, że w téj walce wewnętrznéj, w tém przezwyciężaniu siebie samego leży tajemnica uroku i wpływu, jakiego doznawał współczesny czytelnik jego, znaj-

---

(1) Tak np. gadulstwo mówców sejmowych jest wytykane w saméj tylko części drugléj po kilka razy, na str. 260, 266, 481, 513, 524. Wspominaliśmy dawniej, że podobny zarzut czyni Taine izbie francuzkiéj.

dujący się w podobnym stanie umysłu. Daléj ks. Kalinka mówi o Staszicu z gorącém uznaniem lubo nie przyznaje mu tak wielkiego, jak my znaczenia, i „nie śmie twierdzić:“ czy książka taka, jak „Przestrogi“ wywarła wpływ na opinią szlachty?

Hugo Kołłątaj, poddany nowemu badaniu, wyszedł zeń w szpetnéj postaci. Zaszkodziło mu zastosowanie skali etycznéj przez szan. autora, wiadomo bowiem, że nie był moralnie czystym człowiekiem. Szkodziły mu następnie sądy „bez głębszego rzeczy poznania“ np. o reformie Akademii Krakowskiéj (str. 374), przez uszczuplenie i zniżenie jego wielkiéj zasługi. A najbardziéj zaszkodziły ostre, ale (dodajmy) zupełnie słuszne słowa, jakie napisał w r. 1793 o Stanisławie Auguście, iż ten „zmiennikiem był, krzywoprzysięzcą i zdrajcą“ oraz domysły, przez spółczesnych głoszone, że w r. 1794 Kołłątaj chciał ukarać go śmiercią. Ks. Kalinka bowiem usprawiedliwia najgorszy i najwystępniejszy postępek z całéj biografii Kołłątaja—oświadczenie się za Targowicą d. 24 (raczéj 23 lipca) 1792... pospołu ze Stanisławem Augustem (str. 386—389); od roku zaś 1793 potępia go tam nawet, gdzie poszlaki są niedostateczne lub niewiarogodne, lub gdzie winy niemasz. „Jego to sprawą, powiada, były podwójne wieszania w Warszawie, które miały oczyścić kraj ze zdrajców... Z Warszawy te krwawe orgie miały się rozlać po całym kraju... lecz Kościuszko Kołłątajowi pogroził“ więzieniem (str. 396). W zasadzie żądanie surowéj kary na zdrajców, przypisywane Kołłątajowi, nie stanowi winy, ani błędu politycznego. Przecię sam ks. Kalinka oświadczył się za ścięciem głowy Ponińskiemu (str. 492). W wykonaniu zachodzi nieprawidłowość, że wymiar kary nastąpił nie przez kata, lecz przez lud, raczéj przez motłoch. Jaki był atoli w tym fakcie udział Kołłątaja? wiadomości nasze nie są na tyle dokładnemi i pewnemi, iżbyśmy na nich twierdzenie oprzéć mogli. Bezpośrednim sprawcą rozruchu był Konopka, zwany sekretarzem Kołłątaja, ale tenże Konopka figurował już w aktach Komisyi Policyjnéj w r. 1792, że złajał publicznie w kościele ksks. Reformatów kaznodzieję nieprzyzwoitemi słowy; sprawę tę jednakże komisya odesłała tylko do sądu cyrkułowego, który puścił ją płazem; nadto Konopka został późniéj umieszczony w wojsku, „jakby w nagrodę pięknego dzieła“ (1). Człowiek taki nie koniecznie mógł być ślepém i posłuszném narzędziem, a co do pogróżek Kościuszki, który winowajców istotnie ukarał, to już nie mamy żadnego poważnego dowodu i śladu, żeby je czynił Kołłątajowi. Autor uwierzył następnie plotkom, jakoby Kościuszko „bał się Kołłątaja,“ jakoby, chcąc położyć koniec wichrzeniom Hugonistów,

(1) Wewn. dzieje Polski t. IV, cz. II, str. 179.

zamyślał o jakimś „akcie energicznym“, dla którego potrzebném mu było nowe zwycięstwo; poszedł więc na Fersena, lecz nie „śmiał wszystkiego wojska wyprowadzać z Warszawy“, rzucił się z drobną garstką i przegrał bitwę pod Maciejowicami (str. 397). Powody wyprawy Maciejowickiéj wyjaśniają się z akt kancelaryi obozowéj jenerała Sierakowskiego; nie miały one nic spólnego z „wichrzeniami Hugonistów“ i wynikały z sytuacyi militarnéj, a chociaż korespondencya ta wojskowa dotąd nie była znaną (1), wszakże do rozproszenia fałszywych zarzutów i domysłów wystarczały znane powszechnie dwie okoliczności: 1) *że* w najzaufańszém gronie, w którém Kościuszko spędził ostatni wieczór przed wyjazdem z Warszawy, znajdował się Kołłątaj; 2) *że* komendę w obozie Mokotowskim, t. j. naczelne dowództwo nad całém wojskiem pod Warszawą Kościuszko powierzył Zajączkowi, hugoniście.

Sąd o zarządzie Kołłątaja wydziałem skarbowym należałoby odłożyć do chwili zrewidowania ksiąg tego wydziału. Ks. Kalinka przyznaje Kołłątajowi w stopniu wyższym, niż Staszicowi, rozum polityczny, zdolność administratorską i organizacyjną, talent pisarski, ale w smutném zakończeniu świetnego niegdyś zawodu widzi słuszną pokutę i przestrogę Opatrzności za chciwość i niepomierną ambicyą. Usprawiedliwia też dawnych kolegów z sejmu czteroletniego, którzy, dzierżąc na początku XIX wieku najwyższe godności w kraju, nie zatrzymali Kołłątaja w Warszawie, żeby z jego zdolności i światła korzystać. Zdaniem naszém, nie zasługują oni za to na pochwałę. Kołłątaj był pierwszorzędną zdolnością polityczną, mężem stanu niepospolitym, siłą umysłową największą wśród swego pokolenia. Był-to *ein schlechter Mensch*, *aber ein guter Musikant*. Takimi wszakże bywają najczęściéj ludzie polityczni; ambicya i chciwość są prawie niezbędnemi sprężynami ich charakteru; trzeba ich tylko trzymać na wodzy, nie wypuszczać z obrębów prawa. Nielepszym od Kołłątaja moralnie był Mirabeau, ale był jedynym człowiekiem, który umiał obalić *ancien regime* i nową drogę dla Francyi otworzyć; to też za trumną jego postępował w żalu i z czcią głęboką cały Paryż, zapominając o wszelkich jego wadach i grzechach, oceniając jego talent polityczny i dzieła dokonane. U nas sprawy narodowe szwankowały, niestety! zbyt często dlatego, że kierowali niemi *gute Menschen*, *aber schlechte Musikanten*. Owi koledzy z sejmu czteroletniego powinni byli przedewszystkiém pamiętać, że Kołłątaj był czynnym, wpływowym, wybitnym członkiem tego rządu, który potrafił naprawić ich błędy i wykonać nieurzeczywistnione w łatwiejszych warunkach

(1) Znajdzie ją czytelnik w części II tomu IV Wewn. Dziejów Polski str. 534—563.

uchwały. Nie godzimy się tedy na zdanie ks. Kalinki, że powstanie Kościuszkowskie „zadało imieniowi Kołłątaja cios zabójczy w opinii poważnéj narodu“; przeciwnie uświetniło je i wywyższyło ponad imiona Małachowskiego, Ostrowskiego, Stan. Potockiego, które wówczas świeciły nieobecnością, niestety!

W liczbie pięciu najwydatniejszych przedstawicieli literatury politycznéj został zamieszczony anonim, autor broszury, czyli raczéj małéj książki p. t. „Myśli polityczne dla Polski.“ Mieliśmy ją w ręku, lecz nie dostrzegliśmy szczególnych zalet; ks. Kalinka zaświadcza, że i u spółczesnych „przeminęła niepostrzeżenie“, dodając: „za mądra była na swój czas; lecz i późniéj mało uwagi na nią zwracano“ (str. 428). Pomimo to nazywa ją „niezwyczajném zjawiskiem“, znajduje na jéj kartach niepospolity, zdrowy rozsądek, gruntowną o rzeczach wiadomość i siłę--te najważniejsze przymioty człowieka politycznego. Na tych przymiotach oraz na „tonie górnym“ ks. Kalinka opiera przypuszczenie, że autorem jéj był prymas, Michał Poniatowski. Już w pierwszym tomie czytaliśmy cały paragraf poświęcony temu dostojnikowi, ale wśród wielu najpochlebniejszych wyrazów uwielbienia, nie znaleźliśmy ani jednego faktu, któryby je usprawiedliwiał. Jeśli ów brat Stanisława Augusta posiadał tak znakomite przymioty człowieka politycznego, to czemuż ich nie okazał na właściwéj arenie politycznéj—w czynie? Zdaje się, że ks. Kalinka pierwszy tworzy tę wielkość; dla nas jednak nie jest ona zrozumiałą.

Głośna broszura „O sukcesyi tronu w Polsce“, napisana przez Seweryna Rzewuskiego, nastręczyła sposobność do skreślenia całéj biografii tego magnata staroświeckiego, na podstawie nieznanych w druku papierów familijnych i do uwydatnienia pojęć o republikanckiéj wolności w Polsce z niezbędną elekcyą królów i *liberum veto*.

Wiadomo, że literatura polityczna z epoki sejmu czteroletniego jest bardzo obfita, ale wybrane przez szan. autora pisma charakteryzują dosyć wyraźnie panujące w stronnictwach prądy mniemań. Tym sposobem padło więcéj światła na dyskusyą o formie rządu. Zgodnie z założeniem swojém ks. Kalinka przygania ograniczeniom władzy królewskiéj, a szczególnie Ignacemu Potockiemu, że w ciągu swéj pracy nad konstytucyą nową „nie uważał ani razu za stosowne poradzić się Stanisława Augusta, który, od lat 30-tu mając w swém ręku interesa publiczne (?), lepiéj niż kto inny znał ich potrzeby i warunki.“ Zadawalnia go dopiero uchwała z d. 20 września o wyborze następcy na tron za życia N. Pana, ponieważ mogła zamknąć „owe wrota elekcyi, owe pakta Henrykowe, którémi tyle nieszczęść do Rzpltéj wpłynęło.“ Zaraz potém wszakże ks. Kalinka, nie krępując się własnym programem politycznym, zapisuje nader ważne i niespo-

dziane spostrzeżenie: „Czemuż na tém nie przestano? Czemuż złe dwuwiekowe chciano odwalić na jednym sejmie, za jednym zamachem? Umieć zatrzymać się wporę.... uszanować powody, a choćby uprzedzenia swych przeciwników... — to sztuka, to mądrość, rzadkie nawet u ludzi politycznych... I stało się, że zbyt rącza gorliwość uniosła jednych, a z niéj zła wola lub nierozum drugich nie omieszkały skorzystać.“

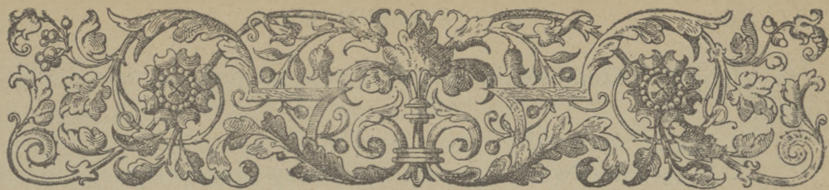
Miło mi jest zaznaczyć, żeśmy się spotkali na tym wniosku o szkodliwości gwałtownego narzucania zasady sukcesyi, lubo dochodziliśmy do niego różnemi drogami. Dowodziłem, że zamieszka Targowicka była bezpośrednim skutkiem owego fatalnego błędu autorów konstytucyi trzeciego maja (1), a nie wątpię, że i ks. Kalinka miał to samo na myśli, kreśląc powyższe słowa. Zgodność taka, bez poprzedniego porozumienia i na odmiennych drogach badania osiągnięta, wzmacnia wiarogodność spostrzeżenia i wyjdzie na pożytek nauce.

Podobną zgodność zapatrywań i wniosków znaleźliśmy też w wykładzie sprawy miejskiéj, kończącéj tom niniejszy. Wymownie i gorąco wychwala ks. Kalinka prawo o miastach, nazywa je ważnym krokiem na drodze naprawy Rzeczypospolitéj, datuje od niego nową epokę w dziejach sejmu. Z podnieconém zaciekawieniem i żywém zainteresowaniem oczekiwać będziemy przedstawienia téj nowéj epoki w tomie następnym. Radzibyśmy nakłonić szanownego autora, aby pracy swojéj nie zamykał na ostatniéj limicie sejmowéj, dnia 29 maja 1792, lecz doprowadził ją do ostatnich dni istnienia rządu, przez sejm wytworzonego, a przez Targowicę obalonego w sierpniu tegoż roku. Spodziewamy się, że wtedy zniknęłoby pomiędzy nami dużo punktów spornych i ujawniłaby się zgodność we wszystkich bodaj ostatecznych wnioskach i sądach ku pożytkowi czytelników, ku podniesieniu wiarogodności prac historycznych, a więc ku chwale historyi jako nauki.

(1) Wewn. Dzieje Polski część II tomu IV str. 596—600 i zamknięcia str. 25.

Tadeusz Korzon.





MIŁOŚĆ W OPAŁACH.

POWIEŚĆ Z DZIEJÓW KROACYI.

XV. **Konjunktury.**

Markizostwu wizyta księżny Rakoczy nie wyjaśniła sytuacyi, luboć uspokoiła ich. Uspokojenia powód opierał się na téj od dawna znanéj i wypróbowanéj regule, że łaska pańska na pstrym jeździ koniu. Pomimo przeto, że niełaska wynikła z powodów bardzo ważnych—ze zbrodni, należących do rodzaju *lasae majestatis*—liczyć można było na zmianę wiatru, nawiewającego humory. Pomiędzy monarchami, zajmującymi takie jak Leopold I, stanowisko, a kobietami zachodziło podobieństwo wielkie. Humor znaczył u nich wiele i sprowadzał kaprysy, dzięki którym niełaska w jedném oka mgnieniu w łaskę się nierzadko zmieniała. W wieku Ludwika XIV było to rzeczą pospolitą. Tak rzecz tę rozumiał hrabia Orfeusz, który, nie będąc interesowanym osobiście, zapatrywał się na wypadki obiektywnie i czynił wnioski z punktu rozwagi chłodnéj. Widzenie swoje wykładał on tak:

— Reguła etykiety stoi, jak skała... Obejść jéj nie sposób w warunkach zwyczajnych... Ale w mocy najjaśniejszego pana jest wytworzenie warunków nadzwyczajnych, które pozwolą sprawę na inne przenieść pole...

— Na jakie, naprzykład?..—zapytał markiz...

— Na którém byś się zasługą odznaczyć mógł... Jesteś poetą i wojownikiem, cesarz przeto wezwać cię może, bądź do napisania sonetu, bądź téż do odniesienia świetnego zwycięstwa...

— Bez wojny?..

— To rzecz najmniejsza... Wojna, która w niczém etykiety nie nadweręża, jest chwili każdéj na zawołanie cesarskie... Chodzi jeno

o to, ażeby do przeniesienia sprawy z pola na pole istniała podnieta jakaś...

— Jaka?.. w czém?..

— Jaka?.. nie wiem; w czém?.. w duszy najjaśniejszego pana... W duszy... w sercu...—dodał po chwilce namysłu. Jest się cesarzem... jest się człowiekiem...

Hrabia Orfeusz znajdował się na drodze do odkrycia podniet psychicznych, z których wysnuwać można było przypuszczenie zmiany niełaski w łaskę. Mylił się jednak co do punktu zarówno wyjścia i dojścia, a omyłka jego w następujący wyraziła się sposób.

— Leopold I jest wprawdzie jezuitów wychowankiem, nie wszyscy się atoli wychowańce jezuitom udają... Andrzej Batory, Jan Kazimierz krzywo im poszli, przypuszczać więc się godzi, że w Leopoldzie I zachowały się popędy szlachetne, które mu wyjaśnią, że postępek markiza, luboć formalnie jest pogwałceniem przepisów, nie jest jednak zbrodnią w intencyi, że wyszedł on z pobudek troskliwości o zdrowie cesarskie... z pobudek téj cnoty chrześciańskiéj, co się nazywa miłością bliźniego...

— Być może...—odrzekł markiz, wysłuchawszy z uwagą tego psychologii w odniesieniu do Leopolda wykładu.

Księżna nic nie odpowiedziała. Zdawało się, że w zamyśleniu i rozmarzeniu tonęła, co było rzeczą naturalną, ze względu na postawienie kwestyi przez księżnę Rakoczy co do zależności losów od niéj—od księżny Julii. Psychologiczny hrabiego wywód usiłowała w myśli do osoby własnéj odnieść i szukała punktów łączności. Markiz się odezwał:

— Chwiejna to jednak podstawa...

— Chwiejna ... to prawda...—potwierdził hrabia.

— I... jeżeli księżna Rakoczy nie opiera się na innéj, wróżąc nam powrót do łaski, to liczyć nie ma na co...

— Zapewne...

— I liczyć nie ma na co... i rozprawiać nie ma o czém...—rzekł markiz z akcentem zniecierpliwienia. Rozprawiamy *de lana caprina*... W sumieniu mojém uczuwam się spokojny... Nie myślałem o cesarzu, gdym ujrzał człowieka plackiem na ziemi leżącego i pośpieszyłem na ratunek jego, jakbym pośpieszył był na ratunek drwala, gdybym go ujrzał w położeniu podobném...

— W tém też wina twoja, krewniaku dostojny—odrzekł hrabia—żeś zrobił dla cesarza, co byś był dla drwala zrobił... Pomiędzy cesarzem a drwalem zachodzi przecie różnica jakaś...

— Nie w tém jednak położeniu...

— W każdém... Występkiem jest myślić inaczéj... Grzeszysz, nie tylko czynem, ale myślą i mową...

— Nie mówmy więc o tém... Mówmy o czém innném... Zapomniałem, że *molae deorum sero molunt* i śpieszyłem, niby zbieg jaki, ze Trstu do Czakowca, z Czakowca do Wiednia... Żałuję pośpiechu tego; mogłem *festinare lente* i zamiast w komedyi łowów wziąć udział w łowach rzeczywistych, jakie się obecnie w lasach, kniejach i ostępach czakowackich odbywają... A zresztą... wolałbym się był zgoła ze Trstu nie ruszać...

— Dla tego, że *secessum et otia quaerunt carmina scribentes...*— zauważył hrabia Orfeusz.

— I dla tego i dla czegoś jeszcze...—odrzekł markiz, z wyrazem miłości w oczach na młodą i piękną spoglądając żonę.

Markiza wejrzenia tego nie odczuła, jak się zdaje, nie dała bowiem na nie odpowiedzi właściwéj. Oczy jéj nie strzeliły wymową kochania. Wzrok miała na męża zwrócony, patrzała jednak, tak, jakby próżném było zajmowane przezeń miejsce. Patrzanie tego rodzaju złą bywa, dla małżonków zwłaszcza, wróżbą. Tknęło ono markiza; wzrok jego strzelił zdziwieniem; brwi zmarszczył i żonę zainterpelował:

— Julio!...

— Ha ha!..—drgnęła, niby ze mu nagle przebudzona.

— Zamyśliłaś się?..

— A... tak...—flegmatycznie, na oczy firanki rzęs spuszczając, odpowiedziała.

— Pani się frasujesz—wtrącił hrabia Orfeusz—niepotrzebnie... Ostatecznie... cóż złego stać się może?.. Domowy areszt nie zapowiada sądu zbyt surowego; gdyby zaś sąd wydać miał wyrok najsurowszy, toć wyroki wszelkie podpisuje cesarz, mocen, jeżeliby taką była jego dobra wola, nawet na śmierć skazanego na stopniach tronu posadzić... Przytém i to jeszcze na uwagę wziąć należy, że markiz podlega sądom nie cesarskim, ale korony węgierskiéj...

— Tak...—potwierdził markiz.

— A zatém... nie frasuj się, pani i koligatko dostojna... Księżna Rakoczy nie napróżno ze słowami pociechy i uspokojenia przyjeżdżała... Nie ryzykowała by się, gdyby wam co zagrażało... Coś ona wie...

— Wie?..—z akcentem zapytania odezwała się księżna. Skąd?..

— A!..—odparł hrabia. Jest to, najprzód przy dworze *persona grata*, a następnie, u ojca Müllera spowiadając się, spowiada ojców Müllera, Menegattiego, Sinellego, Spinolę i wszystkich mężów świętobliwych, co nad duszą młodego cesarza czuwają... Jeżeli kto przeto, to przedewszystkiém ona posiadać może i musi świadomość sprężyn

tajemnych, poruszających czynność dworską na zewnątrz... Ona tego szczególnie pilnuje...

— Nabożeństwu duszą całą oddana...—zauważyła księżna.

— Właśnie też... Gdyby nie to, nie mogłaby być ojców wielebnych spowiednicą... Na drodze téj utrzymują ją troski rozliczne: o zbawienie duszy własnéj, o zbawienie duszy syna, o zapewnienie dla tego ostatniego, spadkobiercy Batorych i Rakoczych, dóbr wiekuistych i doczesnych... i inne, i inne, z temi w bliższéj lub dalszéj pozostające styczności... Z troskami temi nabożeństwo się ściśle kojarzy... Zobaczysz ją wasza książęca mość jutro w katedrze św. Szczepana...

— Na nabożeństwo powszednie ma kaplicę domową...

— Ale jutro będzie niepowszednie...

— *Quo titulo*?..—zapytał markiz.

— Naród cały powołanym jest do zanoszenia do Stwórcy modłów dziękczynnych za odwrócenie od monarchy obrazy, jaka mu zagroziła...

— Hm...—mruknął markiz. Na dobry ład, naród zanosić by powinien modły o to, ażeby się monarcha lepiéj na koniu trzymać nauczył...

— Zapewne...—zaczął hrabia i miał coś jeszcze na języku, ale mu przerwała kiężna:

— Czy i ja mam na nabożeństwie być obecną?..

— Nie inaczéj...—odparł hrabia.

— Franciszek aresztowany...

— Tém bardziéj... .Wasza książęca mość modlić się powinnaś podwójnie: za siebie i za męża...

— W katedrze?..

— Stanowisko towarzyskie waszéj książęcéj mości nie·pozwala jéj modlić się za cesarza w jakimś na przedmieściu kościołku.

Młoda kobieta westchnęła. Westchnienie to pierś jéj podniosło, jak westchnienie zwyczajne, których moc taką śmiertelnicy ronią, wyszłe atoli z piersi w towarzystwie drżenia lekkiego, które, gdyby zanalizowane być mogło, wykazałoby pierwiastek trwogi. Zatrwożyła się, usta otwierała w celu przemówienia jakiegoś i wyrazy jéj na ustach skonały. Miała zamiar zapytać, czy w katedrze cesarz będzie. Czemu nie zapytała?

. Czemu? Stało się z nią coś dziwnego a bardzo zwykłego i naturalnego. W duszę młodéj kobiety zaroniło się powiedzenie kobiety staréj, ziarnem zapadło i kiełkowania proces rozpoczęło. Mężowi i męża krewniakowi dobranoc oddała; przy okazyi téj powiedziała, że się niezdrową czuje; odeszła, rozebrała się, położyła i drzwi od

sypialni kameryerze zamknąć kazała. W komnacie, w lampie alabastrowéj, bladym płomykiem gorzała oliwa wonna. Księżna się zdaleka w płomyk ten wpatrywała i wpatrywanie się to hypnotyzowało ją. Doznawała w sobie czegoś nakształt przelewania się płynu subtelnego. Sprawiało jéj to draźnienie rozkoszne, łączące się z widziadłem, które jéj z oczu nie schodziło. Widziała cesarza—widziała go, kiedy oczy miała otwarte i kiedy się jéj na źrenice nasunęły powieki i wydęły na takowych wypukło, mając u spodu rzucające na policzki cień rzęsy jedwabiste, u góry łuki brwi czarnych. Widziała cesarza, ale nie tego, co ją na audiencyi i recepcyi przyjmował i na łowach jéj przewodniczył—nie. Ten jéj z oczu i z pamięci znikł, ustępując miejsca cesarzowi w najczystszéj i najbardziéj uroczéj pojęcia tego ekspresyi, przedstawicielowi piękna, potęgi i wspaniałości. Płomyk lampy migotał; ona widziała i ten płomyk i tę postać, która, zdawała się, komnatę całą sobą zapełniala, posiadała jednak kształty człowiecze. Uderzały księżnę szczególnie ramiona, piersi i usta—ramiona grube, mocne, muszkularne, piersi szerokie, usta wydatne i krwi pełne. Odczuwała je na sobie i w sobie, w złudzeniu uścisku, w którym się gięła, niby trzcina, i topiła, jak wosk w ogniu. Był to cesarz idealny—pan, mocarz, Herkules, w obec którego nie istniała możliwość oporu ze strony niczyjéj, zwłaszcza zaś ze strony kobiety słabéj. Takiego widziała, o takim roiła; wyraz „cesarz“ w duszy jéj grał słodko, niby echo harfy, grzmiał hucząc, jak gromy w górach—zachwycał ją i trwożył. W zachwycie i trwodze spędziła noc całą, spała i nie spała, nawpół uśpioną zeszła ją kameryera; na palcach się zbliżyła, cofnęła się i wychodzić chciała, kiedy ją księżna odedrzwi przywołała.

Kameryera trzymała w ręku tackę srebrną, a na tacce list.

— Od kogo to?..

— Od jéj wysokości księżny Rakoczy...

Księżna Julia kopertę rozerwała, list, który był krótki, oczami przebiegła i rzekła:

— Księżna po mnie przyjedzie... Czy to późno?..

— Dziewiąta na półzegarzu...

— Trzeba mi się prędko ubrać...

— Co jaśnie oświecona pani włoży?..

— Strój do kościoła... Jaka tam pogoda?..—zapytała.

— Z nocy deszcz padać zaczął i pada...

Księżna stosownie do tego przygotować sobie kazała odzież, wytworną, bogatą, a do okoliczności zastosowaną. Okoliczności nakazywały jéj żałobę. Włożyła więc na siebie materye i aksamity barwy ciemnéj i przystroiła się w futerka i koronki. Odzież się na

niéj drapowała, służąc jako oprawa uwydatniająca jéj kształty i wysuwająca niejako na plan pierwszy oblicze, wpół przysłonięte zasłoną przejrzystą. Z pod zasłony przeglądało czoło jasne i warkocze grube. Wiały od niéj uroki i ponęty, niby zakryte a do szczegółów najdrobniejszych wykazane.

— O tak!.. dobrze!.. doskonale!..—zawołała księżna Rakoczy, gdy, przyjechawszy około jedenastéj, obejrzała ją od stóp do głowy. Uzbroiłaś się.,. Widzę, że rozumiész o co chodzi... Wyglądasz prześlicznie...

— Wasza wysokość na mnie łaskawa...

— Gdzie o interes idzie, tam się komplimenty nie prawią... Wyglądasz czarująco... Jedziemy...

Księżny wsiadły do wspaniałéj, na żółto pomalowanéj, rzeźbieniem i herbami przyozdobionéj kolasy, którą ciągnęło sześć koni a poprzedzał laufer eskortowany przez huzarów. Biedny laufer piechotą biegł po błocie i wygłaszał nazwisko damy dostojnéj, zajmującéj wnętrze kolasy. Powietrze, przesiąkłe wilgocią deszczu jesiennego, napełniał huk jękliwy dzwonów, zwołujących mieszkańców stolicy do domów bożych. Wszystko co żyło do kościołów śpieszyło. Ruch w mieście zapanował ogromny. Lud pospolity deptał bruki piechotą, ciągnąc bokami ulic a pozostawiając środek żółtym, czerwonym, zielonym, błękitnym i innéj barwy karetom, wiozącym członków rodów wysokich i wysokich dostojników, z których każdemu towarzyszyła eskorta konna i każdego nazwisko i tytuły ogłaszał laufer. Okrzyki te w powietrzu przy wtórze dzwonów brzmiały i ściągały na siebie uwagę tych, co piechotą szli. Niektóre wywoływały oznaki zadowolenia. Lobkowiczowi, Montekukulemu krzyczano: „Niech żyje!“ Wiedeńczycy mieli w sferach wysokich faworytów swoich, wybieranych zazwyczaj śród tych, co stali najbliżéj tronu, który w czasach owych posiadał cały wielkości i świętości urok. Dla tego téż, gdy się ukazała, ośmiu końmi zaprzężona i szereg długi pojazdów poprzedzająca, a przez gwardye szlacheckie eskortowana kareta cesarska, krzyk „*Hoch*!“ wszczął się i nie ustawał tak długo, aż się zatrzymała przed krużgankiem katedry. Był to ciąg jeden wrzawy radosnéj ludu, kochającego monarchę swego. Kareta się zatrzymała, wrzawa ustała; cesarz śród szpaleru gwardyi wkroczył na krużganek, gdzie na powitanie jego oczekiwała kapituła z kardynałem arcybiskupem na czele; zatrzymał się, wysłuchał krótkiéj po łacinie księcia kościoła przemowy i duchowieństwem oskrzydlony, przestąpił próg świątyni, pod sklepieniem któréj uroczystym tonem odezwały się organy.

Zbytecznem byłoby dodawać, że kościół był przepełniony. Bliżéj drzwi wchodowych tłoczył się lud; ławki zajmowali *honoratiores* coraz to dostojniejsi w miarę, jak się siedzenia zbliżały ku wielkiemu ołtarzowi, odgrodzonemu baryerą. Za baryerą, po stronie prawéj, znajdowała się stala cesarska, aksamitem karmazynowym wybita, w klęcznik z poduszką zaopatrzona, herbem państwa i koroną przyozdobiona i ustawiona naprzeciwko stal, przeznaczonych dla osób pomiędzy najdostojniejszemi najdostojniejszych. Jedną z tych ostatnich zajęła księżna Rakoczy, drugą obok księżna Frangopano.

Za wejściem cesarza wszyscy z miejsc powstali. Leopold I przeszedł przez środek nawy kościelnéj z oczami w dół spuszczonemi, nie patrzał ani na prawo, ani na lewo, ani nawet przed siebie; promienie wzroku jego obejmowały jeno tę część podłogi, na któréj stopy w trzewikach z brylantowemi klamrami stawiał; na poprzedzające wielki ołtarz stopnie wkroczył, do stali wszedł, usiadł, na klęcznik się osunął, przeżegnał się i, siedzenie zająwszy, ku wielkiemu ołtarzowi obliczem się zwrócił. Nie widział nic i nikogo, z wyjątkiem stołu wspaniale przyozdobionego, na którym odbyć się miała ofiara pańska i kapłana, który ze mszą wyszedł. Celebrował sam arcybiskup w asystencyi biskupów i kanoników. Wystąpienie cechowały wielka uroczystość i wielka pompa. Kazanie miało za tekst: „Aniołom moim każe cię piastować,“ a nabożeństwo zakończyło się wystawieniem przenajświętszego sakramentu i hymnem: *Te Deum laudamus*. Rozmiary téj wystawy kościelnéj nie licowały z rozmiarami przygody chyba o tyle, że i na gładkiéj drodze nogę złamać a kęsem chleba powszedniego udławić się można. Potrzebne jednak były. Nadarzyła się okazya pokazania ludności majestatu cesarskiego w obłokach dymu kadzidelnego, w blaskach wystawy—skorzystano z takowéj tém skwapliwiéj, że majestat ów w osobie Leopolda I prezentował się bardzo niepokaźnie.

Cesarz siedział naprzeciwko dam i panów, zajmujących miejsca honorowe. W szeregu ich znajdowała się księżna Julia Frangopano.

Księżna zachowywała na zewnątrz spokój zupełny. Pochylona nad książką do nabożeństwa w modlitwie się być pogrążoną zdawała. Wejście jednak cesarza wywarło na nią wrażenie. Zaniepokojenie lekkie widzieć się dało w oczach, które zamigotały i wnet rzesami się osłoniły, jakby w obawie, ażeby kto wrażenia tego nie dostrzegł. Wraz z tém na lica wybiło ledziuchne zarumienienie. Cesarz miejsce zajął i oznaki te znikły; księżna z pod oka oblała postać jego wejrzeniem raz, oblała poraz drugi i trzeci i następnie nie przestawała na niego od czasu do czasu z ukosa spoglądać. Spoglą-

dała a w oczach jéj, w głębi zrenic, malował się wyraz politowania, odpowiadający powtarzającemu się w umyśle ustawicznie zapytaniu: „To cesarz?.. I to cesarz?.. cesarz“?..

Przypuścić by można, iż młoda kobieta przeprowadzała paralelę, pomiędzy tym cesarzem rzeczywistym, a tamtym, co się jéj z płomyka lampy alabastrowéj w postaci nocnego widziadła ukazał. Ale nie. O widziadle owym ani myślała—nawet o niém zapomniała. Ludziom często się zdarza nie pamiętać snu najbardziéj sensacyjnego. Pozostawała atoli reminiscencya, polegająca na różnicy, jaka zachodziła pomiędzy owym mocarzem wyrojonym, a tym co, ubrany w ciało i kości, korzył się przed tajemnicą ofiary mistycznéj, przedstawianą przy ołtarzu. Świadczyło to, że młoda księżna w cesarzu szukała człowieka a w człowieku czegoś, co by ją uzupełniało i czego by ona uzupełnieniem była, nakształt tego, jak się w zlewie harmonijnym tonów muzycznych uzupełniają wzajemnie bas i kwinta. Natura jéj niewieścia prowadziła ją do szukania doboru, tłómaczącego się za pomocą uczuwanego z góry pociągu, lgnięcia istoty jednéj do drugiéj—lgnięcia, którego wyraz w znaczeniu podniosłém tłómaczy się miłością a przewodnikiem bywa tego lub innego rodzaju urok. Jakiż urok wydzielał z siebie Leopold I? Nie inny, jak władzy. U stóp swoich miał słuchających rozkazów jego miliony ludzi; miliony składały mu cześć bożą prawie, i na rozporządzenie jego oddawały cześć swoję, swoje mienie i życie. Od władzy bije ogromny, zdolny głowę zawrócić urok, który na młodą kobietę nie oddziaływać nie mógł. W duszę jéj zręcznie, luboć od niechcenia, wsączoną została insynuacya, ukazująca w perspektywie panowanie nad władcą. Uległa wpływowi, ale w sposób oderwany—fantastyczny. Na gruncie realnym narzucała się jéj reguła doboru i uprzykrzenie do umysłu jéj cisnęło się zapytanie: „To cesarz?“

Zapytanie to modlić się księżnie przeszkadzało i to sprawiało, że cała ta, taką pompą wystawną nacechowana uroczystość wydala się jéj śmieszną. Przypominała sobie Leopolda I, biorącego rozwód z kapeluszem; peruką i rozkraczonego w postaci żaby na ziemi. Śmiech ją pod piersiami łechtał, a zarazem uczuwała łechtanie innego rodzaju, wstrętliwe i przerażające, którego by doznała, gdyby żaba na nią wlazła. Usiłowała sensacyą tę podwójną od siebie oddalić. Wsłuchiwała się w nabożeństwo, wczytywała w modlitwy. Było to nadaremnie. Śmiać jéj się chciało; wstręt nią wstrząsał; usta przygryzała, zęby zaciskała i musiała z siebie wydobywać całą, do jakiéj zdolną była, siłę woli, ażeby na zgorszenie najwyższym kościoła i państwa dostojnikom bądź śmiechem nie wybuchnąć, bądź też wstrętem nie syknąć.

— To cesarz?.. i to cesarz?..

Wejście jéj do kościoła i zajęcie miejsca w stalach obok księżny Rakoczy przyjęte przez dostojników wszelakiego rodzaju zostało, jako wielkiéj doniosłości zdarzenie. Sprawiło ono zrazu zdumienie ogólne. Wytrawni jednak politycy i dyplomaci, jeżeli zdumieniu niekiedy ulegają, to nigdy długo mu nad sobą panować nie dają. Zastąpiło je przeto wnet uważanie śledcze, które w języku dyplomatycznym nazywa się studyowaniem sytuacyi. Przedmiotęm studyów dla radców i radczyń, dla wojowników i mężów stanu, dla ludzi świeckich i ludzi duchownych stały się dwie osobistości: Leopold I i księżna Julia. Studya te z tego wychodziły punktu, że księżna Rakoczy nie odważyłaby się prezentować w warunkach takich z księżną Julią, gdyby w kroku tym nie upatrywała następstw ważnych. O istotę następstw owych chodziło, a chodziło tak bardzo, że w nabożeństwie nikt inaczéj, jak formalnie, udziału nie brał, nikt ceremonii nie widział, nikt kazania nie słuchał, nikt dziękczynień, z wyjątkiem jednéj księżnéj Rakoczy, przed tron boży nie słał.

Księżna Rakoczy szczerze się modliła i szczerze Bogu za spadnięcie cesarza z konia dziękowała. Nie przeszkadzało jéj to wejrzeń badawczych od czasu do czasu na Leopolda I zwracać. Wejrzenia zwracała i niekiedy je dłużéj zatrzymywała. I ona studyowała. Zrazu studya rezultatów nie dawały; cesarz, w modlitwie pogrążony, znieruchomił się, niby posąg, przykryty peruką ogromną; nie pokazywał patrzącym oblicza, a z peruki niczego dojść nie można było. Aż arcybiskup przed ołtarzem, przy grzmotowym wtórze organów i podniesieniu głosu, zaintonował: *Salvum fac imperatorem nostrum.* Wówczas cesarz głowę od pulpitu podniósł, wzrokiem powodzić do koła rozpoczął i nagle wzrok zatrzymał. W senliwością nabrzmiałych oczach jego jawił się błysk przelotny. Wybiegł i znikł; wywołał jednak to następstwo, że od chwili téj cesarz co moment wejrzenie zwracał na przedmiot, który błysk wywołał, a którym była postać księżny Julii.

Księżna Rakoczy podchwyciła błysk w przelocie i takie to na niéj wrażenie wywarło, że młodą kobietę łokciem trąciła i z przyciskiem znaczącym chrząknęła; wnet jednak się pochyliła, westchnęła i za arcybiskupem drżącym od wzruszenia głosem wywodzić poczęła: *Salvum fac...*

Gdy po nabożeństwie skończoném do karety obie te damy wsiadły, stara księżna młodą niezwłocznie zapytaniem zaczepiła:

— A co?.. hę?.. tryumfujemy?.. co?..

I na odpowiedź nie czekając, prawiła daléj:

— Nie będziesz tego mocarza na nitce wiodła, jeżeli chyba tego sama nie zechcesz... Rzecz się już daléj sama zrobi, potoczy się,

niby piłka z góry na dolinę rozkoszną... Bańs two dla Piotra pewne.. Dziś jeszcze wyprawię gońca do Franciszka z upoważnieniem oświadczenia się o rękę Heleny i z błogosławieństwem swojém.. Szkoda, że w momencie tym nie mamy pod ręką jakiéj jeszcze w rodzaju tym sprawy do ubicia... Ha... — westchnęła.

XVI. Operacya zakulisowa.

W tym samym dniu, w którym się nabożeństwo dziękczynne odbyło, w Wiedniu zaszła zmiana towarzyska ogromna. Przed nabożeństwem znajdował się jeden, na który z czołobitnością i hołdami spieszono, dwór; po nabożeństwie dworów takich stanęło naraz trzy, a mianowicie: cesarski, książęcy-Rakoczy i książęcy-Frangopano. Cesarski, rzecz prosta, prym trzymał dla powodów, które wykazywania nie potrzebują. Dwa domy książęce przedstawiały się jako instancye tajemniczo-zagadkowe i niezmiernie obiecujące. Krok księżny Rakoczy wyglądał na pozór nakształt zuchwalstwa, które jednak, wedle jednozgodnéj wszystkich, co się w kościele studyom oddawali, obserwacyi, na cesarza dobre wywarło wrażenie. Nic nie rzekł, złego humoru nie okazał, nikogo nie kazał aresztować: dla ogółu stanowiło to wróżbę, w któréj biegli w materyi dworskiéj upatrywali doniosłości ogromnéj zmiany. Cesarz od chwili *Salvum fac*, niby w obraz cudowny, w księżnę Julię się wpatrywał.

— O...—każdy z najbieglejszych w umyśle sobie zakarbował.

Cesarz młody — księżna piękna.

Nie było ani jednego, coby nie znał historyi Herkulesa, przyjmującego funkcyą prządki i historyi Samsona, wydającego tajemnicę włosa dla pięknéj kobiety. Historya zburzenia Troi, dzięki piękności kobiecéj, również była powszechnie wiadoma. Budowano więc na fundamencie, co miał takie po za sobą precedensy.

Najpierwszym z mężów stanu, co wschodzącą nad głową młodéj kobiety jutrznię powitać pośpieszył, był książe Lobkowicz z małżonką. Książe zasłonił się pretekstem, oświadczając na wstępie, iż czyni zadość téj cnocie chrześciańskiéj, co więźniów odwiedzać nakazuje.

— Nie uskarżam się zbytecznie na więzienie moje... — odparł markiz.

— Formalność czysta... Najjaśniejszy pan musiał dostojność waszą, dla przykładu, na czas jakiś swobody pozbawić... Obszedł się z wami łaskawiéj, jak z marszałkiem i hrabią, których zamknąć rozkazać najmiłościwiéj raczył....

— Będzie nad nami sąd....

— Może... zapewne... zależy to od jego cesarskiéj mości woli....

— Od woli jego królewskiéj mości węgierskiéj—poprawił Frangopano.

— No tak...—tonem niepewnym nieco odrzekł książe, znał bowiem skłonność Leopolda I do nieszanowania ograniczeń konstytucyjnych, przywiązanych do korony węgierskiéj i usuwających obywateli królestwa z pod dowolności monarszéj Tak... zapewne... Bądź co bądź jednak, nie będzie to niczém innem, jak dopełnieniem formalności, którą znana jego cesarskiéj mości łaskawość złagodzić i osłodzić potrafi... Serce jego najwięcéj nad tém boli, że dostojność waszą ukarać musiał...

Rozmowa potoczyła się o dobroci serca Leopolda I, o bogobojności i o innych zalecających go cnotach.

Po Lobkowiczu nadjechał kanclerz Hocher, po nim ktoś z magnateryi węgierskiéj; węgra zmienił czech, z którym równocześnie pozdrowienie składał Montekukuli, poprzedzający jednego z dygnitarzy kościelnych. Wizyty nie ustawały, odwiedzający sadzili się na grzeczność i serdeczność, wynurzali się, kołatali do przyjaźni młodych księstwa, od których się przed południem, niby od zapowietrzonych, odwracali, ofiarowywali im usługi swoje. Niektórzy z nich przewidywali zmianę w odniesieniu do Węgier polityki i przyznawali słuszność pretensyom węgierskim bez względu na to, że celem okiełznania takowych zawartym został po świetném st.-gotardzkiém zwycięstwie, niekorzystny vasvarski pokój. Damy ze strony swojéj zbliżały się i przysiadały do księżny Julii, prawiły jéj komplimenty, wychwalały jéj gust we fryzowaniu włosów i dobieraniu barw, unosiły się nad wonią wódek, którą jéj odzież wydzielała i polecały jéj pamięci i względom łaskawym to syna, owa wnuka, inna męża, krewniaka lub kogoś, co był jéj obojętnym, ale, albo posiadał wielkie, nie cenione należycie zalety, albo też uległ jakiemuś od woli jego niezależnemu nieszczęściu. Udzielały jéj przytém, pod pieczęcią tajemnicy, wiadomości różnych ciekawych i interesujących o faktach i fakcikach, co się już stały i o innych, których następstwa w ciągu dalszym ukazać się miały.

Chorągiewka się obróciła i serdeczność wielka otoczyła parę, która ze względu na to, że należała do rodziny Zrinich, uchodziła za podejrzaną i była dotychczas tolerowaną. Tolerancya ustąpiła miejsca uznaniu zupełnemu, bezwarunkowemu i potęgującemu się z dnia na dzień. Zupełność i bezwarunkowość uznania tłómaczyła się formą stosunków towarzyskich, które po wsze czasy polegały na wyśrubowywaniu wynurzeń do stopnia najwyższego. W zakresie tym nie ma miary pośredniéj; jedni drugim bezwzględnie przyznają

niepospolitość i znakomitość, tak, że potęgowanie niemożliwém się prawie staje. Stało się jednak — zachodziło. Z dnia na dzień młoda para, pomimo że markiz wciąż w stanie aresztu domowego pozostawał i markiza z racyi téj na pokojach cesarskich prezentować się nie mogła, odbierała dowody przyjaźni coraz to tkliwszéj ze strony tych wszystkich, co się przy wielkiém grzeli ognisku. Niektórzy z dygnitarzy najwyższych oświadczali się z gotowością poświęcenia dla księcia lub księżny Frangopano. Nie było to bez kozery. Za kulisami coś się dziać musiało.

— Coś się dzieje—zauważył hrabia Orfeusz, który z boku stojąc, przypatrywał się wypadkom z punktu obiektywnego. Czy nie wypada powiedziéć: *Timeo Danaos et dona ferentes?...*

Uwagę tę wyglosił późnym wieczorem, kiedy księstwo znużeni całodziennem gości przyjmowaniem, o spoczynku myśleli.

— Hm... hm?.. — mruknął markiz.

— Miałyżby się na tronie zmienić dyspozycye względem Czakowca?..

— Zdarzają się rzeczy nadzwyczajne...

— Zapewne...

— Co to znaczy, że z Czakowca wiadomości nie mamy? — podchwyciła księżna.

— Ucztują, polują... polują i ucztują, nie dziw przeto, że czasu nie mają do pomyślenia o wyprawieniu do Wiednia gońca... Zresztą, może—dodał—na gońca z Wiednia w Czakowcu oczekują...

— Mam ochotę napisać do Piotrowéj — księżna na to.

— Wstrzymaj się, aż się rzeczy wyjaśnią nieco—rzekł książe— to i ja napiszę do Piotra..

— Wyjaśnią się, napiszemy znów — odparła tonem téj niecierpliwości niewieściéj, którą budzą zachcenia nagłe. Idę, piszę... mam noc całą dla siebie... *Adio*, panowie....

Odeszła, zostawiając męża i krewniaka; pokojówce się rozebrać kazała; na siebie włożyła szlafroczek ciepły, na nogi pantofelki futrzane, na głowę czepeczek nocny, i zasiadła przed stolikiem nieopodal od komina, na którym polana brzozowe jasnym, wesołym i rozkoszne ciepło szerzącym gorzały płomieniem. Przed nią stały dwie świecy woskowe w lichtarzach srebrnych, leżał papier, stał kałamarz, w kałamarzu tkwiło pióro. Do pisania zabrała się nie od razu. Pierwéj pomyśléć musiała i gdy myślała, wytworzyła z siebie obrazek rodzajowy zachwycający. Kobieta piękna zachwycającą jest zawsze. W obrazku tym atoli zachodziła niezwykłość pozy, przedstawiającéj zamyślenie w obec pióra i kałamarza, w oświetleniu świec jarzących i płomienia z drzewa brzozowego. W oświetle-

niu tém, opłomieniającém jéj policzki, zamyślenie przybierało akcent téj zagadkowości tajemniczéj, która potęguje uroki niewieście. Uroczo téż odbijało od takich, jak stół, papier, kałamarz i pióro, przedmiotów pospolitych, kancelaryą o mil sto cuchnących.

Zamyślenie jéj nie trwało długo. Pióro w paluszki pieszczone ujęła, w inkauście je umoczyła, w kałamarzu strzepnęła, nad papierem się pochyliła i pisać się jęła. Pisała szybko. Biała jéj ręka suwała się po papierze tak prawie, jak ręka Liszta lub Rubinsztejna suwa się po klawiszach. Popędzały ją obfitość i bogactwo treści. Opisywała hrabinie Piotrowéj kolejno: nowe, jakie zabrała znajomości, audyencyą, recepcyą, polowanie, aresztowanie markiza, nabożeństwo dziękczynne, zmianę nagłą w stosunkach towarzyskich, jaka po nabożeństwie nastąpiła i różne do faktów tych odnoszące się szczegóły. Pisała, pisała, i gdy się jéj pod pióro polowanie nasunęło, pofolgowała sobie, zdając z wypadku, jaki cesarza spotkał, sprawę w sposób humorystyczny. Biednego Leopolda I ośmieszyła na koniu i na ziemi. Przy okazyi téj skreślić nie omieszkała postaci i rysów oblicza jego. We względzie tym nie żałowała ani barw, ani porównań. „Widziałam małp wiele — pisała — alem tak brzydkiéj nie widziała. Biedny człowiek.“ Tak się wyraziła o mocarzu, któremu hołdowały miliony, a chciała dodać jeszcze: „wstręt budzi“, ale się wstrzymała nie dla tego, iżby się rozmyślić miała, ale dla tego, że myśl tę zepchnęła inna, która jéj w tém oka mgnieniu do głowy wbiegła.

Przy pisaniu młoda kobieta siedziała tak długo, że pokojówka, która czuwać aż ona do łóżka pójdzie musiała, trzykrotnie drzewa w kominie dokładała. Zapisała więc ćwiartek kilka i już dobrze z północy było, kiedy wstała od listu niedokończonego. Listu nie dokończyła, w ostatku bowiem przypomniała sobie, że hrabina Piotrowa powierzyła jéj dwie ważne sprawy, o których ona słówkiem nie wspomniała. Dla napisania czegoś o sprawach tych, potrzebowała się z księżną Rakoczy widzieć. Dla tego to pisanie zawiesiła, na kameryerę zawołała, i gdy ta ją z pończoch wyzwoliła, w łóżku ułożyła i ciepło okryła, rzekła do niéj:

— Jutro mnie rano zbudzisz...

— Jasna pani tak długo czuwała...

— To nic... Muszę, zanim się procesya wizyt rozpocznie, z domu wyjechać, powrócić i list dokończyć...

— Pracy tyle!.. Jasna pani — zaczęła.

— Cóż robić!.. — przerwała pokojówce księżna, westchnęła i w chwilę późniéj znów ją lampy alabastrowéj płomyk hipnotyzował, ale tym razem widziadła nie wywołał. Młoda kobieta prędko

zasnęła. Do sprowadzenia na nią snu przyczynił się zapewne szum głuchy, jaki sprawiał deszcz jesienny o okiennice dudniący.

Deszcz dudnił, ona spała i obudziła się w rzeczy saméj wcześnie — około dziewiątéj. Ubrała się z pośpiechem tak wielkim, że w godzinę późniéj siedziała już obok księżny Rakoczy, która tylko co w kaplicy zamkowéj mszy wysłuchała. Księżna powitała ją uprzejmie.

— Czekałam, wyglądałam ciebie — mówiła. Gdybyś mnie nie odwiedziła, byłabym cię dziś najechała... Mam ci dużo, dużo do opowiadania i do powiedzenia.... a najprzód najjaśniejszy pan — zaczęła z akcentem znaczącym—ten mi zaszczyt wyświadczyć raczył, iż mnie w gabinecie swoim przyjął... Miałam posłuchanie partykularne i przedstawiłam mu sprawę swoją i sprawę Piotra, ale nie od siebie...

— W imieniu Piotra? — zapytała księżna Julia..

— Nie... W twojém...

— W mojém?! — wykrzyknęła zdumienia tonem.

— W twojém, moja najpiękniejsza, a to raz dla tego, żeś z żądaniami temi do Wiednia przyjechała, powtóre dla tego, że imie twoje słodko w uszach najjaśniejszego pana brzmi....

Na słowa ostatnie rumieniec na policzki młodéj kobiety wybiegł.

— *Est modus in rebus* — rzekła księżna stara i zapytała: — Czy rozumiész po łacinie?..

— Nie wiele — odpowiedziała.

— Wy we Włoszech po włosku się porozumiewacie, my zaś mamy u siebie wieżę Babel językową i dlatego uczymy się po łacinie... *Est modus in rebus* znaczy, że trzeba z wiatrem płynąć... Wiatr na najjaśniejszego pana wieje od ciebie i dlatego odwołałam się do imienia twego...

— Jakżeż?.. skądże?..—zaczęła młoda księżna, jąkając się, jakby jéj co w gardle zawadzało.

— Jak?.. skąd?.. wié—odparła księżna Rakoczy tonem insynuacyi dobrotliwéj — ten chłopczyna, co z łuku do serc tak śmiertelników zwyczajnych, jak cesarzy strzela... Ja o tém nie wiem i nikt nie wié, to jeno pewne, że się tak stało, i ponieważ się tak stało, więc z tego korzystać należy... Opatrzność okazyi takich nie często nastręcza i nie każdemu nasuwa...

— Ja jednak... — tonem repliki odezwała się młoda kobieta i ucięła.

— Co ty?...

— Męża mam....

— O tak... masz... to pewne...

— Więc?..

— Bądź spokojna... to się zrobi... Interesuje się tém bardzo żywo ksiądz Müller... To rzecz jednak późniejsza, teraz zaś posłuchaj mego z posłuchania partykularnego sprawozdania... Powiedziałam najjaśniejszemu panu wręcz, żeś przyjechała z zamiarem zanegocyowania związku małżeńskiego pomiędzy synem moim a hrabianką Heleną Zrińską i wyjednania dla hrabiego Piotra stanowiska bana Kroacyi.... Cesarz to sobie powiedzieć pozwolił...

— I obiecał...

— I nic nie obiecał, nic nawet nie odpowiedział, ale — powtórzyła dobitnie, wyrazy skandując—powiedzieć pozwolił...

Księżna Julia nic na to nie odrzekła.

— To wiele, to już bardzo wiele — ciągnęła księżna Rakoczy daléj. Pozwolenie takie, udzielone na mocy imienia twego, oznacza przywiązany do osoby twojéj warunek, dzięki czemu sprawę za załatwioną uważać należy.... Jam już Franciszkowi posłała upoważnienie i błogosławieństwo; ty zawiadom hrabiego Piotra, że niebawem na stolicy bańskiéj zasiądzie....

Księżna Julia zrozumiała układającą się za kulisami operacyą, dowiedziała się, że operacyą tę prowadzą dwie takie, jak księżna Rakoczy i ojciec Müller, powagi i doznała czegoś nakształt zamętu w głowie. Zamętu powód tkwił szczególnie „w przywiązanym do osoby jéj warunku“ — w warunku, tyczącym się nie jéj tylko saméj. Gdyby o nią samę chodziło, bez wahania się dałaby folgę wstrętowi, i nie szukając zasłony w obowiązku zaprzysiężonéj wiary małżeńskiéj, powiedziała wręcz, że się Leopoldem I brzydzi. Domyślała się jednak, że takie drażliwéj téj sprawy postawienie odbiłoby się fatalnie na mężu jéj, na rodzinie Zrinich i na całéj téj sferze, co się w nich ogniskowała. Zaznaczyć przytém potrzeba, że od chwili, jak poznała cesarskie względem siebie sentymenta, uczuwać względem męża poczęła spotęgowanie przywiązania i miłości. Gdyby cesarz był takim, jak ów, co się jéj w płomyku lampy pokazał, kto wie, azali by twardo na punkcie wiary małżeńskiéj stała. Tak atoli, rzecz się przedstawiała inaczéj.

Księżnéj Rakoczy nie odpowiedziała nic, ale, jak się do niéj przed chwilą z przyjazdem, tak się od niéj obecnie z odjazdem śpieszyła.

— Uciekasz już... co?... — zapytała stara księżna tonem uprzejmości serdecznéj.

— Muszę... Łaskawi odwiedzają nas...

— Gości was oblega dużo?

— Dużo — odpowiedziała.

— Solicytorowie... Tłum, co się do drzwi waszych ciśnie, ubiega się o twoje, moja najpiękniejsza, względy, przeczuwając w tobie potęgę... nowego Pompiliusza Egeryę....

— Nic z tego nie będzie — bąknęła księżna Julia.

— E?.. — odezwała się przeciągle księżna Rakoczy, za ręce ją trzymając i w oczy jéj z uśmiechem słodkim patrząc.

Młoda kobieta oburzoną się czuła; oburzeniu jednak folgę w karecie dopiero dała. W popędzie pierwszym chciała o wszystkiém męża zawiadomić; nim atoli do domu dojechała, zmiarkowała się, postanowienia nie powzięła żadnego, rzecz na delatę puściła, zresztą postąpić sobie nie mogła inaczéj, zastawszy dygnitarzy kilku, których bawić trzeba było. Dzień na przyjmowaniu odwiedzających upłynął; wieczorem markiz ją zapytał:

— Masz list gotowy?.. Jutro rano goniec odjeżdża....

— Słów kilka jeno dopiszę — odrzekła.

Znów do pisania zasiadła, siedziała, myślała i namyśliła się. Ułożyła sobie plan postępowania. Za warunek warunek. Na śliską, co prawda, weszła drogę, zamierzyła bowiem ze stroną biegłą i potężną układy prowadzić, warunki stawiać, do niczego się nie zobowiązywać i do rezultatów pomyślnych dojść, ale drogi innéj do wyboru nie miała. Albo, albo. Liczyła trochę na siebie, więcéj na opatrzność, list zakończyła, doniosła hrabinie Piotrowéj sucho i krótko o nadziejach dla jéj męża, list zamknęła, poleciła kameryerze, ażeby takowy gońcowi nazajutrz wręczyła i przed ułożeniem się na spoczynek gorąco i długo do Madonny się modliła. Modliła się szczerze, czuła się bowiem zagrożoną przez niebezpieczeństwo wielkie, do odwrócenia którego potrzebowała pomocy téj, którą matką niebieską zwała i za orędowniczkę uciśnionych uważała. Sentymenty, jakie w cesarzu wzbudziła, przedstawiała sobie pod postacią utrapienia, zagrażającego zwalaniem zarówno ciała i duszy.

— Odwróć, Matko, odemnie ten kielich słodyczy mętnych.... i nie dopuść utrapień bliskim moim....

Zalecało to dobrze kobietę światową. W sferze téj jakaż księżna nie stłumiłaby w sobie wszelkich dla człowieka tron zajmującego wstrętów? Tron! Ażeby doniosłość pojęcia tego zrozumiéć, przenieść się potrzeba myślą w wieki owe i przedstawić sobie te blaski, tę potęgę, te uroki mistyczne, jakie od niego biły. Nasi w linii prostéj przodkowie osobę monarchy od tronu oddzielali — pierwszą za bajbardzo mieli, przed drugim czoła chylili i dlatego zapewne byli monarchistami wątpliwymi i republikanami nieosobliwymi. W księżnéj Julii zasada monarchiczna ugruntowaną była mocniéj, stąd opór, jaki się w niéj z góry przejawił, miał znaczenie na zakarbowanie karbem głębokim zasługujące.

List jéj rano dostał się przedewszystkiém do rąk markiza, który od chwili, jak jeszcze świtać nie poczynało, pisaniem był zajęty. Pisanie jego polegało na przepisywaniu. Nie było to atoli kopiowanie zwyczajne, ale przestawianie liter w sposób taki, że formowały się z nich wyrazy dziwaczne, z których się szykował język niezrozumiały i niebywały. Sposób ten, znany i dziś w razach pewnych pod nazwą „klucza“ praktykowany, posiadał w wieku owym zastosowanie szerokie. Pisanie jednak kluczem stanowiło w państwach niektórych przestępstwo kryminalne i dopuszczało się wyjątkowo, za upoważnieniem specyalném osobom wysokie zajmującym stanowiska. Upoważnienie tego rodzaju posiadali: ban kroacki, palatyn węgierski, wielkorządca Styryi, ambasadorowie i inni. Ci kluczem korespondencyą pomiędzy sobą i z osobistościami przez siebie w misyach specyalnych delegowanemi prowadzić mieli prawo, pod warunkiem atoli złożenia klucza w rękach wielkiego kanclerza państwa, który miał w celu tym osobne pod ręką biuro. Warunku tego markiz nie dopełnił i dopełnić nie mógł dla racyi bardzo prostéj. Prawo klucza mu nie przysługiwało. Mimo to posługiwał się takowym. Listy popisał — bruliony popalił — koperty z papieru grubego powykrawywał; następnie listy swoje i żony wielką pieczęcią popieczętował, adresy *pleno titulo* ponapisywał i wszystkie razem do torby skórzanéj włożył. Torba, mocno uszyta, zaopatrzoną była w zamek. Markiz zamek zamknął, klucz do kieszeni schował i w dłonie klasnął. Na klaśnięcie w ramach drzwi pojawił się hajduk.

— Goniec — rzekł.

Hajduk znikł i w chwilę późniéj do komnaty wkroczył huzar w wysokich z ostrogami butach, w burce i kołpaku; przy boku mu wisiała szabla, z za pasa sterczały głownie pistoletów.

— Gotoweś do drogi? — zapytał markiz.

— Koń stoi osiodłany — była odpowiedź.

— Masz-że, oto — zaczął markiz biorąc ze stołu w czworo złożony papier—glejt dla ciebie.... schowaj go w zanadrze, ażebyś miał do pokazania na zawołanie każde... A oto—dodał, torbę mu wręczając — posyłka... Nie potrzebuję ci zalecać, ażebyś jéj pilnował, jak oka w głowie...

— Słucham — rzekł huzar.

— Glejt—ciągnął markiz—przez gubernatora podpisany i opieczętowany, więc cię nikt nie zatrzyma... bylebyś się nie upił... Upij się w Czakowcu dopiero..

— Słucham — powtórzył huzar.

— Oto pieniądze na drogę... Konia karm, sobie nie żałuj na słoninę, paprykę i chleb, *boru* pij w miarę, ale *palewki* ani wąchaj...

— Słucham....

— Koń pewny? — zapytał.

— Tatar... ten, com go pod Zrinigradem zdobył: nogi żelazne, piersi jak brama, zad jak u kanonika, łeb jak u barana...

— Jedź-że z Bogiem i w drodze nie marudź...

— Słucham—raz jeszcze powtórzył huzar, na miejscu się zwrócił i wyszedł.

Koń osiodłany w rzeczy samej czekał. Jeździec popręg spróbował, wędzidła w pysk koniowi włożył, za czuprynę go pociągnął, ze stajni wyprowadził i przed włożeniem nogi w strzemie, po niebie okiem powiódł.

— Wypogodzi się, czy nie? — zapytał gapiących się przed stajnią pachołków.

— Kto to wie — odparł jeden.

— Toż namoknę zanim dojadę!..

— W Czakowcu się przy ogniu osuszysz i przy Marionie zagrzejesz....

— Przedewszystkiém się upiję, jak Pan Bóg przykazał—rzekł, na konia wsiadając.

Przeżegnał się, trzy razy dla odpędzenia uroków splunął i ruszył.

W przejeździe przez miasto nie spotkało go nic osobliwego. Jechał stępem po chlapanicy; niekiedy z pod kopyt końskich woda w bryzgach tryskała; przedmieście minął, do rogatki dotarł i tu „*halt!*“ usłyszał. Drogę mu zastąpiło strażników kilku.

— Skąd?.. dokąd?..

— Z miasta za miasto... Nie widzisz? — odpowiedział.

— Takich, co tak odpowiadają, nie puszczają ani naprzód, ani z powrotem—rzekł ze strażników jeden, przy pysku końskim stanowisko zajmując.

— Nie puścisz ty mnie? — odparł huzar tonem drwiącym.

— Nie puszczę, póki nie odpowiesz po ludzku...

— Ja ci odpowiem nie po ludzku... Glejt pokażę i ty, chociażeś człowiek niby, nie przeczytasz, a ja pojadę sobie...

— Kiedyś z glejtem, to w daleką jedziesz drogę — strażnik na to. Więc, *pajtasz*, z konia zsiądź i do kapetana chodź...

— Zsiądę i pójdę, co mi tam, a ty mi konia tymczasem potrzymaj....

Rzekłszy to, huzar nogę prawą przez grzbiet koński przerzucił, na lewéj się na ziemię osunął, na strażnicę wszedł i glejt z zanadrza wydobywszy, przełożonemu wręczył. Ten ostatni na papier jeno okiem rzucił, wnet do strażników wyrazów kilka po niemiecku przemówił. W momencie tym huzar ujrzał się otoczonym. Pochwycić go,

związać i powalić było dziełem chwili jednéj. Jął się wrzeszczeć: „glejt!“—gębę mu zawiązano, na strażnicy przez półgodziny przetrzymano, następnie na wóz wyniesiono, płaszczem niby nieboszczyka przykryto i powieziono.

Jazda nie trwała długo. Huzar, gdy go z woza zdjęto i, oręż mu i torbę zabrawszy, pod ręce poprowadzono, poznał, że się znajduje w murach więzienia.

Na kurytarz go długi wprowadzono i przez jedne ze znajdujących się tam drzwi do celi wtrącono.

W celi, jak skoro się obejrzał, ujrzał postać jakąś i usłyszał imie swoje.

— Janasz!.. tyś tu?..

— A no...—odrzekł, poznając towarzysza niedoli zarazem z głosu i z postaci. I pan porucznik tu?.. *Servus*... Skądże?..

— Z Czakowca...

— A ja do Czakowca... Ściągają nas, jak widzę, stąd i stąd... Kiedyżeś pan szwabom w ręce wpadł?..

— Wczora...

— Rano?.

— Wieczorem późnym...

— No... no... Tfu!..—splunął.

XVII. **Agenci polityczni.**

W Czakowcu, po wyjeździe księstwa Frangopano, czuć się dała próżnia. Powód onéj odnosił się nie do markiza i nie do krewniaka jego, ale—szczególnie i wyłącznie—do księżny. Ubytek jéj miał podobieństwo do ubytku dzieciny najmłodszéj w łonie rodziny licznéj. Niby to pełno a próżno. Nie stało istoty, która wszystkich zajmowała pomimo, że sama odegrywała rolę bierną i zaznaczała się jeno obecnością swoją; zaznaczała się jednak tak, że się nią troszczyli wszyscy razem i każde z osobna; uśmiechali się do niéj, wdzięczyli; interesowali się nią, zachwycali; dla starych i młodych stanowiła ona przedmiot myśli i postrzeżeń ustawicznych; karbowano sobie jéj uśmiechy, odzéwy, skrzywienia, chimery; wybaczano jéj przykrości największe a uczuwano dla niéj wdzięczność za najmniejszą z jéj strony przyjemność i, gdy jéj nie stało—gdy ją, naprzykład, na mamki oddano—dziadek, babka, ojciec, matka, wujaszkowie, ciotunie, braciszkowie, siostrzyczki, służba płci obojéj i domownicy wszyscy oglądają się za nią i powiadają: „nie ma.“ Przez ubytek ten stała się próżnia.

Podobną bardzo w zamku czakowackim próżnię sprawił ubytek księżny Julii.

Nie długo bawiła, nie zajmowała osobą swoją miejsca więcéj, jak osoba każda inna, mimo to zapełniała budowlę obszerną. Zapełnianie to było uzupełnieniem, było harmonijném tego obrazu, jaki układała rodzina Zrińskich, wykończeniem, tego wieńca, jaki się w niéj i przez nią uwijał, uakcentowaniem. W obrazie, w wieńcu owym miejsce zajęło było piękno doskonałe. Zanim się pojawiło, panowała pełnia; gdy jednak ubyło, zrobiła się próżnia, która się dotkliwie czuć dawała każdemu i każdéj.

— Nie ma jéj...—myślano i powtarzano.

Piękno w społeczném, w towarzyskiém, w rodzinném życiu odegrywa rolę niezmiernie ważną—rolę, która całkowicie a bezwzględnie kobiecie przypada.

Rola ta w zamku czakowackim pozostawała nie zajęta. Hrabina Mikołajowa pretensyi do niéj nigdy nie miała; hrabina Piotrowa już przekwitła; hrabianka Helena niedokwitła jeszcze—pączkiem była—nie posiadała ani téj pewności siebie, ani tego wdzięku, ani tego uroku, jaki jest następstwem świadomości rozkwitu zupełnego. Hrabianka błyszczała, księżna jaśniała i olśniewała. Ta to jéj jasność olśniła cesarza; w Czakowcu zaś pozostała w postaci wspomnienia, które rozkosz sprawiało i żal wywoływało.

— Czemu odjechała?..

— Czemu nas pozbawiła siebie?

W sposób ten żal wyrażali hrabia Mikołaj, hrabia Piotr, ksiądz Marek nawet. Ze strony niewieściéj wyraz ów brzmiał równie silnie i szczerze a to dla tego zapewne, że ze strony téj nie było miejsca na zawiść. Obie hrabiny chętnie pierwszeństwa księżnie ustępowały; hrabianka zaś wujenką się zachwycała, znajdując w niéj zachwycającém to mianowicie, że koronę swoję nosiła tak, jakby nie wiedziała, że głowę jéj wieńczy.

To téż, po wyjeździe księżny, mowa o niéj była ustawicznym prawie rozmów przedmiotem, a byłaby wyłącznym, gdyby nie spodziewany zjazd, którego moment zbliżał dzień każdy upłyniony.

Spodziewanie zjazdu szło o lepsze ze wspomnieniem o księżnéj i powoli, nieznacznie brało nad tém ostatniém górę. Taką jest kolej rzeczy ludzkich. Smutki najsroższe, żale najcięższe, wspomnienia najdroższe zacierają się z czasem w deptaku zajęć powszednich. Tu zaś nadchodziło zajęcie powszednie. Zjazd pod pretekstem łowów jesiennych zwołany, miał znaczenie doniosłości wielkiéj. Miał to być rodzaj sejmu i zarazem sprzysiężenia, mającego na celu wyzwolenie chrześciaństwa z pod nacisku tych opiek, co się narzuciły, ochraniać

go od ciosów nie umiały i oddychać mu swobodnie przeszkadzały. Walka państwa Niemieckiego z państwem Ottomańskiém była parciem się jednego na wschód, drugiego na zachód i odbywało się na grzbiecie i ze szkodą tych narodów, co pomiędzy dwoma temi państwami stanowisko pośrednie zajmowały a nie mogły się parciom bronić dla tego tylko, że bytowały w odosobnieniu. Złemu temu, oddającemu narody życia i zalet pełne na pastwę Niemcom i Turkom, zjazd zaradzić za zadanie miał. Zadanie to przeto, ze względu na ważność swoję, w cień usunąć wspomnienie o księżnéj i żal po niéj zneutralizować musiało. Nie przeszkadzało to jednak temu, że się ona przypominała. Przychodziła szczególnie na myśl zawsze, gdy przedstawiano sobie w wyobraźni ustrój uczt. W ustroju tym przedstawiał się tron dla królowéj przeznaczony. Niebyło na nim kogo posadzić. Królowa uczt ulotniła się. Należało jednak z losem się zgodzić i bez niéj się obchodzić.

Przygotowania wzrastały w miarę, jak się zbliżał moment zjazdu, którego epoka oznaczona dokładnie pozwalała przygotowania regulować. W regulowaniu ich zachodziło podobieństwo do kipienia wody. Przed wrzeniem ciągnie się długie szypienie, które ucicha nagle przed momentem najpierwszego zawrzenia. Moment taki nastąpił w przygotowaniach. Rzemieślnicy, którzy się w zamku i do koła zamku roili, pozabierali narzędzia, pozdejmowali rusztowania, oczyścili miejsca roboty i usunęli się, zostawiając po sobie ślady w odświeżeniach, malaturach, złoceniach, przystawkach i na nowo dokonanych budowlach. Na podwórcu zamkowém stanęły galerya z wystawą i teatr dla komedyantów i kuglarzy; na zewnątrz zamku, na błoniu—szopy długie, przeznaczone dla pojazdów, koni i pachołków gościnnych, jako téż dla huzarów, dragonów i ludu pieszego, pozostającego w służbie hrabiów Zrinich. Do każdego z działów, na jakie się rozpadało zadanie podejmowania gości, wyznaczeni zostali z góry przystawi, obowiązani czuwać nad porządkiem. Na zewnątrz zamku rozporządzał się kapitan, wewnątrz—majordomus. Pierwszy wykomenderowywał na służbę i dyżur, drugi maszyneryę służbową w ruchu utrzymywał i miał pod rozporządzeniem swojém kucharzy, kuchcików, pachołków rozmaitego rodzaju, kredencerzy, piwniczych, dworzan, jakotéż wykomenderowywanych przez kapitana huzarów do obnoszenia półmisków. Huzary we względzie tym odegrywali na Węgrzech rolę taką, jak kozacy w Polsce: służyli do boju i do stołu. Wszystko to zorganizowane, przysposobione, przećwiczone zostało przed tém, zanim się goście zjeżdżać zaczęli. Po wykończeniu czynności téj nastał moment uciszenia, przerwany nie nagle, jak uciszenie wody co wrzenie poprzedza, ale napływem stopniowym.

Napływanie gości rozpoczęło się od przybycia jednego z książąt kościoła—biskupa z Węgier górnych. Przybycie to sprawiło zdziwienie niejakie. Biskup ów uchodził za osobistość podejrzaną, luboć podejrzywaną bez dowodów, na téj jeno podstawie, że się na biskupa nadawał, jak—nieprzymierzając—wół do karety. Z racyi téj nie przesłaną mu została inwitacya wyraźna; niewyraźna zaś doszła do niego, jak do wielu innych dla tego, ażeby w sposób ten zamaskować zjazdu cel istotny. Tego rodzaju gości spodziewano się, późniéj jednak, jeżeli nie pod koniec, to w momencie, w którym obrady ustąpią miejsca ucztom i zabawom. Na moment ów on się właśnie nadawał, pożądanym był nawet z powodu zacięcia i humoru, z jakim jadał i pijał. Prawiąc dykteryjki i sypiąc żarty, w stanie był od niechcenia spożyć szczupaków, karpi, sumów funtów dziesiątek, ćwierć jesiotra, podświnka całego z kapustą, misę paprykaszu z drobiu z hałuszkami i wypić półtora garnca wina. Odpowiednio téż wyglądał. Tusza wielka przy wzroście małym czyniła go podobnym do beczki, policzki mu się świeciły jakby oliwą smarowane, oczki jaśniały i z głębi zalewającego je tłuszczu strzelały wyrazem, wedle jednych, dowcipu, wedle drugich, przebiegłości, wedle innych, chytrości. Ci ostatni wskazywali na jego z jezuitami stosunki. Nie stanowiło to jednak dowodu: któż bowiem z jezuitami, co się wszędzie pchali i wszystkich, prałatów zaś zwłaszcza, obłazili, w stosunkach, *volens*, *nolens*, nie pozostawał?

Prałat ów tedy przybył najpierwszy.

Kiedy się, zwiastująca przybywanie jego, trąbka ozwała, zabrzmiała niby hasło zakończenia wyczekiwania i wywołała ciekawość: kto jedzie? Ciekawość obudziła się przy stole—obiadowano. Hrabina Mikołajowa odezwała się:

— Minut kilka wcześniéj, byłby z nami obiad rozpoczął...

Kazała wnoszenie dalsze dań powstrzymać i początkowe powtórnie z kuchni przynieść, jak skoro gość miejsce zajmie.

— Rzecz ciekawa: kto zjazd rozpoczyna...—ktoś rzucił.

— Czy nie Wesseleny?..—ktoś zapytał.

— Tak by wypadało, ale... Wesselenyego tak wcześnie spodziewać się nie można... — była uwaga, którą jeden z obecnych uczynił...

— Czemu?..—odparł pytający.

— Nie domaga, a przytém czasem swoim dowolnie nie rozporządza...

Z punktu tego poszły odgadywania—wszystkie o sto mil od dostojnego prałata oddalone. Z powodu tego ukazanie się jego sprawiło zdziwienie. Gospodarz wyszedł na spotkanie i z nim powrócił. Bi-

skup toczył się przodem; na wysokość środka stołu doszedłszy, stanął, ramiona podniósł i głosem tragicznym zawołał:

— Głodnym!..

— Jezus Marya!..—krzyknęła z przerażeniem hrabina Mikołajowa. Czemże ja eminencyą waszą posilę?.. W połowie obiadu jesteśmy...

— To nic...—odrzekł zasiadając. Połowa druga posłuży mi, jako prolog, który będziem ciągnęli... ciągnęli... aż wytoczy się na stół sztuka jaka, którą—dodał głowę przed hrabiną pochylając—miłościwa pani łaskawie przyrządzić rozkaże...

— Jakiéj sztuki, eminencya, życzyłbyś sobie?..

— Jakiejkolwiek, chociażby niepokaźnéj, byle ważkiéj... Przejeżdżając, widziałem zdala na błoniu szopę, przed szopą ognisko a przed ogniskiem obracanego na żerdce barana...

— Huzary pieczyste sobie przyrządzają...—bąknął kapitan Bukowacki.

— Jeżeli je czostkiem naszpikowali—odparł prałat—mogła by się od ogniska przenieść pomiędzy nas na stół i uzupełnić świetnie obiad ..

Hrabina na posługacza skinęła i kazała mu pójść do szopy po udziec barani, dając w zamian za takowy huzarom odpowiednią ilość słoniny.

— Nie udziec, miłościwa hrabino... nie udziec...—zareplikował biskup. Co Pan Bóg złączył, tego nie dzielmy... unikajmy obrazy bożéj...

— Więc obydwa udźce...

— Znów grzeszne dzielenie...

— I cąber...—dodała hrabina.

— I łopatki przednie...—poprawił prałat.

— Chyba przeto barana całego?...—zapytała.

— Pewno..,—odrzekł. Tymczasem zaś... *in nomine patris et filii.*

Przeżegnał się, kielich gorzały wychylił i wziął się do uprzątania z talerza postawionéj przed nim polewki opieprzonéj. Po téj nastąpiło danie, po którém domownicy z gościem do spółki obiad kontynuowali. Ciąg ten dalszy odbywał się wesoło. Ksiądz, płodząc koncepty i podżartowując z księdza Marka, który nie wiele jadł i mało pił, zmiatał talerze, wychylał puhary i wzdychał do baraniny. Nareszcie baran pieczony wniesiony został na blacie i postawiony przed prałatem.

— A, bądź pozdrowioną, pieczeni, przypominająca praojców naszych czasy heroicznell.—odezwał się tonem deklamacyjnym. Kto mi pomoże?..

Na zapytanie to odpowiedziało milczenie, które przerwał hrabia Mikołaj.

— Wasza wielebność może się bez sprzymierzeńców obejdziesz...

— Ha!.. poświęcę się... Sprawa ta zanadto jest dobra, ażeby się w obec niéj na sprzymierzeńców oglądać...

Blat przysunął i jął się, od przodu poczynając, pieczeń spożywać. Krajał i jadł. Wyekspedyował łopatki przednie, żebra, cąber, udo jedno, udo drugie; pozostawał ogon, o który na drugim końcu stołu zawiązała się sprzeczka.

— Biskup ogon zostawi...—rzekł jeden.

— Nie zostawi...—odrzekł drugi.

— Zostawi...

— Nie zostawi...

— Zakład... o co?..

— O pacierze...—odpowiedział biskup, który słyszał ten półgłosem prowadzony spór. Z okazyi każdéj korzystać należy, celem przysparzania chwały bożéj... Przegrywający zmówi siedem, wygrywający trzy pacierze, ja zaś... ogon zjém...

Rzekłszy to, odsapnął, haust wina pociągnął i do aktu ostatniego przystąpił. Z ogona niebawem kosteczki jeno pozostały.

— *Consumatum est*...—rzekł. Gdyby takimi, jak ja, byli wszyscy spodziewani biesiadnicy, zjazd zrobiłby szeroki w fortunie hrabiów Zrińskich wyłom... Nie w téj jednak intencyi—do hrabiego Mikołaja mowę zwrócił—z przyjazdem się pośpieszyłem, ale w téj, ażeby stanowisko z góry zająć... Dostojność wasza—ku hrabinie głową skinął—wie już, com zacz, spokojny więc jestem o siebie... Głodu się nie lękam... Wy mnie będziecie żywili, ja wam będę czoła rozchmurzał...

Usta złożył, dwoma palcami je przycisnął i z pomiędzy palców zagwizdał czardasza, któremu, podczas gdy gwizdał, odpowiadały od czasu do czasu przy stole okrzyki.

— Hu ha!..

Kobiety się na siedzeniach kręciły od ciarek, co im po za skórą przechodziły.

Gwizdanie skończył, wstał, ruszyli się wszyscy i oczekiwali na odmówienie modlitwy dziękczynnéj. Lecz biskup ku kapelanowi głowę skinął:

— Twoja to powinność i twoje prawo, wielebny...

Ksiądz Marek, jak zwykle, w głos odmówił po łacinie modlitwę—obiad się skończył.

Taki to najpierwszy zawitał gość. Powiedzieć należy, że się on nadawał, jakkolwiek bowiem przygotowane były różnego rodzaju rozrywki, powołane do bawienia, rozrzewniania i śmieszenia, zabawa szwankuje, gdy wesołość nie tryska z pomiędzy samychże biesiadników. Prałat był tym żywiołem, co tryskanie wesołości z góry zapewniał. Przyjechał on w towarzystwie kapelana swego, słusznego, chudego i milczącego, a nazywającego się pater Hieronimus. Pater nosił w kieszeni brewiarz z przystosowanym pugilaresem i ołówkiem...

Po biskupie ściągać się poczęli goście inni. W tym dniu jeszcze nadjechał Barkoczy i Nadasdy, nazajutrz Tekiely, Bathani, Janowicz, Pejacewicz i inni. Jedni przybywali sami, ze służbą jeno, niektórzy konno, inni przyjeżdżali w towarzystwie żon, córek, synów, krewnych albo znajomych bliskich. Zjeżdżali się więc przedstawiciele płci obojéj starzy i młodzi, ci wprost dla wzięcia udziału w ucztach i łowach, ci w widoku powzięcia postanowienia w sprawach publicznych, ci w celach wylęgłych w mózgach fantastycznych, na których nie brakło w koronie węgierskiéj. Jakiś naprzykład, szlachcic z okolicy karpackiéj, skoligacony z domami polskiemi, tego był przekonania, że się zawiązuje konfederacya czakowacka, nie wiedział jeno przeciwko komu: przeciwko Leopoldowi I, przeciwko Janowi Kazimierzowi, czy przeciwko sułtanowi; jechał jednak z postanowieniem przystąpienia do konfederacyi i dla tego przywiózł z sobą bernardyna ze Lwowa.

W gronie przybyłych nie brakło na bernardynach, kapucynach, benedyktynach, franciszkanach i rozmaitego rodzaju braciszkach. W wieku onym dwory panujące i możnowładcze w sferze téj rekrutowały agentów politycznych. Braciszkowie zakonów żebrzących snuli się po świecie, jedni za jałmużną, drudzy sprawując interesy i gromadząc wiadomości. Dwór francuski za pomocą agentów tego rodzaju podtrzymywał niepokoje na Węgrzech. Na wieść przeto o zjeździe w Czakowcu ciągnęli oni, niby krucy na żer, z Węgier, ze Styryi, z Czech, z Polski. Jakiś pater Deodatus, polonus, przyszedł *per pedes apostolorum*, mieniąc się wysłańcem kasztelana Gembickiego, umocowanym przezeń do szukania po świecie dla Polski króla. Dla wysłańców tego rodzaju wyznaczono izbę osobną, napełnioną po okna słomą, która im za posłanie i okrycie służyła. Jak skoro który przychodził, wnet go tam prowadzono i wręczano mu miskę i kufel z informacyą, o któréj dnia porze ma iść do kuchni po jadło i do piwniczego po wino. Ojcowie dostawali jadło i napój każdy osobno i spożywali, jak i gdzie któremu się podobało. Ten z miską lokował się w izbie, ów na wolném powietrzu. O godzinie ozna-

czonéj, ranną porą, hrabia im posłuchania udzielał. Wpuszczano ich do kancelaryi po jednemu. Pater Deodatus przedstawił się mu z kolei, wyrecytował pozdrowienie od kasztelana i przedstawił sprawę treściwie a wyraźnie. Osnowa onéj hrabiego zafrapowała:

— Jakto króla przecie maciel..

— Śmiertelny jest...

— Czy nie domaga?..

— Domaga ci on, ale... kres czeka go, jak śmiertelnika każdego, Polska przeto ma przed sobą elekcyą...

— Uhm...—hrabia na to.

Elekcya polska obchodziła go, jak wiemy.

— Kasztelan przeto?..—zapytał.

— Zawołać mnie do siebie kazał, miodem utraktował i powiedział: „Księże Deodacie, włóczysz się po krainie węgierskiéj, nie mógłbyś tam wypatrzéć kandydata jakiego, z którego by był pożytek ojczyznie i chwała Bogu? Mieliśmy stamtąd sławnéj pamięci króla, Stefana. Muszą się tedy królowie tacy poławiać raczéj tam, aniżeli gdzie indziéj, mieliśmy bowiem Francuza... uciekł, mieliśmy Szweda, który nam licha na głowę nawołał takiego, że, gdyby nie Matka Boska Częstochowska, nie bylibyśmy się odkaraskali od szwedzkiéj imprezy; Węgier zaś dopisał nam jak należy“..,

Hrabiemu nie wypadało powiedziéć: „Ja kandydatem jestem"; powiedział przeto:

— Może by się znalazł kandydat, jakiego kasztelan sobie życzy: wielkiego i sławnego, sławniejszego nawet aniżeli Batorych, rodu.

— Oto to...—zakonnik na to.

— Ogromnéj fortuny...

— Właśnie...

— Statysta i wojownik...

— I to się przyda, a przynajmniéj nie zawadzi...

— Dobry katolik...

— Co to... to nie...—odparł braciszek.

— Jakże!.. przecie kasztelanowi o chwałę bożą chodzi...

— Szczególnie, a nadewszystko, albowiem: kto z Bogiem, Bóg z nim...

— Państwu więc katolickiemu katolika na króla potrzeba...

— Nie inaczéj, *excellentissime*, i dla tego kasztelan powiedział do mnie: „Na ziemi węgierskiéj pełno kalwinów i Turków... wypatrz, księże Deodacie, kandydata pomiędzy kalwinami albo Turkami“...

— Ale jakże... — wykrzyknął hrabia zdziwiony. Kalwin?.. Turek?..

— Nawróci się, *excellentissime* i... wielka będzie radość pomiędzy aniołami bożemi...

Wyrazy te wymówił z podniesionemi do góry dłoniami i oczami.

Hrabia usta zacisnął, przez nos odsapnął i mruknął:

— Hm...

Ksiądz prawił:

— Śród kalwinów są panięta z rodu i fortuny; śród Turków szlachectwo wątpliwe, kasztelan przeto nakazał mi poczynać sobie z nimi ostrożnie i zasięgać we względzie tym u miłościwości waszéj rady, nieprzystojnie by bowiem było, gdyby na tronie polskim zasiadł broń Boże, nie-szlachcic, jak przeciwnie, byłoby to z wielką dla narodu polskiego chwałą i z nieobliczonym tu na ziemi i tam w niebie pożytkiem, gdyby zasiadł szlachcic z antenatów, Turek na świętą wiarę katolicką nawrócony...

— Hm...—odparł hrabia. U Turków w ogóle szlachty nie ma...

— Są, co mają za antecesora owego proroka niby, Mahometa... Czyby się nie udało jednego z potomków jego skaptować?..

— Trudno... trudno i niebezpiecznie... Kto zaręczy, że, czy to kalwin, czy téż Turek nawrócony nawrócił się szczerze...

— Szczerze czy nie szczerze, byle się nawrócił... Przystawiło by się do niego dozór taki, iżby raz na tronie polskim, tak musiał tańczyć, jak mu grają...

— Moja rada: nie spuszczać się na to—odrzekł hrabia—a raczéj. gdy o kandydata chodzi, zwrócić się do takiego, co, łącząc w sobie przymioty rodu, fortuny, rozumu i serca, nawracanym być nie potrzebuje... Wszak się Stefan Batory nie nawracał...

— To prawda...—wtrącił mnich.

— Nie nawracał się i Zygmunt Waza...

— Ale byłby się nieochybnie zlutrzyć musiał, gdybyśmy go byli nie obrali...

— Nie nawracał się jednak i jeżeli poprzednikowi swemu na tronie nie wyrównał w przymiotach innych, to mu nie ustąpił we względzie gorliwości religijnéj... Nie należy przeto we względzie tym, takim ważnym, na hazard rzeczy puszczać...

— Przedstawiam rzecz wedle polecenia kasztelana Gembickiego...—zareplikował ksiądz Deodat.

— Powrócisz więc, księże, do kasztelana i przedstawisz mu uwagi moje przyjacielskie...

— Uczynię to, *excellentissime*, i mam nadzieję, że... ubóstwo moje—tu ręką ku kolanom hrabiego skinął—wspaniałomyślnie na peregrynacyą tę powrotną zaopatrzéć raczysz...

— Z podróżą wstrzymaj się jeszcze... Może się do uwag i imię kandydata doda...

— Byle imię to — podchwycił mnich — *anagrammatice* dobrą brzmiało wróżbą. To ważne, o! to ważne: kasztelan mi to zalecił szczególnie....

— Zobaczymy... tymczasem zaś rozgość się w domu moim — odparł hrabia i zapytał: — Czy ci nie brak na niczém?...

— Na czemże?.. Z łaski bożéj i waszéj, *exellentissime*, na słomie się wyleguję i misę strawy dostaję; tylkom — tonem prośby dodał — miskę wyszczerbił... gdyby mi ją odmienić...

Hrabia służebnika przywołał i taki mu rozkaz dał:

— Braciszka tego ulokować w izbie z pościelą, wziąć go na stół służebny i pamiętać, ażeby był syty...

— I napojony — wtrącił mnich pokornie.

— Cztery kufle wina wyznaczyć na niego...

— Jagierskiego? — zapytał z przymileniem.

— Niech i tak będzie—hrabia na to i dodał: — Niech tam o nim będzie staranie i pamiętanie szczególne, ażeby miał do woli jeść i pić przez czas swego w Czakowcu pobytu....

XVIII. **Anagrammatice**.

Zaroił się zamek czakowacki gośćmi i agentami politycznymi, osłaniającymi się maską, która z powodu, że za często i przez wielką ilość ludzi wkładaną bywa, nie osłaniała należycie. Z pod habitów przeglądały rogi. Lepiéj osłaniał się biskup Istwan, ów prałat, o którym mówiło się w rozdziale poprzednim. Za maskę służyły mu: apetyt i humor—jadł, pił, baraszkował i nasłuchiwał. Do nasłuchiwania natura wyposażyła go w narząd, którym były w sposób szczególny sformowane konchy uszne, odstające, na brzegach pozaginane i posiadające własność ruszania się. Dzięki temu chwytać mógł dźwięki zdaleka i słyszeć rozmowy półgłosem prowadzone. Tu mówił, tam słuchał, rozróżniając wyrazy, wypowiadane naraz w dwóch, w trzech miejscach. W sposób ten często udawało mu się pochwytywać nitki i wątki czynności, o których-by wiedzieć nie powinien, jedni bowiem wystrzegali się go, dla drugich był to człowiek lekkomyślny, na zaufanie nie zasługujący. Byli jednak tacy, co go zaufaniem obdarzali i wczesne jego do Czakowca przybycie do zaufania się onego odnosiło. Chodziło mu o rozpoznanie z góry gruntu i o zajęcie naprzód stanowiska obserwacyjnego o ile można najdogodniejszego.

Po obiedzie odprowadzono go do komnaty gościnnéj. Jako dostojnikowi kościoła należała się mu komnata oddzielna a jedna z lepszych. Podczas kiedy on przy stole siedział, znoszono pod okiem

kapelana tłumoki jego i kapelan komnaty gościnne oglądał. Ta, do którego go zrazu wprowadzono, nie podobała się mu.

— Nie — rzekł. — To nie dla jego eminencyi...

— Najlepsza — odrzekł marszałek dworu.

— Zobaczymy inne...

Wybrał taką, któréj okno na krużganek frontowy wychodziło. Marszałek mu uwagę czynił, że jest mniéj dogodną, on atoli na to nie zważał—do niéj tłumoki znieść kazał i, przy pomocy pachołków biskupich, urządził ją na mieszkanie dla prałata. Przysposobiono pościel, rozłożono kobierzec, zawieszono u wezgłowia krucyfiks, poustawiano na stole sprzęty różne, i kiedy wielebność po obiedzie, celem wydychania się po jadle, nadszedł, znalazł wszystko w porządku należytym.

— Uf... uf... — odsapnął razy parę, na krześle siadając. Cóż tam? — zapytał.

— Nic jeszcze — odpowiedział kapelan.

— Przyjechaliśmy w porę... no...

Prałat na siedzeniu się poprawił, nogi rozstawił, palce na brzuchu splótł i, obracając młyńca palcami dużemi, oddał się drzemce poobiedniéj. Trawił. Jadając raz na dobę, a jadając dużo, potrzebował koniecznie godzinki do uregulowania maszyneryi żołądkowéj. Po godzinie téj aż do obiadu w dniu następnym nie brał posiłku żadnego, popijał jeno wino z burkutem, co go czyniło rzeźwym i ruchliwym. Zresztą obchodzi nas nie jego sposób życia, ale sposób zachowywania się podczas pobytu w Czakowcu, a to celem zaznaczenia interesu, jaki w sferach rządzących wzbudzała osobistość Mikołaja Zrińskiego i stronników jego.

Prałat się przedrzemał, okno otworzył i wdychał powietrze świeże, zwracając uwagę na ruch na podwórzu. Czynił to od niechcenia, co z natury rzeczy wypadało, ruch bowiem zamykał się w sferze domowników, przenoszących się z celem jakimś lub bez celu żadnego z miejsca na miejsce. Zatrzymał jeno dłużéj nieco wejrzenie na przechodzącym powolnie żołnierzu, ale to nie dla czego innego, jeno dla szykowności młodzieńca. Żołnierz szedł i oglądał się. Biskup się zaciekawił: na co on patrzy? Zwrócił w kierunku tym oczy i mruknął do siebie:

— Ahm...

Pokazała się mu w przeciwległém oknie postać hrabianki. Przeniósł wejrzenie razy parę z hrabianki na żołnierza, z żołnierza na hrabiankę i uczynił uwagę następującą.

— Jeżeli się z Rakoczym targ dobija i kontrakt ułoży, to w kontrakcie tym mogą się znaleść punkty ciemne... Rzecz to jednak wagi

pomniejszéj... Książęta korony noszą na to, ażeby mieli czém osłaniać rogi...

Żołnierz przeszedł, postać hrabianki znikła, czas jakiś nie było się czemu na podwórzu przypatrywać, aż słyszéć się dał odgłos zwiastującéj gościa trąbki.

— Ktoś nadjeżdża—rzekł do siebie. Jedzie ten, coby był pierwszy, gdybym go nie uprzedził... Rzecz ciekawa: kto téż to?

Odpowiedź na pytanie to nie dała na siebie czekać długo. Za murami na moście odezwał się turkot i tentent, w bramie ukazał się orszak jeźdźców, na których czele jechał chłop setny w dołmanie z futerkiem i złotem przeszywanemi potrzebami, w kołpaku z kitą; u boku mu wisiała w jaszczurowéj pochwie szabla krzywa, u nóg mu dzwoniły rycerskie złote ostrogi.

— Nadasdi... *judex curiae*... — rzekł biskup sam do siebie i pilniéj się przypatrywać jął.

Osobliwego nie wpadło mu w oko nic. Za orszakiem jeźdźców toczyło się kilka w cztery konie w lejc zaprzężonych węgierskich koczy. Przewódca orszaku przed krużgankiem konia zatrzymał, zsiadł: na spotkanie jego wyszli obaj hrabiowie, Mikołaj i Piotr. Biskup uszy nastawił. Do słuchu mu doszły najprzód wyrazy powitania zwykłe, następnie zapytanie:

— Wesselenyi jest?...

— Nie ma jeszcze — odpowiedział hrabia Mikołaj.

— Tottenbach?...

— I jego nie ma...

— Przyjechać przecie mieli wcześniéj, ażeby można było pomówić swobodnie....

— Zawsze się sposobność wyosobnienia znajdzie—zauważył Piotr.

— Uhm... — zakarbował sobie biskup w myśli.

Hrabiowie z gościem weszli do wnętrza zamku; służba jęła się wypakowywać kocze.

W chwil kilka późniéj wszedł do izby kapelan. Biskup do niego przemówił:

— Zanotuj Wesselenyjego: Tottenbacha i Nadasdiego... umowa ze Zrińskimi na osobności...

Kapelan brewiarz z kieszeni wyjął, pod ścianą na stołku przysiadł i ołówkiem wyrazów kilka nakreślił.

Było to więc, jak widzimy, rekognoskowanie informacyjne, formalne. Czynność tę nazwać by można inaczéj, ale by nazwanie inne ubliżało dostojeństwu wysokiemu. Biskup się przeto trudnił rekognoskowaniem, które prowadził z punktu każdego, na którém się w ciągu dnia znajdował. Czynił to do spółki z kapelanem na dwa

warsztaty. Sam obserwował sferę wyższą, kapelan krążył pomiędzy służbą; postrzeżenia gromadzone zaciągały się do notatnika, przeznaczone na użytek, o którym oni dwaj jeno wiedzieli. Powtarzało się to w dniu pierwszym, drugim i następnych.

Przybywający agienci w habitach należeli do kapelana, który każdego z nich okiem badawczém mierzył, jakby przez skórę przejrzeć chciał. Uwagi jego nie uszedł ksiądz Deodat.

— *Polonus*... — rzekł do siebie. — Po co on tu?... któremu teraz panu służy?...

Nie zapytywał go jednak. Natura czy też metoda jego w obcowaniu z ludźmi na tém polegała, że z mówienia swego tryb pytający usunął absolutnie. Na pytania odpowiadał, sam atoli takowych nie zadawał; jeżeli zaś zadawał, to nie innym, ale sobie. Z powodu tego należał do rodzaju małomównych. Za to słuchał dużo i chętnie. Do mówiących się podsuwał, nieopodal nich usiadał lub stawał, brewiarz wydobywał, otwierał, ustami ruszał a ucho nastawiał. Widzieć go w pozycyi téj można było w miejscach różnych a wszędzie niby od niechcenia. Nie podsłuchiwał niby a podsłuchiwał i we względzie tym był on przedstawicielem wiernym wieku swego, w którym wzajemne pomiędzy ludźmi podejrzywanie się panowało ogólnie i prawda chodziła z obliczem zasłoniętém. Za pomocą zapytania wręcz dowiedzieć się o niéj było więcéj, aniżeli trudno. Podsłuchujących było dużo. Szpiegostwo w pierwotnéj postaci swojéj nadawało akcent stosunkom pomiędzy ludźmi, mianowicie zaś w sferze działalności politycznéj. Na podsłuchach był z braciszków każdy. *Polonus* we względzie tym wyjątku nie czynił: i on ucho nastawiał, z myślami się krył, ale należał do rodzaju pytających. Chodziło mu szczególnie o imiona chrzestne przybywających gości. Jak skoro nowy jaki do zamku zawitał magnat, wnet się dowiadywał:

— Jak się nazywa?.. Jak mu na imie chrzestne?...

Nazwisko mu zazwyczaj powiadano. Taki a taki: Karoly np., Nadasdy, Esterhazy, Palffy etc. Z imieniem jednak szło trudniéj. Nie każde każdemu było znane i tylko jeden kapelan biskupa Istwana nie zawodził we względzie tym ciekawości braciszka *ex Polonia*. Z powodu tego ten ostatni kapelana się trzymał, szukając go, ile razy trąbka zwiastowała przybywanie gościa nowego.

— Jak się nazywa?...

— Tak a tak.

— Na imie mu chrzestne?..

Kapelan powiadał i braciszek *polonus* na stronę się usuwał, pod mur zawsze w miejsce jedno i tož samo, w którém wysypanie piaskiem przedstawiało powierzchnię gładką, szedł, siadał i patykiem

coś na piasku kreślił. Rzecz prosta manewr ten baczności kapelana nie uszedł.

— Co to *polonus* robi?...

Dowiedzieć się byłoby łatwo, gdyby braciszek, z pod muru odchodząc, śladów roboty swojéj nie zacierał. Obserwując ślady te, kapelan dostrzegał jeno litery pojedyncze, z których sensu wywiązać nie umiał. Spróbował więc pod murem przysiąść się do braciszka; podszedł, brewiarz wydostał i, z pod oka obserwując, dopatrzył, że on napisał najprzód imię: Emericus. Było to imie gościa, którego w téj właśnie chwili gospodarz, na krużganku witali. Braciszek imię to napisał i rzuciwszy na pogrążonego w czytaniu kapelana okiem, napisał je pod spodem odwrotnie; wypadło: Sucireme. Następnie litery wyrazu pierwszego zestawiał z literami drugiego i nakreślił wyraz trzeci z tych samych co pierwszy liter. Daléj, za pomocą takiego zestawiania nakreślił wyraz czwarty, piąty, szósty i t. d., bez końca.

— Uhm...—mruknął do siebie w duchu kapelan.

Dowiedział się, co robi braciszek *polonus*.

Sztuka układania anagramów należała w wieku siedemnastym do sztuk, posiadających znaczenie mistyczne i z racyi téj cenionych wysoko. Przyczyniła się ona, jeżeli nie do wyniesienia na tron polski, to do usprawiedliwienia wyboru Michała Korybuta, z którego imienia „Michael" uczony jakiś ułożył anagram: „Jam Lech" i wyszukał przyjścia jego proroctwa w Tacycie. Odkrycie téż to ucieszyło szlachtę niezmiernie. Kapelan odkrył tajemnicę roboty braciszka i zanotował ją sobie w myśli, albowiem odkrycie to połowiczném dopiero było. Braciszek układa anagramy—w jakim celu? Kapelanowi nasunęło się zadanie ważne, do rozwiązywania którego w ten przystąpił sposób, iż sobie do odmawiania modlitw wybrał miejsce pod murem tuż obok miejsca tego, na którém ksiądz Deodat na piasku przyszłość Polski budował i zajmował je, ile razy gość nowy na zamek przybywał. Dzięki temu pomiędzy dwoma tymi agentami ułożył się i uregulował stosunek. Braciszek jak w dym pod mur szedł, o imię zapytywał i do roboty się brał.

Pomiędzy gośćmi, w piątym czy szóstym dniu zjazdu, trafiła się postać, która wszystkich zaciekawiła pomimo, że był to jeden z bliższych sąsiadów, Turek z Kanisy. Kanisa, ufortyfikowana i w garnizon silny zaopatrzona, znajdowała się w posiadaniu tureckiém. Dowodzący w niéj pasza miał, jako bejlerbej, za zadanie dozorowanie granicy i ściąganie informacyi o tém, co się za granicą dzieje. Żywo przeto interesował go zjazd w Czakowcu. Hrabia go z grzeczności sąsiedzkiéj na łowy zaprosił, on się jednak od wzięcia osobiście w za-

bawach udziału „grzecznie“ wymówił i odpowiedział, że na miejscu swojém przyśle jednego z bejów. Obok tego wyprawił do Czakowca agentów, Greków i Ormian, którzy sklepiki galanteryjne pootwierali i wyszynki pozakładali. Działalność tych ostatnich tonęła w cieniu. Bej wystąpił ostentacyjnie, przyjechał na czele orszaku, złożonego ze spahisów a poprzedzanego przez deliego, odzianego w świecidła, w kołpak błazeński, w lisie ogony, wykrzywiającego się na koniu i wtorującego na bębenku surmaczom, piszczalnikom i tołumbasistom, sprawiającym hałas ogromny. Sam bej, na dzielnym siedzący koniu, odznaczał się strojem jaskrawym i postawą rycerską. Gdy orszak jego na podworzec zamkowy wkraczał, służba pogarnęła się ciżbą. W ciżbie tu i tam przerzucały się habity. Obecnym był i braciszek *polonus*, patrzał, zagapił się, zapomniał na razie o nazwisko zapytać — przypomniał to sobie później, obejrzał się i zoczywszy w modlitwie zatopionego kapelana pod murem, do niego wprost się udał.

— *Reverendissime*, jeżeli ci nie bardzo przeszkodzę, pozwól zapytać siebie....

— Pytaj.....

— Wiem, że przyjechał Turek, ale nie wiem, co za jeden...

— Bej....

— A... bej... szlachcic... No... Jakże się zwie?...

— Sapit....

— Hm?.. To coś od *sapio... sapientia...* Hm?..—głową wstrząsnął. A jakże mu na imię chrzestne?..

— Turcy się nie chrzczą...

— Ano... jać to wiem... Aleć... przecie i u nich : co nazwisko to nazwisko, co imię to imię.

— U nich nazwisk nie ma...

— Jakto!—wykrzyknął ze zdziwieniem. Ani u szlachty?..

— Ani u szlachty...

— I dla czegóż to tak?..

— Zwyczaj taki....

— Ahm...—mruknął braciszek. Więc to imię... niby niechrzestne, imię jednak?.

— Imię....

— Sapit?..

— Sapit bej — odpowiedział kapelan.

Zadowolniony odpowiedzią tą, braciszek o kroków parę odszedł, usiadł i na piasku kreślić się jął: Sapit, Tipas, Staip i t. d., i t. d., aż nakreśliwszy wyraz ostatni, nagle skoczył, oblicze jego zajaśniało wzruszeniem głębokiém, oczy zaświeciły uradowaniem, z ust wydzierały się wyrazy :

— Mój Boże!.. rzeczpospolita!.. król!.. wróżba pomyślności i chwały!.. Znalazłem!.. ja!.. ja?.. *pater Deodatus!.. Reverendissime*, patrz na mnie!...

Kapelan patrzał na braciszka, jak się patrzy na człowieka dotkniętego nagłem zmysłów postradaniem, dziwił się, wierny jednak metodzie swojéj nie pytał i, w brewiarzu zagłębiony, z pod oka obserwował.

Braciszek chwilę sporą miotał się, zżymał, wykrzykiwał, wreszcie, uspokajając się powoli, głośno myśléć począł.

— Toć mi nic już nie pozostaje, jak stąd, drogą najkrótszą do Warszawy wracać, ażeby jaknajrychléj kasztelana zawiadomić, żem kandydata znalazł... Tak... idę... o... Dzieła dokonałem...

Popatrzył jeszcze na piasek, uśmiechnął się zadowolnieniem wewnętrznem, westchnął westchnieniem rozkoszy i, podnosząc oczy na zamek, zamyślił się.

— Ale — dodał po chwili — z hrabią pierwéj rozmówić się muszę... hm?.. muszę... Kasztelan zapyta...

Rzekłszy to, udał się krokiem pośpiesznym ku zabudowaniom, w których znajdowało się biuro, przyjmujące żądania posłuchań, przez hrabiego Mikołaja udzielanych.

Po odejściu jego kapelan podniósł się i na piasku napisy czytał. U góry znajdowało się imie „Sapit", u dołu „Piast."

— Tak... *anagrammatice* — szepnął i głową kiwał.

W chwil kilka późniéj, na zapytanie biskupa „Cóż tam", odpowiedział:

— Wysłaniec z Warszawy porozumiewa się z hrabią Mikołajem o przyszłego na tron polski kandydata...

— A? — odezwał się prałat tonem zainteresowania żywego.

— Wysłaniec kandydata znalazł...

— No... i któż to?.. Rakoczy?..

— Nie...

— Któż?..

— Sapit bej...

— *Quo titulo*? — zapytał biskup w wysokim stopniu zdziwiony.

Kapelan mu rzecz wytłómaczył.

— Uhm? — odmruknął. Racya... Polacy gotowi racyą tę uznać i Turka sobie na króla wziąć... Hm?.. To ważne, bardzo ważne, nie mniéj jednak ważnem jest samo porozumiewanie się... Dociec nie mogliśmy sprawy, co tu nurtuje... Oto nurt główny... Hm?... cóż ty na to?..

— Nic — odpowiedział kapelan, ramiona ściskając.

— Anagram anagramem — ciągnął biskup. — Anagram drogą swoją, a swoją kadydaci, których by z Węgier kopami do Polski wieść można: Rakoczy, Koemeni, Abaffi, Teköli, Zrini...

Ostatnie wymówiwszy nazwisko, zastanowił się i dodał:

— Zrini?.. tak... Batory drogę pokazał... Sprawę tę na oku mieć potrzeba i podczas zjazdu i po zjeździe... szczególnie po zjeździe... Zostaniemy więc tu na dłużéj...

— Zabraknie nam pretekstu — zauważył kapelan.

— Zachoruję — odparł biskup. — Zachoruję, będę konał, i konając, muchy im z nosa powyciągam... Na to jednak pora jeszcze będzie... Cóż z Warasdina? — zapytał.

— Zawsze jedno.. .

— Wspominałeś o dwóch drabach....

— Pokazują się i znikają....

— Na pewne jednak z Warasdina przychodzą?..

— Na pewne...

— W zamiarach?..

Kapelan ramionami na znak nieświadomości wzruszył. Biskup dorzucił:

— I ja nic z Erdödiego ani z żony jego wydobyć nie mogłem... Kobieta o niczém może nie wie; ale on... w Wiedniu był... Ostrożny jednak....

Po rozmowie téj, która w porze przedobiedniéj miejsce miała, biskup odpowiednio przyodziany wytoczył się na pokoje. Odpowiedniość przyodziewka jego polegała nie na stosowaniu się do przepisów kościelnych, ale na stosowaniu przepisów do fantazyi własnéj. Nosił więc sutannę krojem tuniki, bramowaną fioletami; z pod tuniki wyglądały buty palone, a przy butach pobrzękiwały ostrogi. Obecność jego na pokojach zawsze była pożądana z powodu, że z sobą wnosił rzecz w towarzystwie wysoce cenioną: radość. Samo pojawienie się jego oblicza rozjaśniało. Tak było zawsze, toż samo powtórzyło się obecnie. Za wejściem prałata wszyscy w komnacie gościnnéj zgromadzeni uśmiechać się i słówka żartobliwe rzucać poczęli. We względzie tym gość z Kanisy, człek już szpakowiejący, wyjątku nie czynił. Bej również w uśmiech oblicze przystroił i uprzejmem *hosz giełdy* powitał biskupa, który obok niego miejsce zajął. Biskup na pozdrowienie pozdrowieniem odpowiedział i gościowi, wedle zwyczaju, życzenie złożył.

— Bodajbyś był zdrów, beju, i rósł, jeżeli nie wzdłuż, to wszerz...

— E... *jak*... —odparł Turek. Życzenie to nie podoba mi się...

— Czemu, beju?..

— Czemu?.. tć!.. — cmoknął, do góry głową rzucił i następnie nią pokręcił.

— Jest ono najprzód szczere, następnie rozumne....

— Uhm?..— Turek na to.

— Szczere, życzę ci bowiem, beju, tego samo co sobie, rozumne: czy wiesz dla czego?..

— Ty wiesz...

— Owóż, posłuchaj, co ci powiem... Wszystko, co rośnie, znaczy, że jest młodem; z ustaniem rośnięcia poczyna się starość; życząc ci przeto, ażebyś rósł, życzę ci nie zatrzymania się młodości... Młodość zaś, to rzecz nie głupia: czy nie prawda?..

— Prawda — odrzekł Turek — ale i to prawda, że wolałbym z tobą ścinać się orężem, aniżeli językiem...

— Niesłusznie, beju, z mego bowiem języka nie płynie gorycz...

— Przeciwnie... słodycz miodowa, ale z miodu takiego, co truje...

— Cóż znów!—zareplikował biskup.—Jakaż naprzykład w tém, com powiedział, trucizna?...

— Życzysz mi młodości, ale ciężkiéj... Z młodością podobną nie zajechałbym z Dyarbekiru do Kanisy...

— Nic by w tém nie było złego; zresztą... życzenie moje odnosi się nie do tego, co było, ale do tego, co będzie... a już nadal, beju, mógłbyś się nieść kazać, gdyby ci wypadło z Kanisy dokąd daléj, do Warszawy naprzykład ciągnąć....

— Do Wiednia chyba — odparł bej z uśmiechem.

— Kto wié... Proroctwo, co do ciebie, o Warszawie mówi....

— Proroctwo!.. jakie?..—podchwycił Turek, któremu na dźwięk wyrazu tego oczy zabłyszczały.

— Wyczytał je jeden wędrowny derwisz chrześciański..

— Gdzie?.. gdzie?..

— Na piasku...

Turek się śmiać jął i zawołał:

— O język.. o język!.. Człowiek ten na wszystko odpowiedź na języku na pogotowiu trzyma...

— Nie koniecznie na języku samym... Czyś co o Polakach słyszał?..

— Lachy... lachy... Jakżebym o nich słyszéć nie miał?..

— Wiesz, że jak im król jeden umrze, to oni drugiego po świecie szukają...

— Ano... o tém wiem...

— Wyobraź-że sobie, że oni szukają, szukają i znajdują... ciebie....

— Mnie?.. czemuż mnie koniecznie?..

— Dla tego właśnie, że szukają...

— Króla? — zapytał Turek.

— A no... króla... Nie mógłbyś być padyszahem, ani cesarzem niemieckim, ani dożą weneckim, ani papieżem rzymskim dla tego, że padyszah się rodzi i cesarz się rodzi, a doża i papież, luboć się nie rodzą, ale pierwszy powinien być wenecyaninem, czém ty nie jesteś, drugi nie powinien być obrzezanym, jakim jesteś; Polacy zaś na rzeczy takie nie zważają i, gdybyś im w oko wpadł, mogli by ciebie... fiu!.. z Kanisy do Warszawy na ramionach w powietrzu zanieść.

Turka to zastanowiło. Pomyślał i po chwili odezwał się z akcentem zamyślenia:

— Gdybym im... w oczy... wpadł...

— Wpaść byś mógł tém łatwiéj, im byś był grubszy...

— Ph...—dmuchnął i wąs sobie pogładził...

— A Polacy, widzisz—ciągnął biskup—teraz właśnie za królem się oglądają, Jan Kazimierz bowiem nie jest człowiekiem wiecznym... umrze i..

XIX. Krytym sztychem.

Żartobliwość tonu, w jakim biskup z bejem rozmowę toczył, treść rozmowy saméj wydawała żartem. Za żart brali ją wszyscy w ogóle, z wyjątkiem Turka z powodu, że był członkiem społeczeństwa, co się na żartach nie zna, jakotéż, z wyjątkiem osób paru, dla których kandydatura do tronu polskiego żartem nie była. Wytoczenie jéj na stół te ostatnie brać mogły, jako przypadkowość—jako potrącenie kwestyi bez intencyi. I tak zapewne brały, co jednak nie przeszkodziło Nadasdemu, na pierwszą o kandydaturze polskiéj wzmiankę, chrząknąć i Piotrowi Zrińskiemu do ucha szepnąć:

— Czy słyszysz?..

Piotr na to skinieniem głowy odpowiedział.

— Sprawa na dobie...

Znów skinienie głową odpowiedzią było.

— Mikołaj umie porę właściwą wybrać..

Słowa powyższe, w porządku, w jakim je Nadasdy wymawiał, prałatowi w słuch wchodziły i na mózgu się karbowały. Coś podobnego nieprzypuszczalném było. Dzieją się atoli rzeczy nadzwyczajniejsze. Prałat, ponieważ słuch ostry posiadał, więc słyszał; z tego zaś co słyszał nietrudno mu już było, jak Cuvierowi szkielet słonia z kości jednéj, odtworzyć szkielet sprawy. Zaszedł jakiś układ i do układu należeli: Zrińscy i Nadasdy z pewnością, Wesselenyi i Tottenbach przypuszczalnie,—któż jeszcze? Głównéj układu osnowy domyślał się ale szczegółów onego nie znał. Czuł się jednak na dobréj drodze i spodziewał się powoli, po odrobinie, pozbierać wiadomości,

z których się da ułożyć całość szykowna. Graf Nadasdy nadzieję w nim wzbudzał. Był on tą krową, co wiele ryczy. Brakło przytém osobistości jednéj, która do sprawy wchodzić musiała a nie nadjechała jeszcze. Osobistością tą był młodziutki książę Franciszek Rakoczy, pan górnych Węgier, pretendent do panowania w Siedmiogrodzie, spadkobierca pretensyi, widoków i tajemnych nawet pożądań niespokojnego rodzica swego i pretendent domniemalny do ręki starszéj hrabiego Piotra córki. Z racyi téj hrabianka była także ze strony prałata przedmiotem obserwacyi dyskretnéj. Przypatrywał się jéj z boku a zdaleka i, podpatrzyszy w dniu pierwszym przybycia oglądanie się na nią oficera młodego, i oficera tego na oku miał. We względzie informacyjnym, do wyjaśnienia rzeczy szczegół najdrobniejszy potężnie niekiedy przyczynić się może. Dla tego też nie pomijał szczegółów, odnoszących się do hrabianki tém bardziéj, że się odnosiły one do dziewczyny ponętnéj i trąciły zdaleka sprawą ciekawą.

— Jeżeli się tych dwoje do siebie ma—myślał—to młody Rakoczy będzie się miał z pyszna...

Co do sprawy głównéj domysły jego płonnemi nie były. Sprawa ta od dni kilku stała na podstawie układu omówionego gruntownie. Czekano jeno na palatyna grafa Wesselynyego, i w obecności jego odbyła się w bibliotece zamkowéj konferencya, udział w któréj wzięli: grafowie Mikołaj i Piotr Zrińscy, grafowie Wesselenyi, Tottenbach i Nadasdy i ksiądz Marek. Zagajenie onéj trudności nie przedstawiało najmniejszéj, chodziło bowiem o wyzwolenie krajów węgierskich z pod dającego się coraz to mocniéj uczuwać nacisku niemieckiego na co z góry zgadzali się wszyscy. Trudność przedstawiało obmyślenie akcyi i oparcie onéj na gruncie pewnym, na sile, któréj, jak doświadczenie uczyło, nie posiadały zrywania się powstańcze na Węgrzech. Należało szukać jéj i wewnątrz i na zewnątrz, a mianowicie: w Polsce i księstwach Multańskich. Graf Mikołaj skreślił plan federacyi podobny wielce do tego, jaki powzięli byli synowie Kazimierza Jagiellończyka, gdy jeden dzierżył Czechy i Węgry, drugi Polskę, trzeci Litwę. Obecnie rzeczy przybrały postać odmienną. Czechy były powalone i wyżyłowane, Węgry podzielone, Siedmiogród odpadł, Polska znajdowała się w stanie skołatania, przedstawiała jednak całość organiczną, która do zdrowia w ręku lekarza biegłego powrócić mogła i z któréj można było oś do działalności przyszłéj zrobić. Konferencya przeto około Polski się zogniskowała.

— Dajmy Polsce króla położeniu rzeczy odpowiedniego.

Takim był owéj, w lat kilka późniéj, w głośnym a krwawym procesie, na jaw wyszłéj konferencyi punkt ogniskowy.

— Króla?.. kogo?..

Na zapytanie to, na które bracia Zrińscy odpowiedź mieli gotową, odpowiadać nie mógł ani Mikołaj, ani Piotr. Odpowiedź jednak nasuwała się sama. Na króla Polsce potrzebnym był mąż rozumu wielkiego i cnoty nieposzlakowanéj, statysta i wojownik, rozważny i przedsiębioczy. Gdy Tottenbach, namiestnik Styryi, męża tego imie wymówił, Wesselenyi odrzekł:

— Z ust mi wyjąłeś...

— Właśniem: „Mikołaj“ powiedziéć chciał... rzekł Nadasdy.

— *Ecce homo*...—odezwał się ksiądz Marek. Koroną imienia jego jest *laus*—chwała...

— Zaszczyt mi czyni orzeczenie wasze...—odpowiedział hrabia Mikołaj. Przewidziałem je jednak... świadkiem Piotr, z którym ewentualność tę szeroko omówiłem... Mówię to, nie chcę bowiem być *per amicos opprimatus* i wyłuszczyć wam chcę zamiary i poglądy moje, ażebyście z całkowitą rzeczy świadomością do sprawy rękę przyłożyć mogli... Usunąłem się od bańswa dla tego właśnie, ażeby kandydaturę swoję do tronu polskiego sposobić, na tronie zaś polskim chcę być *primus inter pares*, to znaczy, miéć pod ręką: Węgry, Siedmiogród i księstwa Multańskie a to w tym celu, ażeby *viribus unitis* stawić czoło z jednéj strony Niemcom, z drugiéj Turkom i wyswobodzić od jednych i drugich wszystko, co zagarnęli... Gdybym został królem polskim, usiłowanie moje całe zwróciłbym na wytworzenie rzeczypospolitéj wielkiéj, rządzonéj przez wicekrólów dożywotnich i obieralnych. W sposób ten władza dostawałaby się w ręce najzasłużeńszych, byłaby zachętą do cnoty i wynadgrodzeniem za takową... Czy—zapytał--zgoda na proceder taki?..

— Zgoda...—odpowiedzieli Wesselenyi i Tottenbach.

— Zgoda...—odrzekł Nadasdy—tém bardziéj, że pewny jestem, iżby Węgrzy na wicekróla obrali Wesselynyego a po Wesselenyim mnie...

— Obrali by ciebie przedemną...—odparł Wesselenyi—ja bowiem nie doczekam ani śmierci Jana Kazimierza, ani spółubiegania się o koronę polską Mikołaja...

— Śmierć i życie w ręku Boga...—wtrącił ksiądz Marek.

Wzmianka o spółubieganie się o koronę kwestyą tę na stół wytoczyła, była to bowiem kwestya najważniejsza, osiowa. Przyjaciele, których, ze względu na materyą i naturę zajmującéj ich sprawy, spiskowcami nazwać można, nie łudzili się co do trudności, jakie kwestyą tę otaczały. Uczuwali się jednak na siłach trudności te usunąć. Posiadali środki; posiadali w Polsce, w sferze magnatów, stosunki rozległe i przyjaciół serdecznych. Liczyli przytém na poparcie

skompromitowanego niewczesném kandydatów podsuwaniem dworu francuskiego. Chodziło jeno o zajęcie się sprawą tą szczere i rozumne, o nieżałowanie trudów i nakładów, a z góry liczyć można było na nagromadzenie szans, zapewniających rezultat.

Do szans zaliczał się również zamiar skojarzenia Rakoczego z hrabianką Heleną węzłem małżeńskim. Związek ten potęgował znaczenie Zrinich, sprzymierzając wpływy ich na południu ze stanowiskiem udzielném młodego księcia na północy.

Porównywując przeto wszystkie *contra* ze wszystkiemi *pro*, wypadało, że rzecz była do zrobienia, byle się do roboty wziąć gorliwie.

— Nie pożałuję siebie... rzekł Nadasdy. Prosto z Czakowca na Litwę, do Radziwiła na polowanie ruszę...

Hrabia Mikołaj wspomniał o kasztelanie Gembickim i o księdzu Deodacie. Wzmianka to wrażenie sprawiła z powodu mianowicie poszukiwania kandydatów śród Turków.

— Musiało Polakom dokuczyć, kiedy im do głowy strzelają koncepty podobne...—zauważył któryś.

— Braciszek powiada, że się o Turka stara celem nawrócenia go i pomnożenia przez to chwały bożéj...—rzekł hrabia Mikołaj.

— Trzebaż go odesłać... z nazwiskiem czy bez nazwiska kandydata?..—zapytał hrabia Wesselenyi.

Przy odpowiedzi na zapytanie to zdania się podzieliły i zgodzono się wreszcie na to, ażeby braciszka odesłać bez nazwiska, ale z takiém kandydata opisem, ażeby nietylko kasztelan Gembicki, ale każdy spraw politycznych świadomy hrabiego Mikołaja mógł poznać.

Na tém rzecz stanęła. Przyjaciele dłonie sobie podali, zobowiązując się słowem szlacheckiem stawać jeden za wszystkich i wszyscy za jednego i zwracać usiłowania całe na zapewnienie powodzenia kandydaturze Mikołaja.

— *Vivat rex*!..—wykrzyknął hrabia Nadasdy.

— Ryb przed niewodem nie łap...—odrzekł hrabia Mikołaj. Okrzyk ten wydasz, kiedy go wydać można będzie, tymczasem zaś, przyjaciele moi—do wszystkich słowa te wystosował—bądźcie mi w obec świata i ludzi świadkami, żem dostojeństwo bana złożył ze siebie nie dla tego, żem ciężaru dźwigać nie chciał, ale na to, ażeby barki moje przysposobić do udźwignięcia ciężaru jeszcze większego... Opowiedźcie, żem rąk nie złożył na próżnowanie, że... pracuję...

Przy słowie ostatniém wskazał na rozłożone na stole księgi.

Po konferencyi téj upłynęło dni kilka. Na zamku brzmiało wesele. Stoły zastawiano coraz to większe, czas zaś od siedzenia przy stole pozostający obracano na rozrywki rozliczne. Na teatrze dawa-

no przedstawienia po włosku i po łacinie; śpiewacy popisywali się z pieniem; kuglarze pokazywali sztuki; poranki obracano na popisy rycerskie, albo też na przejażdżki po okolicy; z amatorów niektórzy czynili wycieczki łowieckie; wieczorami banda cygańska przygrywała do tańca i na pokojach zamkowych młodź kręgi zataczała, kończąc ochotę taneczną czardaszem, po którym od tańców dalszych ochota odpadała. Następowało to nie później, jak około dziewiątej wieczorem i o dziesiątej w zamku czuwali jeno stróże nocni i wartownicy orężni. Na murach odzywały się od czasu do czasu okrzyki strażnicze; po komnatach sen przelatał tu cicho, owdzie przy wtórze mocnych sapań i hałaśliwych chrapań, tworząc swego rodzaju muzykę, brzmiącą chóralnie tam, gdzie młódź męska pokotem spała. Następowało budzenie się ogólne, które *mutatis mutandis* sprowadzało powtórzenie dnia poprzedniego. Starsi i poważniejsi rozprawiali *de publicis*. Młódź się uciechom oddawała. Tak upłynął dzień po dniu, aż nadszedł ów, w którym Sapit bej wizytę celem przyświadczenia o dobrych stosunkach sąsiedzkich złożył. W dniu tymże samym zaszło zdarzenie ważniejsze jeszcze. Przyjechał gość pożądany, młody książę Rakoczy.

Sam przyjazd księcia, który przybycie zwlekał dla tego tylko, że czekał na opóźniające się dla względów ‚politycznych upoważnienie matki, dobrą był wróżbą. Znaczyło to, że upoważnienie otrzymał. Nie znano jeszcze szczegółów, mimo to fizyognomia ogólna zgromadzenia przybrała akcent zadowolnienia, które szczególnie odbijało się na obliczu hrabiny Piotrowéj. Wyjątek stanowiło ludzi dwoje: młody oficer i hrabianka. Patrząc na nich, biskup rzekł do siebie:

— Gruchali...

Poznał to z zachowania się młodych ludzi.

Oficer na hrabiankę zwrócił żalu i wyrazu zapytania pełne wejrzenie, na które ona odpowiedziała wejrzeniem, wyrażającém trwogę. Młody człowiek z pośpiechem wyszedł; hrabianka zrobiła kroków kilka od boku matki, lecz, przez tę ostatnią upomniana, powróciła i, blada, z oczami spuszczonemi asystowała ceremonii powitań, odbywających się z akcentem uroczystym.

Książę, znany w dziejach pod imieniem Franciszka I, postacią swoją wydawał czém był. Zewnętrzność jego, szykowna i młoda, zdradzała wielkiego pana nieobdarzonego hartem ducha. Od pierwszego rzutu oka nie można w nim było poznać syna ojca przedsiębiorczego i zuchwałego. W wyrazie fizyognomii jego przebijała się miękość, za oprawę któréj służył strój bogaty węgierski, połyskujący od złota i kamieni drogich. Złote ostrogi u nóg mu podzwaniały,

złota rękojeść w jaszczur oprawnéj szabli u boku się wahała, od złotych klamer i guzów odbijały wysokiéj ceny brylanty; naszycia na dolmanie wyglądały nakształt napierśnika pancernego a składały się ze sznurów roboty szmuklerskiéj, w których zielony jedwab łączył się ze złotemi niciami. Otoczenie jego w również świetnych wystąpiło strojach. Książę, witając się z hrabiami Mikołajem i Piotrem, przedstawiał im osobistości, znajdujące się w orszaku jego i wymieniał kolejno nazwiska: Andrassy, Pulszky, Karponiay, etc.

— Miło mi wysokość waszą w progach Zrinich powitać...—były słowa, które do niego hrabina Piotrowa wystosowała.

— Bądźcie przekonaną, dostojna pani, żem do progów waszych podążał z upragnieniem...—odpowiedział młody książę.

— Znajdujecie w nich przyjaźń życzliwą...

— Za którą odpłacam wzajemnością zupełną...

-- Oto córka moja, hrabianka Helena...—rzekła, oczami na stojącą obok panienkę wskazując.

Książę się skłonił i wejrzeniem z pod oka oblał od stóp do głowy sądzoną swoję.

Hrabianka prędko odzyskała równowagę moralną, którą pojawienie się gościa było nieco nadwerężyło. Bladość jéj z liców ustąpiła, oczy podniosła i ukłonem na ukłon odpowiedziała.

— Hm...—odsapnął przez nos obserwujący pilnie młodą parę biskup i w myśli dodał:—No... a oficer?..

Podejrzywał; gdyby jednak miał możność do serca dziewczęcia zajrzéć, przeświadczył by się, że podejrzenia jego podstawy nie miały. Pomiędzy hrabianką a Jowanowiczem nie zaszło nic, co by wychodziło po za sferę sympatyi, jaka się w sercu jéj dla młodego człowieka obudziła. Sympatya bywa wstępem, prologiem, przewodnikiem bożka miłości, którego by może była sprowadziła, gdyby nie zbyt wielka odległość dzieląca dziedziczkę wielkiego imienia i wielkiéj fortuny od prostego a ubogiego szlachcica. Przytém młodość i wstydliwość dziewicza na przeszkodzie stawała. Szykowny i atmosferą poetyczną owiany żołnierz, posiadający o wilach wiadomości młodzieniec wrażenie na niéj sprawił — podobał się jéj — zajął ją i wzbudził w sercu jéj, nie miłość dla siebie, ale obawę do tego, co jéj na małżonka był z góry przeznaczony. Znalazła miarę porównania, wyrażającą się pod postacią formułującego się samo przez się zapytania: „Czy ten takim jest jak tamten?“ I tyle. Zapytanie tego rodzaju dla małżonków niebezpiecznem bywa; niebezpieczeństwo atoli odnosiło się do przyszłości, która się w chwili téj mętnie i zagadkowo hrabiance przedstawiała. Płonnemi przeto były podejrzenia prałata, zabawiającego Turka rozmową i zarazem czyniącego po-

strzeżenia i nastawiającego ucho. To ostatnie, chwytając tu i owdzie frazesy oderwane i wyrazy pojedyncze, zachwyciło słowa, które urzędnik biurowy, podszedłszy do hrabiego Mikołaja, do niego wystosował:

— Mnich *polonus* prosi miłościwości waszéj o udzielenie mu posłuchania...

— Późniéj... jutro...—odpowiedział hrabia.

— Nalega... mówi, że mu pilno...

— Powiedz mu, żem zajęty...

— On by się z hrabią Piotrem lub z kim innym rozmówił...

— Może rozmówienie się z nim polecę komu...—odrzekł hrabia z niecierpliwością. Niech czeka...

— Ahm...—zakarbował sobie biskup w myśli i, nie zwlekając, towarzystwo opuścił. Gdy z siedzenia wstawał, Turek się do niego odezwał:

— Ij... siedź!..

— Cóż wysiedzę?..—odparł.

— Mógłbyś wysiedzieć kurczęta, gdybyś miał pod sobą jaja, ale że ci jaj nie podsypano, więc z siedzenia twego ten pożytek, że mnie bawi twoje językiem klapanie... Mówisz mi o królestwie... mów daléj...

— Poczekaj, beju... może się o niém czegoś więcéj dowiem...—odpowiedział biskup, odrzekł, udał się do izby swojéj i kapelana po księdza Deodata posłał.

W chwilę późniéj braciszek *polonus* z rękami złożonemi i głową pokornie schyloną przed obliczem prałata stanął. Biskup okiem go zmierzył i tak do niego przemówił:

— Hrabia Mikołaj nie może ci w chwili téj posłuchania udzielić.

— Wiem o tém... niestety...—westchnął braciszek.

— Cóż mu powiedzieć masz?..

— Znalazłem do korony polskiéj kandydata i pilno mi wracać do kasztelana Gembickiego, z polecenia atoli kasztelana, wracać nie mogę bez rozmówienia się z hrabią...

— Kogóż znalazłeś?..

— Beja tureckiego... Bej to szlachcic... Na imię mu Sapit...

— Piast...—podchwycił biskup.

— Tak jest, *eminentissime*...—odezwał się braciszek, podnosząc na biskupa oczy, wyrazu pełne.

— Hm?.. to kandydat dobry, ale nie wywiążesz się z zadania, jaki na ciebie kasztelan włożył, jeżeli mu Piasta tylko na kandydata podasz...

— Cóż, kiedy innego wyszukać nie mogę...

— Czemu?.. Czyś już o tém z hrabią mówił?..

— Mówiłem...

— I cóż?..

— Hrabia powiada, iżby się znalazł kandydat nie jeden...

— Nie powiedział który...

— Nie, *eminentissime*...

— Wymienić mu bowiem samego siebie nie wypadało...—rzekł biskup, odgadując o czém nie wiedział, a raczéj strzelając na chybił trafił z punktu tego, że każdy magnat węgierski z ochotą by czoło koroną polską przyozdobił.

Postawienie kwestyi kandydatury upoważniało go do użycia manewru tego, celem dowiedzenia się o rzeczy.

— Nie wypadało i nie wypada...—prawił. Należy to do ciebie, wielebny... Ty mu sam kandydaturę nasuń.

— Hm?.. uhm?..—braciszek na to.

— Czyżbyś co przeciwko niemu miał?..

— Nic... to jeno, że imię jego *anagrammatice* wróżbą żadną nie brzmi...

— Nie brzmi *anagrammatice*, ale za to brzmi *grammatice*, a to ważniejsze... Czyż się nie kończy na: *laus*?.. Koniec dzieło wieńczy... Czytaj imie: Nic-ol—*laus*... Niby to nic, a wkońcu chwała...

— Tak...—odrzekł braciszek—tak, to prawda... Gdyby hrabia był kalwinem...

— A na cóż ci kalwin?..

Ksiądz Deodat rzecz wytłómaczył. Biskup odparł:

— To pięknie i chwalebnie, bardzo chwalebnie... Wiedzże, że hrabia *conditioni* téj odpowiada w zupełności, z nadmiarem nawet: je chleb kalwiński, jako dziedzic fortuny, zgromadzonéj przez kalwina zażartego, a przytém, sam niedowiarkiem jest... Popytaj o niego ojców jezuitów... Niedowiarek gorszy od kalwina..

— To prawda...—odrzekł braciszek skonwinkowany...

— Owóż, ofiaruj mu kandydaturę od siebie, *discrete*, nie powiadając, żem ci ją doradził i, przed puszczeniem się w podróż, ze mną się jeszcze rozmów, chodzi tu bowiem o rzecz ważną: o nawrócenie niedowiarka... kasztelanowi dwóch nastręczysz kandydatów: Turka i niedowiarka... będzie temu rad...

— Polecił kalwina wyraźnie...—wtrącił ksiądz.

— Wytłómaczysz mu różnicę... Kalwin wieprzowinę spożywa w adwent otwarcie i chwali się tém; niedowiarek spożywa, ale się nie chwali... Pana Boga oszukuje... Hrabia na tronie polskim nie będzie mógł tego czynić...

— O nie!...—podchwycił braciszek—będzie dozorowany zbliska.

— Hrabia powiada, że mięso to ryba niechrzczona...

— Cóż innego powiadają kalwini?.. Co to za przewrotność, mój Boże!..

— Otóż widzisz... Idź-że z Bogiem, a pamiętaj dyskrecyą potrzebną zachować... nie powiadaj nawet—dodał od niechcenia niby—żeś się ze mną widział...

Braciszek na ręku biskupa pocałunek złożył, z czołem pochylonéni błogosławieństwo jego przyjął i z pokorą oddalił się.

Po odejściu jego biskup uśmiechnął się uśmiechem zadowolnienia, kapelana przywołał, podyktował mu do konotatnika *pro memoria* wyrazów kilka, że się zaś zbliżała pora obiadowa, na pokoje wyszedł, ale się już do Turka nie zbliżał. Sapit bej mu już potrzebny nie był. Uwagę jego zajmował Franciszek I, który z hrabiną Piotrową rozmową się zabawiał. Ulokował się tak, ażeby rozmowy téj dźwięki do ucha mu wchodziły. Słuch nastawiał, o niczém atoli ciekawém dowiedziéć się nie mógł, rozmowa bowiem, przeskakując z przedmiotu na przedmiot, czerpała materyą z przejawów życia powszedniego. Hrabina zapytywała o zdrowie księżny matki i o sposób, w jaki ona w Wiedniu czas przepędza; zapytała następnie o Koszyce, czy to miasto wielkie, daléj, o Debreczyn, wreszcie, o jakość dróg. Na téj materyi ostatniéj rozmowa się zatrzymała dłużéj z powodu, że Franciszek I miał dużo do mówienia o wybojach i o stromych w Węgrzech północnych zjazdach. Opowiadał. Hrabina z wielkiem słuchała zajęciem, wtrącając od czasu do czasu słówko w celu nie innym, jak dla podsycania rozmowy w kwestyi, w któréj, jak się zdaje, jego wysokość mocną się czuła.

(*dok. nast.*) *T. T. Jeż.*





WYJĄTKOWE PRAWA SZKOLNICZE

DLA W. KS. POZNAŃSKIEGO,

Prus Zachodnich i części Szląska Górnego.

Dwie dźwignie potężne podsadził rząd pruski pod żywioł polsko-słowiański, psujący mu harmonią i jednolitość państwa: dźwignię ekonomiczną a drugą szkolniczą.

O pierwszéj pisano już obszernie w piśmie waszém; postaram się żeby wedle życzenia waszego w krótkich słowach rozpisać się o drugiéj.

W ciągu nieszczęsnego roku 1886 ukuł sejm pruski trzy prawa szkolnicze, obliczone na podkopanie polskości w prowincyach pruskich, zawierających ludność mieszaną. Pierwsze prawo dotyczy ustanawiania i służbowego stosunku nauczycieli elementarnych, drugie obostrza kary za zmudę w uczęszczaniu do szkoły, a trzecie zamierza upowszechnić tu szkoły uzupełniające (*Fortbildungsschulen*) przeznaczone dla terminatorów i młodszéj czeladzi, którzy opuściwszy z 14 rokiem szkołę ludową, rychło zapominają, czego się w niéj nauczyli.

Zastanówmy się z kolei nad materyą trzech praw.

I.

Jak wiadomo istnieje w Prusiech przymus szkolny, ale dziwny to zbieg okoliczności, że państwo, które przez swego „szulmeistra" odnosiło już takie zwycięstwa jak pod Sadową, nie zdobyło się jeszcze na organiczne prawo szkolne. Zapowiedziano takowe w konstytucyi pruskiéj, ale dotąd nie przystąpiono do uiszczenia się z obietnicy. Sprawa sama przez się nie jest łatwą, wywoła-

łaby niesłychanie drażliwe walki parlamentarne, więc się rządzi szkołami daleko wygodniéj za pomocą rozporządzeń ministeryalnych i niższych urzędów administracyjnych, lub, co najwyżéj — prawodawstw prowincyonalnych.

Zatém i mianowanie nauczycieli elementarnych nie było dotąd uregulowane przez ogólne prawo i różne w téj mierze istniały praktyki. Nauczycieli elementarnych mianował albo rząd, albo gmina, albo patron dominialny. Rząd oczywiście wszędzie zastrzegł sobie swoje *veto*, ale najczęściéj wykonywać go nie mógł, nie chcąc szkół ogołocić z nauczycieli. Ztąd wynikało, że w okręgach polskich bądź-co-bądź nauczyciel czuł się więcéj zależnym od gminy lub patrona, niż od rządu, zwłaszcza póki inspekcya czyli dozór nad szkołami spoczywał w ręku duchownych. Od czasu jak inspekcyę duchowną zniesiono a ustanowiono specyalnych powiatowych inspektorów szkolnych z ramienia rządu (1872), oraz lokalną inspekcyą oddano wyłącznie w ręce niemieckie, stanowisko nauczycieli elementarnych straciło na niezależności, ale jeszcze mu pozostało ubezpieczenie nieodwołalności. Raz zatwierdzony nauczyciel, bez wytoczenia wątpliwego w skutkach procesu dyscyplinarnego, rugowanym być nie mógł z pod ramienia swego prywatnego patrona, który go mianował dla siebie a nie dla państwa.

Otóż tedy pierwsze z nowych wyżéj wymienionych praw wydano celem złamania resztki samodzielności nauczycieli elementarnych i usunięcia ich z pod wpływu patronów prywatnych.

Słusznie utrzymywano w sejmie, że to nowa sztuczka reakcyjna. Probuje się eksperymentu w mieszanych czyli polskich prowincyach, a następnie, zamach na autonomią gmin i patronów prywatnych rozciągnie się na całe państwo.

Tymczasem kot reakcyjny jeszcze schował pazury. Kiedy ze strony Niemców, zamieszkałych w prowincyach pomienionych powstała o to wrzawa, mogąca całe prawo narazić na odrzucenie w sejmie, rząd w prawie wyjątkowém zgodził się na wyjątki. Jak to? zawołały miasta niemieckie, za to, że w szkołach naszych propagujemy system „symultanny", że dusimy polskość wszelkiemi siłami, za to i nam odebrać mają prawo powoływania nauczycieli do naszych szkół?

Rząd tedy co do formy zrobił ustępstwo. Nowe prawo oddaje mu pod wyłączne rozporządzenie nominacyą nauczycieli ludowych w obwodach rejencyjnych: gdańskim, kwidzyńskim, bydgoskim, poznańskim i opolskim, wyjmuje jednak z pod prawa tego powiaty miejskie (Gdańsk, Poznań, Bydgoszcz), wyjmuje dalej zupełnie

lub prawie zupełnie niemieckie powiaty, jak wałecki (*Deutsch Crone*) malborski, suski, elbląski i prócz tego w Prusach Zachodnich położone miasta z liczbą przenoszącą 10000 mieszkańców, jeśli same o to stawią wniosek.

Powiedzieliśmy, że rząd pod względem formy zrobił ustępstwo, i tak jest, bo w Prusach wogóle wszelkie ustępstwa są formalne. W rzeczy saméj bowiem autonomia szkolna dawniejsza, zwłaszcza co do gmin, była wielce wątpliwą. Gminy powoływały i brały nauczycieli na próbę, ale rząd zatwierdzał. W gminach miejskich angażowały nauczycieli magistraty, a następnie po próbie, zapytywały magistraty u drugiéj „władzy“ miejskiéj, t. j. u reprezentacyi czyli u radnych miast, czy się zgadzają na instalacyą. Reprezentacye miały prawo objawić zdanie, ale uchwała w razie odmownym nie miewała nigdy następstw praktycznych przymusowych. Radni miejscy mogli tylko odmówić w etacie pieniędzy na pewną posadę, ale i w takim razie rząd zmusić ich mógł do wypłaty. Nigdy téż takiéj opozycyi nie próbowano. Teraz, wedle nowego prawa, zachowaną została „autonomia szkolna“ dla okręgów niemieckich, ale siekierka tonie i tam już tylko między magistratami a rządem, radnych czyli reprezentacyi miejskich, a więc z wyborów obywateli wynikłéj władzy miejskiéj, wcale już nie pytają, tylko każą płacić. Czy to nie postęp reakcyjny?

Nowe prawo nie tylko że rządowi oddało prawo instalacyi nauczycieli ludowych, ale oddało mu jeszcze i prawo p r z e n o s z e n i a tych nauczycieli z prowincyi polskich i mieszanych gdziekolwiek bądź do innych szkół rządowych w prowincyach czysto niemieckich.

Jest to środek nietylko groźny na przyszłość, ale i bolesny nad wyraz dla teraźniejszości. Z drżeniem serca obawiamy się z dnia na dzień gromu, który spadnie na wszystkich, a przynajmniéj na bardzo znaczne części naszych pedagogów ludowych, w których choć iskra samodzielności pozostała. Z żonami i dziećmi powędrować oni mają między żywioł zupełnie obcy i nienawistny, bo trzeba wiedzieć, że przykład z góry dany oddziałał dziś już na najszersze koła ludności. Byle ciura niemiecki czuje się dziś wobec nas krzyżakiem, powołanym do tępienia i upakarzania naszego żywiołu. Szczęśliwi ci, co się dostaną w katolickie okolice Niemiec; tam jeszcze, z wyjątkiem Szląska, jest więcéj odwagi cywilnéj i poczucia słuszności.

Jak dotąd rugi na polu szkolnictwa odbywają się tylko ze szkół wyższych. Przeniesiono świeżo kilkudziesięciu nauczycieli Polaków nad Ren, do Holsztynu, na cztery wiatry. W szkolnictwie ludowém jeszcze cisza, może cisza przed burzą, któż to wie, a może téż stosunki okażą się tu silniejszemi nad złą wolę ludzką.

Na szczęście bowiem, Prusy jeszcze nie posiadają wystarczającego materyału nauczycielskiego, a zatém niema do zbytku materyału na przerzucanie, zwłaszcza że w dalszych prowincyach patronat prywatny nie został jeszcze zniesionym i tylko ochotników oraz dzierżycieli rządowych posad brać można na uwagę. Co dobre, to się trzyma rodzimych stosunków i okolic, na ochotnika wędrują do nas nie najlepsze żywioły, bo wiadomo już dziś powszechnie, że praca niemieckiego szkolnictwa w polskich szkołach równa się pracy Tantala. On nie umie ani słowa po polsku, dzieci ani słowa po niemiecku: ucz teraz i rozkrzewiaj oświatę, kulturę. Słyszałem niedawno na własne uszy, jak dziecko wiejskie powracając ze szkoły, a zapytane po niemiecku: „ile masz lat“, odpowiedziało bez namysłu po polsku: „mój ojciec służy za fornala.“ Snać tego rodzaju konwersacya musi być w szkole chlebem codziennym.

W 5-ciu obwodach rejencyjnych, dotkniętych nowém prawem, liczy się 150,000 ewangielickich a 400,000 katolickich dzieci na 236 miast a 7204 gmin wiejskich, w których jest 5081 szkół ludowych, 516 miejskich z 2364 nauczycielami, a na wsiach jest 6359 nauczycieli i nauczycielek; z tych 2000 ewangielickich a 4000 katolickich. Zwłaszcza nauczycieli katolickich brak wielki, bo jeśli w przecięciu na nauczyciela ewangielickiego przypada 75 dzieci, to na katolickich po 100 i więcéj, w obwodach polskich od 92—115.

Czy wobec tych liczb i stosunków administracya szkolna i na polu szkolnictwa ludowego będzie mogła przeprowadzić zamierzone rugi, wątpić by należało. Lecz cóż to u nich? choćby zepsować szkołę, mówią, trzeba poświęcić miliony i całe generacye, byle dopiąć swego, t. j. wzmocnienia żywiołu niemieckiego.

Przeprowadzenie prawa znoszącego autonomią szkolną w 5-ciu wschodnich obwodach rejencyjnych nie odbyło się w sejmie bez ciężkich walk i zapasów. Nie to, że nasi posłowie, jak należało, oczywiście, występowali przeciwko niemu z całym zapasem właściwych argumentów, lecz i opozycya niemiecka zwalczała nowe prawo jako groźny zakus reakcyjny.

Centrum katolickie stanowczo mu się opierało. Windthorst wywodził, że prawo to oddać musi wszystkich pedagogów pod niewolnicze jarzmo rządu, że służyć będzie do rozpowszechnienia pogaństwa w szkole ludowéj, zerwie związek między rodzicami, gminami a szkołą, gorzéj jak ongi w Sparcie. Samowładztwo państwa jest właściwym celem — mówił — a antypolska tendencya prawa tylko płaszczykiem reakcyi, która się następnie przeniesie i na prowincye zachodnie.

Szczególnie boleśnie dotknęło posłów katolickiego stronnictwa sejmowego rozpostarcie nowego prawa i na Szląsk, na obwód opolski, zamieszkały, jak wiadomo, przeważnie przez ludność „polską“, t. zw. Górnoszlązaków. Zaręczali posłowie katoliccy, że ci Górnoszlązacy są najlepszymi patryotami pruskiemi, a „wielkopolskiéj“ agitacyi wcale na Szląsku nie znać. Kwestya językowa, mówili, jest tam rzeczywiście tylko kwestyą językową nie zaś kwestyą polityczną.

Niestety i z naszéj strony przywtórzyć trzeba temu zapatrywaniu najzupełniéj. Przywtarzał mu i p. minister Gossler, godził się, że na Szląsku agitacyi „wielkopolskiéj“ niema, ale mogłaby być, mówił; temu należy zagrodzić za pomocą szkoły, bo szlachty polskiéj tam już niema, żeby ją wykupywać.

Dla nas takie orzeczenie ministra jest oczywiście bardzo smutném świadectwem. Więc ostatecznie cała owa bramarbasada o zdobyciu Szląska dla poczucia narodowego, była prostą przechwałką z rzędu tych, na które tak chętnie chorujemy. Jeżeli w czém, to tu się wykazuje całe nasze szowinistowskie niedołęstwo. Tyle lat pracy, walki pełnéj ofiar, tyle przechwałek, że „kulturkampf“ odzyskał dla nas Szląsk stracony od tylu wieków, a tu mamy podwójne świadectwo urzędowe, że agitacya polska nic a nic na Szląsku nie wskórała.

Tak tedy i my wystawić możemy naszym „przechwałkowskim“ to smutne świadectwo, że na Szląsku nic nie zdziałali, niczego nie zdobyli, że mianowicie duchowieństwo tamtejsze mimo wspólność broni kulturkampfowéj, dla wszelkich aspiracyi polsko-słowiańskich jest zupełnie wrogo usposobione, a nasiedlenie niemieckich nauczycieli wykorzeni do reszty i tak skromną polskość górnoszląską;— jeżli Opatrzność ludowi swemu nie da dostatecznéj siły odpornéj, nasi działacze mu jéj nie dadzą.

II.

Przechodzimy teraz do drugiego prawa o karach za zmudy szkolne.

Przymus szkolny pociągnął oczywiście za sobą w skutkach system kar za nieposyłanie dzieci do szkoły. Kary te z powodu braku ogólno-państwowego prawa szkolnego, są w różnych prowincyach różne, wedle ustaw i przepisów prowincyonalnych. Tak mianowicie ordynacya szkolna dla Prus Królewskich z 11 grudnia 1841 ustanawia, że zmudy szkolne, po wysłuchaniu powodów uniewinniających, karane być mogą grzywnami za każdy dzień zmudy od 4 fenigów

aż ostatecznie do 50 fen. Regulamin zaś zkolny z 18-go maja 1881 obowiązujacy na Górnym Szląsku, dopiero po całotygodniowéj zmudzie przypuszcza zastosowanie kary do wysokości 50 fen. albo w razie niemożności—odpowiedniéj robocizny na korzyść gminy.

Prawo nowe wydane 6 maja 1886 znosi właśnie te przepisy poszczególne, a upoważnia najwyższy urząd administracyjny w prowincyi do wydania nowych, odpowiedniejszych rozporządzeń na zasadzie ogólnego prawa krajowego i konstytucyi z 21 stycznia 1850 roku.

A zatém znów władza administracyjna, władza policyjna zyskuje przewagę nad prawem i nowy krok naprzód zrobiono w kierunku reakcyjnym, dzięki niepohamowéj powolności sejmu pruskiego a raczéj jego mameluckiéj większości dla zamiarów rządowych.

Różni mówcy opozycyjni daremnie wywodzili, jak ciężko dowolne przepisy policyjne dotknąć mogą ubogą ludność i odstręczać ją będą od szkoły i rządu. W prowincyach wschodnich, o które prawu nowemu chodzi, nie nowina że dzieci muszą 3—10 kilometrów drogi odbywać zanim się dostaną do szkoły. W mroźny czas zimowy, w plutę wiosenną lub jesienną, z obawy przed grzywnami przybywać będą skostniałe, zmoczone do szkoły. W południe, dla oddalenia, nie mogą wracać na obiad, zadowolnić się będą musiały kawałkiem suchego chleba, przemiękłego, wymrożonego. Mniéj ludzki nauczyciel nie pozwoli im nawet podczas pauzy obiadowéj pozostać w lokalu szkolnym. Więc chyba zmarnują zdrowie, a jaka tam z tego będzie nauka? W takich barwach malowano sytuacyą.

Lecz na to niema względu. Przy zielonym stole ministeryalnym, na podstawie małodusznych raportów (*bericht*) inspektorów szkolnych, zaopiniowano, że mianowicie dzieci polskie nie robią w szkole ludowéj postępów z powodu, że nieregularnie do szkoły uczęszczają. Nie system sprzeciwiający się wszelkiéj pedagogice, z obcym językiem wykładowym, jest winowajcą cofającéj się oświaty, lecz zmudy szkolne, a więc znieść dawne i łagodniejsze przepisy, oddać dzieci i rodziców pod samowolę policyi, wtedy i Hiszpan się wykształci na chińskim języku.

Na ten cel już naczelny prezes Prus Wschodnich rozporządził dnia 26-go czerwca 1886, że rodzice i opiekuni za każdy dzień przez dziecko zmudzony podlegać mają karze od 25 fenigów do 2 marek; a chlebodawcy, którzyby dziecko powstrzymali od nauki szkolnéj pła... będą za każdy dzień od 1—30 marek. W Prusach Zachodnich w pierwszym wypadku naznacza się kara od 10 fenigów do 1 marki dziennie, a w drugim aż do 60 marek.

tak wszędzie daléj a daléj, srożéj a srożéj.

Nowy porządek, jak przewidują, będzie miał ten skutek, że oczywiście regularność w uczęszczaniu do szkoły się powiększy, ale kosztem czego? — oto kosztem zdrowotności i populacyi. Mnóstwo dzieci wypędzanych przez biednych i ponękanych rodziców na mróz i niepogodę, przypłaci ofiarę dla szkoły zdrowiem i życiem. Krajowi ubędzie rąk do roboty, państwu ubędzie rekruta, ale żandarm i komornik odnosić będzie tamże tryumfy, a panowie inspektorowie szkolni po 10 latach wymyślą nowy powód, dla czego polskie dzieci nie robią postępów w niemczyźnie.

A ile biedaków zubożeje ostatecznie pod grozą prześladowań za zmudy szkolne? Nie powiedziano tego oczywiście, ale może i to jest celem tych obostrzeń, żeby biedną a litującą się nad zdrowiem swych dzieci ludność polską, nielitościwemi karami zmarnować ekonomicznie.

Ależ wszak tyle nowych szkół niebawem natworzą, że dzieci spacerem chodzić będą do szkoły, nie jak dziś, że podróże do nich odbywać muszą.

III.

Statystyka r. 1882 wykazała, że w Prusach istniało 1261 szkół uzupełniających (wieczornych i niedzielnych), z tych 644 przemysłowych po miastach a 617 po wsiach. Szkółki te przeznaczone bywają dla terminatorów czyli uczniów rzemieślniczych, handlowych i młodzieży wiejskiéj, z ludowéj szkoły już wyzwolonéj, żeby nie zapomniała, czego się w takowéj nauczyła, albo żeby choć w części douczyla się tego, czego w szkole nauczyć się nie zdążyła, lub wreszcie, żeby się wyćwiczyła w różnych zręcznościach zawodu lub domowego przemysłu.

Szkoły te jak na całym świecie tak i w Prusiech zawdzięczają pierwotne istnienie swe stowarzyszeniom, a zatém wolnéj inicyatywie obywatelskiéj.

Jakiś statysta przemądrzały snać pozazdrościł laurów swobodnemu działaniu oświatowemu i przekonał rząd, że on powinien tę samorodnie wybujałą latorośl przywiązać do swego kołka—przymusu. Tyle już jest przymusu w państwie pruskiém, czemuż go niema być trochę więcéj? Jest przymus szczepienia ospy dla niemowląt, potém idzie przymus szkolny od 7—14 roku, potém przymus wojskowy, landwerowy, landszturmowy, jedynie między 14 a 20 rokiem była dotąd swoboda zatrudnień i nauki; czemużby i téj nie ukrócić na korzyść i pod strychulcem wszechmocności państwa! Zwłaszcza jeśli to kwadruje do polityki antypolskiéj.

Co prawda, to młodzież nasza ludowa w epoce od 14—20 roku, pod względem nauki teoretycznéj i oświaty, używała całkiem niekłamanéj swobody. Bardzo niewielkim szeregiem polskich szkół uzupełniających poszczycić się możemy, tak, że w gruncie rzeczy nie wypadałoby nam ostatecznie gniewać się o tę nową instytucyą przymusowej oświaty, gdyby uwzględniać zechciała prawdziwe potrzeby naszéj młodzieży. Ale jeżeli Windthorst w sejmie wyraził obawę, że szkoły te będą nową pepinierą bezreligijności, pogaństwa, to czemże one dopiero będą dla nas?

Lecz czyż będą one rzeczywiście istniały? Czy przymus ten będzie mógł być przeprowadzonym? Wątpiono już o tém w sejmie, a jakoś jak na tymczasem z praktyką przeprowadzenia idzie tępo.

Cóż począć z tą masą młodzieży z najnierówniejszym przygotowaniem szkolném? z młodzieżą zdziczałą, niesforną? Jak ją karać? Chłostą, aresztem? Chyba na każdéj lekcyi obok nauczyciela obecnym będzie żandarm lub patrol żołnierski.

A jakże się dzieje w wolnych szkołach wieczornych? W wolnych dzieje się dobrze, bo do nich uczęszczają tylko wybrani, chętni, pragnący nauki i oświaty. A tu wszystko hurtem spędzić mają: porządnych, łotrzyków, którym co innego w głowie jak ułamki dziesiętne lub historya brandeburska.

To téż pedagogia nie wiele sobie po téj instytucyi obiecuje; ale na papierze już ona istnieje.

Sejm zawyrokował, że minister handlu ma gminom w W. Ks. Poznańskiém i Prusach Zachodnich dawać zapomogi na takie szkoły uzupełniające, albo téż całkiém z funduszów państwowych takowe urządzi. Może w koszarach, może w więzieniach, w pustych kazamatach fortecznych, bo jak się zdaje, np. gmina poznańska nie ma ochoty swych „pałaców“ szkolnych oddawać na ofiarę tatarskich obyczajów zdziczałéj po większéj części młodzieży, na uzupełniającą naukę skazanéj. Któż odpowie za szkody i nadużycia? Iluż nauczycieli, nawet za dobrą zapłatę, zaryzykuje walkę z krnąbrnością i nieobyczajnością 18-letnich kawalerów, zwłaszcza w większych miastach, gdzie obyczaje w téj sferze już dawno poszwankowały. Trudna to zatém będzie sprawa.

Że nie jest niemożebną, pouczają przykłady takich państw, jak Saksonia, Wirtembergia i Badenia, gdzie rzeczywiście przymus dla szkół uzupełniających istnieje. Ależ tam też stosunki są zupełnie odmienne. Odmiennym też był powód przeprowadzenia przymusu. Potrzeba wynikła z życia, nie została zaś narzuconą jak tu przez politykę, nie liczącą się z rzeczywistością. Prawda, że już ordynacya procederowa Rzeszy przewidziała szkoły takie, ale właśnie pytanie zacho-

dzi, czy wykonanie jest dziś na czasie. Dużo miast z Prus i z Poznańskiego zgłosiło się po zapomogi, bo to pieniądz gotowy a dobra nota u rządu, ale skutek wątpliwy bo wątpliwy, mimo kar surowych za zmudę, szkody i nieobyczajność. Chyba jeszcze bardziéj zapełniać się będą więzienia, bo jak zwykle, kary pieniężne w razie niemożności zapłacenia zamieniać się mają na karę więzienną.

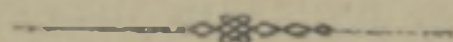
Przyjrzawszy się zbliska nowemu prawodawstwu wyjątkowemu w Prusiech, trudno nie powiedziéć z Szekspirem: *Something is rotten in the state of Prussia.* Z panem Bogiem! daléj a daléj. Idea prawa, idea sprawiedliwości, słuszności turbuje się na każdym kroku, szlachetniejsze uczucia tępieją, zdrowy rozum marnieje w objęciach hipokryzyjnéj argumentacyi, państwo wyrzeka się opieki nad słabym, szkoła porzuca zasadę pedagogii, racya stanu spada do poziomu brudnego geszeftu politycznego. To się pomścić musi. Takie targanie ducha musi sprowadzić wewnętrzną chorobę duchową, która następnie oddziała i na fizyczny organizm państwa, sprowadzi rozprzężenie. Mógłby ktoś z tego skorzystać.

Nawała niemiecka nie pierwszy już raz uderza gwałtownie na brzegi wschodnie: pochłaniała ona jednę po drugiéj małe krainy słowiańskie. Polska chwyciwszy w krytycznéj chwili, za Mieszka I, oburącz za krzyż i miecz chrześciański, uratowała nasze kresy plemienne przed lat tysiącem; dziś komu innemu przypadło zadanie bronić tych kresów mieczem od nacisku zbrojnego. Nam pozostaje obowiązek bronić się od przewagi ekonomicznéj, od nacisku kultury germańskiéj wytężoną a nieustającą pracą na wszelkich polach, szerzeniem i rozwijaniem oświaty, kształceniem w sobie cnót społecznych, wzmacnianiem ducha jedności i zgody. Zadatki ruchu w tym kierunku szczupłe są ale widoczne: jeśli nie damy im zwątleć, nadchodząca burza przeminie bez wielkiéj szkody.

Tylko niesforność i ślepota ubezwładnia.

Tylko zwątpienie i opuszczenie rąk zabija.

W. S.





SZKOŁY HISTORYCZNE W POLSCE.

(Główne kierunki poglądów na przeszłość).

III.

Prąd demokratyczny w r. 1831 i zmiana kierunku poglądów na przeszłość. Lelewel, przypisując upadek sprzeniewierzeniu się starosłowiańskiej zasadzie równości i wolności wszystkich, oskarża królów, arystokracyę i ziemian. Szlachtę bierze w obronę Wróblewski, monarchizm Hoffman, papiestwo i katolicyzm Dzieduszycki. Walewski przyczynę ruiny znajduje w upadku lojalności.

Rozumieli pisarze postępowi wieku XVIII doniosłość ucisku mieszczaństwa i chłopstwa, pojmowali wpływ jego ujemny na sprawę publiczną; nie w sponiewieraniu przecież plebejów, lecz w słabości rządu główną upadku znajdowali przyczynę. Zwolennicy państwa silnego wiedzieli o możności istnienia monarchii potężnéj przy braku równouprawnienia stanów, stąd owo wysunięcie w śledzeniu przeszłości na plan naczelny kwestyi organizacyi i wzajemnego do siebie stosunku władz rządowych, a względne zaniedbanie sprawy klas niższych. Zmiany, zaprowadzone w stosunkach prawno-społecznych przez kodeks Napoleona i ustawy konstytucyjne z r. 1807 i 1815, pobudki do zmodyfikowania punktu widzenia epigonom Naruszewicza dawać nie mogły. Zapatrywania monarchiczne ustąpiły w historyi miejsca socyalnym dopiero po katastrofie z r. 1831, kiedy wypłynęło na widownię stronnictwo ludowe.

Pierwszy posiew tego stronnictwa rzucili ludzie wieku zeszłego, lecz, jako działający przeważnie z pobudek filantropijnych, nie zdołali jeszcze wznieść się do zasady oparcia bytu politycznego Polski na ignorowanym przez tyle wieków żywiole. Roboty Andrzeja Zamojskiego, księdza Brzostowskiego, Stanisława Poniatowskiego,

Chreptowicza uważać należy za słabą tylko zapowiedź téj wiosny ludowéj, któréj pierwszą jaskółką był dyktator w chłopskiéj sukmanie. Chociaż na mocy ustaw konstytucyjnych księstwa warszawskiego i królestwa kongresowego otrzymał chłop wolność osobistą i zyskał dostęp do życia politycznego,—że jednak odrabiał pańszczyznę, a dla przyjęcia udziału w zgromadzeniach gminnych musiał okazać własność ziemską lub rany, odebrane na wojnie, faktycznie przeto do równości z patrycyuszami drogę jeszcze miał znaczną. Ciężką dotknięty dolą i surowy moralnie, obojętnie patrząc na heroiczne porywy szlachty, nie wzmacniał jéj swojem ramieniem, przez co rezultat ruchu listopadowego czynił niepewnym. Właśnie w zwątpieniu o możności dźwignięcia sprawy przez samą szlachtę, pod hasłem: siła kraju leży w ramieniu ludu! Towarzystwo patryotyczne nowy zainaugurowało programat. Rozumiało, że dla pozyskania ludu, wyzwolić go trzeba z pod jarzma pańszczyzny, obdarzyć własnością i dopuścić do rzeczywistego w obywatelstwie udziału; chciało, słowem, za pomocą przewrotu socyalnego w martwy dotychczas pierwiastek moralną tchnąć siłę i pchnąć go do czynu. Rozwinął się ostatecznie ten program pod wpływem prądów socyalnych, nurtujących po rewolucyi lipcowéj we Francyi a skrystalizował się w organie emigracyjnym, *Demokracie polskim* i w poznańskim *Roku*. Zapałowi do ludu towarzyszyła w stronnictwie demokratyczném nienawiść ku arystokracyi i szlachcie, na którą zwaliło odpowiedzialność za klęski. Starali się demokraci odgadnąć tajemnicę powstania szlachty i bez aparatu historycznego, drogą jedynie spekulacyi stworzyli dyskredytującą patrycyuszów teoryę gwałtu. Natura, pisali (1), stwarzając wszystkich ludzi wolnymi, jednakowe dla utrzymania ich przy życiu dała im prawo do używania powietrza, wody i ziemi. Nikt wyłącznym panem powietrza lub wody ogłosić się nie mógł bez gwałtu i nastawania na życie innych; nie mógł tembardziéj zająć w wyłączną posiadłość ziemi, która dla wydania plonu ludzkiéj potrzebuje pracy. Faktem jest niezaprzeczonym, że chłopi w dawnych czasach byli właścicielami gruntów: zabrała je szlachta przemocą, wolnych ludzi przywiązała do gleby, zmusiła ich do odrabiania pańszczyzny. Powinna oddać, co posiadła nieprawnie; włościanie słusznie mogą gwałt odeprzeć gwałtem. Jako zaporę oświaty i wolności, jako średniowiecznego upiora, obrażającego oko wieku XIX, przez niwelacyę wzgórzy społecznych składali demokraci szlachtę w grobowym dole. Powiew demokratyczny inną, niż Naruszewicz i naśladowcy

(1) M. Kubrakiewicza uwagi nad konstytucyą 3 maja 1791 r. co do prawa własności gruntu (Lelewel. *Polska. Dzieje i rzeczy jéj.* III, str. 3 i 4 w przyp.).

jego, do oceny przeszłości kazał stosować skalę i odsłonił widoki nowe.

Już w r. 1819 w rozbiorze *Pielgrzyma w Dobromilu* rzucił Lelewel uwagę, że „przed zaprowadzeniem w okolice Wisły chrześciaństwa był wszystek lud wolny, stan rolniczy równy orężnemu, dopóki wzrastające w Słowiańszczyźnie mocarstwa i dojrzewający na zachodzie feudalizm nie wywarły swych skutków“ (1). Nie była to bynajmniéj myśl nowa, poruszyli ją i rozrabiali historycy i publicyści wieku zeszłego (2); stała się jednak podwaliną nowego na przeszłość poglądu w opublikowanych w r. 1844, a głośnych tegoż historyka *Uwagach nad dziejami Polski i ludu jéj.*

Szczep lechicki, na rozmaite ludy podzielony od wieków, w jednę połączył się całość i pod przywództwem samowładnego króla historyczny rozpoczął żywot. Była w narodzie obok gminu pragnąca wyniesienia się klasa Lechitów, przezwana szlachtą (z-lechcic), prawnie przecież od reszty ludności nie różniła się niczém. Wszyscy mieszkańcy byli wolni; wszyscy, nie znając własności osobistéj, dzierżyli w charakterze posiadaczów nadane im przez monarchę grunta państwowe, za których użytkowanie najróżnorodniejszym na rzecz skarbu podlegali ciężarom. W bezkrólewiu po Mieszku II pierwsze pomiędzy obywatelami wynikło starcie: gminowi przywodził Masław, Lechitom Kazimierz. Zginął Masław, kmiecie ponieśli klęskę, a zdarzenie to uważać należy za pierwszy cios dla obywatelskiego gminu, którego dola coraz bardziéj stawała się sroższą. Dla ucisku Lechitów raz jeszcze kmiecie za Bolesława Śmiałego porwali za broń, lecz znowuż ulegli. Losy gminu dzielił samowładny do śmierci Bolesława Chrobrego monarchizm: słabł w miarę dźwigania się szlachty, a przez upadek Śmiałego zachwiany został do gruntu. Po śmierci Bolesława Krzywoustego występuje wyczynione ze szlachty bogatszéj możnowładztwo i steruje sprawą publiczną aż do r. 1374. W pierwszych leciech sześćdziesięciu (1139—1180) w walce z dowolnościami Władysława II i Mieszka Starego okazuje ono pojęcia wzniosłe i dzielność, lecz od synodu prawodawczego łęczyckiego do koronacyi Łokietka przez rozpasany indywidualizm wyosabnia się przywilejami i wdzierstwem. Rozpustę możnowładzców przytłumił Łokietek i nadany przez Ludwika andegaweńskiego przywilej koszycki. Dźwignął się w pociągniętym do życia publicznego stanie rycerskim duch oby-

(1) Rozbiory dzieł, str. 87. - (2) „Ta niewola, w któréj są teraz u nas poddani nie była przedtém, jak teraz, ale stopniami rosła... W krajach pobraterskich nam Lutyków, Sasów i innych rząd był gminowładny, więc i u nas w pierwszych początkach podobny być musiał“ (*O poddanych polskich*. Roku 1788. Przypisek 4).

watelski i dla anarchii możnowładczéj nieprzełamaną utworzył tamę. Po ostatnich połyskach wysilającej się arystokracyi, (1374—1454) gminowładztwo szlacheckie dojrzewa w statutach nieszawskich, a za Olbrachta i Aleksandra do najwyższego dochodzi szczytu. Pochłonąwszy w sobie panów a ujarzmiwszy lud i mieszczaństwo, pomiędzy rokiem 1562 i 1607 ostatecznie szlachta rzeczpospolitę urządza i wszechwładztwo swoje rozwija do reszty. Ale „człek nadzwyczajny, który w sile wieku swego natchnął lud szlachecki wysokiemi gminowładnemi wszechwładztwa pojęciami, powinowacąc się z Batorym, jego widzeniom monarchicznym potakując, podniósł nieprzyjaciela rzeczypospolitéj, z którym ubijać się wypadało.“ Sam Zamojski zniewolony był pod koniec życia wystąpić przeciwko knowaniom Wazy, a rozpalone przez niego zarzewie rychło w wielki miało wybuchnąć pożar. „Lud szlachecki, ze złéj wiary królewskiéj markotny, przywykły miéć przewodników, dał się prowadzić wichurze. Zebrzydowski, Jan Radziwiłł, Ostroróg wezwali go i tłumnie ruszył podpisać rokosz pod Sandomierzem. Cień Zamojskiego zdawał się popierać wielkie narodowe poruszenie, a tron zadrżał w posadach swych odgłosem gróźb zgasłego naczelnika, odgłosem, tysiąckroć powtórzonym przez gniewny lud.“ Pod Guzowem gmin szlachecki ponosi klęskę; z upadku jego możnowładztwo nieobliczone odnosi korzyści. Jeżeli doba gminowładztwa szlacheckiego przez zwrót do zasad słowiańskich zapewniła Polsce potęgę, to w okresie od r. 1607 żywioły cudzoziemskie, biorące górę nad myślą narodową, sprowadzają upadek. Duch narodowy postawił braterstwo i równość; cudzoziemszczyzna podnosi na wzór zachodu pierwiastek arystokratyczny, którego polityce nieograniczone zapewnia wpływy. Wbrew duchowi narodowemu Wazowie usiłują ugruntować w Polsce swoją dynastyę, wpływ rzymski nie dopuszcza formacyi kościoła niepodległego, obudza prześladowanie dysydentów,—ścieranie się najróżnorodniejszych, niemożliwych do pogodzenia żywiołów sprowadza odmęt i nierząd. Sprzeniewierzenie się leżącym w duchu narodu, a urzeczywistnionym w zupełności raz tylko, w pierwotnej Słowiańszczyźnie, zasadom równości wszystkich i wolności stało się istotną przyczyną upadku.

Poglądy Lelewelowskie niczém innén nie były, jak wznowieniem teoryi Wielhorskiego i republikantów z doby sejmu wielkiego. Pomimo różnicy w szczegółach, nieskończonéj wyższości Lelewela pod względem materyału dowodowego i ścisłości argumentacyi, wspólnego punktu wyjścia w poglądzie na przeszłość przedzielonych przez szkołę monarchiczną generacyi zaprzeczyć nie można. Jak Wielhorski, tak i Lelewel „pierwiastkową ustawę“ republikańską po-

czytują za podwalinę bytu, zboczeniu od niéj przypisują anarchię i ostateczną ruinę, tylko że pierwszy zawarł swój ideał polityczno-społeczny wyłącznie w szlachcie, gdy drugi podniósł go do rozmiarów żywiołu plebejskiego, powiększył o ogrom ludu. Demokratyczny w dzisiejszém znaczeniu tego wyrazu autor *Uwag* zajął względem szlachty stanowisko wyzywające, stał się, jako dziejopis, rzecznikiem haseł Centralizacyi, zwalającéj winę upadku nie na samą tylko arystokracyę i królów.

Pomysły Lelewela spożytkował w dziewięcio-tomowych *Dziejach rzeczypospolitéj polskiéj* (1843—55) Moraczewski, snuł późniéj z ich kłębka demokratyczny Schmitt, a jednocześnie dostrajali się do wyzywającego względem szlachty stanowiska mistrza różni historycy przez wskrzeszenie zaniedbanéj od naśladowców Naruszewicza teoryi najazdu (1). Wywodzenie szlachty od korsarskich Normandów (Szajnocha), od saskich Lazzów (Maciejowski) i kaukaskich Lezgów (Sękowski) niczém innėm nie było, jak przybraniem w formę naukową demokratycznéj teoryi gwałtu, umiejętném stwierdzaniem wysnutych drogą spekulacyi domysłów. Ulegając parciu ducha czasu, nieświadomie, bez powziętéj z góry tendencyi łączyli historycy głos swój z wrogim szlachcie pokrzykiem (2).

Po klęskach demokratów w r. 1846 i 1848, jak na zachodzie, tak i u nas zapanowała reakcya: pierwiastek ludowy, zdyskredytowany niepowodzeniami w wysiłkach przez rzeź galicyjską, ustąpił miejsca żywiołom zachowawczym najrozmaitszych kierunków. Górę bierze w stosunkach praktycznych i wyobrażeniach: szlachetczyzna, ultramontanizm i monarchizm, a zwrót nowy w życiu społecznėm i myśleniu odbić się musiał i w poglądach na przeszłość. Reprezentowany przez Lelewela kierunek ostrą, jako rewolucyjny, w różnych obozach znalazł naganę. W twierdzeniu, że z chwilą wprowadzenia do Polski cywilizacyi chrześcijańskiéj zmniejszyły się wolności gminu, dostrzegano „śmiałe i niewątpliwe wywrócenie i zaprzeczenie katolicyzmu;“ posądzano dziejopisa, że przez zaprzeczenie istnienia za pierwszych Piastów własności prywatnéj „wybija szeroki gościniec majątkowéj spólności, komunizmowi;“ ganiono niechęć ku szlachcie, „zagładzenie bowiem lechickich żywiołów popchnie ku znikczemnieniu, ku duchowemu a najopłakańszemu zepsuciu“ (3).

---

(1) Anonim w broszurze: *Polens Untergang. Ein charakteristisches Gemälde dieser Adels-Nation* (Cölln, 1808) szlachtę polską wywodzł od Sarmatów, lud uważa za słowiański. Innych śladów teoryi najazdu nie znamy.—(2) Zrozumiał to Maciejowski, lubo dość póżno. W ogłoszonéj w r. 1874 *Historyi włościan* uroczyście zapewnia (str. 22, 303), że przybyłych z Saksonii Lazzów Wielkopolanie przyjęli gościnnie; że za wyświadczone krajowi usługi obsypali ich darami —(3) Przegląd poznański z r. 1848, t. VII, str. 1—16.

Apologię szlachty podjął w trzytomowém *Słowie dziejów polskich* (1858—60) Wróblewski, który skrystalizował i na grunt filozoficzno-historyczny sprowadził panujące w literaturze emigracyjnéj ideały i sądy. Chociaż punktu wyjścia zapożyczył od Lelewela, a na materyale dowodowym Moraczewskiego się oparł, doszedł przecież do uogólnień, o jakich żaden z poprzedników nie myślał.

Słowo, tj. zasadniczą ideę narodu znajduje Wróblewski we wstręcie, jaki Słowianie mieli do wszelkiego rodzaju niewoli. Znamienna cecha praojców przeszła i na nas: „narodowym jest u nas wolny charakter ludu, a to w stopniu i potędze, do jakiéj żaden inny nigdy podniesionym nie był.“ Gdy różne narody narzucały podbitym jarzmo, myśmy od samego początku zwyciężonych przez siebie własną obdarzali wolnością. „Takie jest najogólniejsze znaczenie i tajemnica naszego słowa, taka w głównym zarysie jego fizyologia i odrębność.“

Pierwotne społeczeństwo słowiańskie żyło w gminach osobnych, złożonych z rodów. Patryarcha kierował rodem, gromada gminna o sprawach swoich stanowiła na wiecach, na których wybierała także ku wykonaniu uchwał starszyznę. Stanowiono zaś o wszystkiem i wybierano jednomyślnością,—*liberum veto*, jako zasadnicza ustawa, przestrzegane było u Słowian święcie. Gminy stanowiły małe rzeczypospolite bez żadnego związku federacyjnego, który tylko przygodnie podczas wojny się trafiał, kiedy na wiecu powszechnym obierano dowódców. Spostrzega Wróblewski w organizacyi Słowiańszczyzny trzy pierwiastki, niby prawa moralne, stale rządzić nami mające: 1) wolność i równość wszystkich, 2) w obradowaniu jednomyślność i 3) obieralność.

Przeznaczeniem naszém było, według Wróblewskiego, szerzenie wolności na wschodzie, przywrócenie ludom jego znamion zatraconéj słowiańskiéj zacności, dla urzeczywistnienia czego zachodziła konieczność stworzenia rządu silnego. Zadanie zaprowadzenia dobréj organizacyi wewnętrznéj po unii lubelskiéj, tj. po ustąpieniu z widowni dotychczasowych Polski piastunów: królów i duchowieństwa—legło na panach i szlachcie; nie było zaś niewykonalném, skoro zależało jedynie od usunięcia z rządów rzeczypospolitéj zarodów anarchii. Zarody owe przecież nie znikły, potęgowały się owszem z winy panów i królów. Magnaci, zamiast zrzec się przewagi politycznéj na rzecz rycerstwa, jęli się walki bez końca. „Dopokąd drżeli o wolność, dopótąd nie przeszkadzali szlachcie w jéj występowaniu na czoło narodu; od czasu zaś unii lubelskiéj, skoro znikły wszelkie obawy od dziedzicznéj Litwy, skoro już ustala potrzeba przywabiania szlachty litewskiéj słodyczami swobód polskiéj,—poczęli bez-

płciowém swojém możnowładztwem spychać stan rycerski z jego znaczenia, nie dopuszczać go do szczytu przewagi, którego już dopadał i dali anarchię"... Z drugiéj strony podsycali anarchię pragnący samowładztwa królowie. „Nic pewniejszego, że Polska dziedzicznie i samowładnie rządzona przyszłaby do wielkiego znaczenia i potęgi, a byt swój polityczny na zawszeby utrwaliła; ale nic także pewniejszego jak, że przeto Polacy staliby się obcymi swojemu powołaniu i naturze wolnego ludu." Usiłowało rycerstwo w duchu zasady gminowładno-szlacheckiéj naprawić rzeczpospolitę w rokoszu Zebrzydowskiego, lecz, poniosłszy porażkę, osłabło w godziwéj chęci osiągnięcia wszechwładztwa, folgę dało zabiegom arystokracyi i królów. Nierozstrzygnięcie walki *słowa* narodu z dwiema przeciwnemi mu zasadami: monarchiczną i możnowładczą mieści w sobie tajemnicę upadku. Sposób ratunku leżał w ostatecznem rozwinięciu i uzupełnieniu instytucyi szlachecko-gminowładnych: należało pozbawić królów środków, mogących wolną rzeczpospolitę obalić, trzeba im było odjąć prawo szafunku łask i urzędów. Król pozbawionyby został narzędzi demoralizowania obywateli, możnowładztwo musiałoby uledz rycerstwu, jako najwyższemu szafarzowi zaszczytów i nagród. Że uzupełnieniu instytucyi gminowładnych stanęli na przeszkodzie magnaci i króle,—„ogół narodu (tj. szlachta) zawsze, według autora, swojemu powołaniu, swojemu pierwotnemu słowu posłuszny, czysty staje od winy zatracenia ojczyzny."

Oprócz rehabilitacyi gminu szlacheckiego, któréj podjęcie sam Wróblewski za najważniejszą sobie poczytywał zasługę, zasadniczo autor *Słowa* od poglądu Lelewelowskiego odskoczył przez przyznanie narodowi polskiemu monopolu na wolność i misyi zaszczepiania lub wskrzeszania śród innych ludów znamion słowiańskiéj zacności. Mniemania tego rodzaju błąkały się po pismach emigracyjnych, najgorętszymi ich rzecznikami byli poeci. „Jeden naród polski, pisał Mickiewicz, nie kłaniał się bałwanowi i nie miał w mowie swojéj wyrazu na ochrzczenie czcicieli jego, którzy nazywają się z francuskiego egoistami...

„I szły króle polskie na obronę chrześcian w dalekie kraje, król Władysław pod Warnę, a król Jan pod Wiedeń na obronę wschodu i zachodu.

„Nigdy zaś króle i mężowie rycerscy nie zabierali ziem sąsiednich gwałtem, ale przyjmowali narody do braterstwa, wiążąc je z sobą dobrodziejstwem wiary i wolności"...

Takież mniemania o posłannictwie szlachty polskiéj w rymy wkładał Krasiński.

Przeciwko teoryi republikańskiéj wystąpił Hoffman, który takie stanowisko zajął względem Lelewela i jego naśladowców, jak względem Wielhorskiego biskup smoleński.

Słowiańszczyzna pogańska, twierdził, miała wiele instytucyi niezmiernie powabnych: rządy bez królów, wspólność majątkową, bezwarunkową równość,—zniszczyła je przecież nielitościwa ręka czasu, ustąpić musiały miejsca światu innemu. Żałować téj przemiany byłoby—wbrew Lelewelowi—rzeczą niewczesną, cywilizacya bowiem chrześciańska wynagrodziła ją hojnie. Zaprzecza Hoffman, żeby zadaniem narodu było konserwowanie pierwotnego swojego typu, „pierwiastkowéj ustawy": cywilizacya, chociaż szanuje znamiona szczegółowe i właściwości rasowe poważa, musi je przecież modyfikować ustawicznie stosownie do okoliczności i potrzeb czasu. „Narodowość, jakkolwiek szanowna, musi miéć swoje granice, inaczéj trzebaby nam wracać do czasów przedpotopowych." Kto chce Polskę zrozumiéć, badać ją powinien w epoce chrystyanizmu, nie zaś w dobie pogańskiéj.

Chrystyanizm zastał już w Polsce rozbicie społeczeństwa na stany, będące wynikiem nierównego podziału bogactwa. Że w kraju tak wyłącznie rolniczym, jak Polska, cały majątek zasadzał się na władaniu ziemią, do władania zaś owego przywiązany był obowiązek posługi wojennéj (*jus militare*),—dzielili się przeto mieszkańcy na posiadających własność i nieposiadających jéj, na rycerzy i kmieci. Człowiek gminu, kmieć, nabywszy własność ziemską, stawał temsamém w szeregach rycerstwa czyli szlachty, zbliżał się do źródła, z którego płynęły łaski i sowite korzyści. Nie powstała więc szlachta ani wskutek podboju, ani z naśladownictwa instytucyi zachodnich, lecz była wykwitem stosunków społecznych miejscowych. Nie było początkowo szlachectwo dziedzicznem, zawisło raczéj od przypadku, skoro pozyskiwano takowe przez nabycie ziemi, a utracano przez ustąpienie z niéj. Każda jednak arystokracya majątku, jeżeli jéj nie powstrzymują ostrożne przepisy prawodawcze, dąży naturalnie do przeistoczenia się w dziedziczną, rodową, a najpierwszym ku temu środkiem przybieranie nazwisk familijnych i herbów. Nazwiska i herby były dla uprzywilejowanego rodu dowodem prawnym, zamieniły arystokracyę osobistą na dziedziczną, zbudowały pomiędzy stanem rycerskim a gminem nieprzełamaną zaporę. Dostęp do arystokracyi dziedzicznéj otwierała jedynie szczególna łaska monarchy, mającego prawo nadawania uszlachceń lub przychylność rodzin rycerskich, mogących przygarnąć do swego herbu sposobem adopcyi. Mógł jeszcze każdy mieszkaniec kraju własność ziemską nabywać; jeżeli jednak nie był herbowym, patrzali nań rycerze okiem pogar-

dy, uważali go za żywioł pośród siebie zbyteczny, aż zapanowała zasada, że posługa wojenna stanowi obowiązek i przywiléj tylko szlachciców. Niosąc sama służbę rycerską, sądziła się być szlachta nieobowiązaną do składania ciężarów publicznych, od których uwolniła się za króla Ludwika; za Olbrachta usunęła plebejów, jako nienależących do obrony, od prawa nabywania własności ziemskiéj.

Dla braku feudalizmu nie mogła się w Polsce ustalić ani monarchia, ani arystokracya, ani demokracya.

Nad wszystkimi stanami panował w Polsce pierwotnéj król dziedziczny, stanowiący o wszystkiém samowolnie, niepodlegle i ostatecznie. Władza jego, żadném prawem nieograniczona, była absolutną, ale w duchu chrześciańskim, opartym na miłości bliźniego, na obowiązku opiekowania się szczęściem i wolnością wszystkich kraju mieszkańców. Ogół narodu, czując się jeszcze niezdolnym do czynnego udziału w rządzie, pozostawiał monarsze najszersze pole działania. I była Polska spokojna wewnątrz, silna jednością na zewnątrz, gdy ją na klęski i burze naraził podział, dokonany przez Bolesława III. Pozyskało wprawdzie społeczeństwo wolność, ale uprzywilejowaną w stanach szczególnych,—nabyło dążeń ujemnych, które jak nić czerwona snuły się od tego czasu przez wieki. Na nieszczęście brak było Polsce narodowego a silnego mieszczaństwa, któreby—jak to się działo gdzieindziéj—przyszło z pomocą królom, podało rękę klasie rolniczéj i szerzyło wyobrażenia wolności powszechnéj. Po osłabieniu monarchizmu, ponieważ żywioł demokratyczny, gnieciony ciemnotą i ubóstwem, nie mógł jeszcze marzyć o władzy,—przyszła kolej na arystokracyę; że jednak nie miała żadnéj organizacyi, żadnéj hierarchii, przeszedł rząd nie do kilku, ani do kilkudziesięciu, lecz do rąk każdego z osobna. Masa szlachty, znarowiona powabem mniemanéj równości, pędzona wiatrem interesu, przesądu lub namiętności, przelewała się naprzemian, jak wzburzony potok od jednego do drugiego magnata, żadnemu nie ślubując wiary, żadnego nie popierając stale,—nic nie budowała, wszystko niszczyła. Braku feudalizmu było następstwem, że żaden z żywiołów społecznych, czyto monarchiczny, czy arystokratyczny, czy demokratyczny nie mógł wziąć góry, nie potrafił silną dłonią ująć steru sprawy publicznéj. Za Jagiellonów trudno doszukać się formy rządu, niełatwo odgadnąć, gdzie się znajdowało wszechwładztwo: w królu, w reprezentacyi krajowéj, czy też w pojedyńczych ziemiach. Każdy z tych czynników rościł o nie pretensyę, ale żaden nie mógł stanowczego otrzymać zwycięstwa. Jeden psuł rządy drugiemu, z powodu czego zatrzymał się wewnętrzny rozwój narodu. Stan uprzywilejowany, zamiast podzielić się władzą z królem lub narodem, monopolizował na rzecz

własną wszelkie korzyści społeczne; nie uorganizowawszy się, nie zabezpieczywszy ani powagi sejmom, ani mocy obowiązującéj prawom, zasiał jeszcze w epoce złotego wieku oświaty ziarno anarchii (1).

Z punktu widzenia ultramontańskiego oceniał przeszłość Polski wychowaniec jezuitów, Dzieduszycki.

Kościół i państwo, odpowiadające dwom pierwiastkom człowieczeństwa: duszy i ciału, są głównemi podstawami społeczeństw. Ku osiągnięciu przez człeka szczęścia wiekuistego, sam Pan Bóg „przepisał prawa, wytknął drogę, dał przewodników, słowem ustanowił kościół"; co dotyczy zaś pomyślności ziemskiéj, „pośrednio tylko moc swą wywierając, użyczył najszlachetniejszemu swemu stworzeniu wolność w wyborze i ukształcaniu warunków istnienia i dobrego a swobodnego bytu." Choć cele i prowadzące do urzeczywistnienia ich środki kościoła i państwa są różne, instytucye te przecież szkodzić sobie nie mogą, wzmacniają się owszem wzajemnie. Jeżeli państwo wpływa na przyszłość kościoła, ostatni odpłaca mu, jednocząc ludzi w sposobie myślenia, kształcąc zasady i obyczaje, podnosząc posłuszeństwo dla władzy do rzędu cnót. Nie idzie zatém, żeby kościół mógł być państwu podległym; naodwrót, organ pomyślności doczesnéj jest podrzędny ułatwiającemu osiągnięcie szczęścia wiecznego.

Dobrze było Polsce, dopóki szanowała wolę papieżów i przyznawała im prawo wpływania na najwyższe w kraju zwierzchnictwo; ku upadkowi poczęła się chylić, skoro się sprzeniewierzyła katolicyzmowi,— religia bowiem stanowi najpewniejszą, owszem jedyną podwalinę narodów i państw, źródłem jest życia i opoką trwałości. Reformacya, rodząc w obywatelach zarozumiałość i dumę, przyprawiła rzeczpospolitę o zgubę. Kiedy upadła wszelka powaga; kiedy owi biskupi, tyle dotychczas szanowani ojcowie w kościele, a starsi koledzy w radzie narodowéj, obarczeni zostali wzgardą, w poniewierkę pójść musiała władza królewska, majestat urzędów i praw. Od tego czasu wszczęła się niejedność, wżarła się w charakter narodowy niezgoda, stać zaczęła Polska bezrządem. Jednym z najgorszych a bezpośrednich skutków różnowierstwa było podczas reformacyi dopiero powstałe rozdwojenie stanowcze pomiędzy poddanym a panem. Łagodził dawniéj poddaństwo patryarchalny stosunek, na wspólności religii, pochodzenia i potrzeb oparty; kiedy panowie wyznanie zmienili, kmiecie zaś katolicyzmowi zostali wierni, zerwał się

---

(1) Obraz rządu i prawodawstwa dawnéj Polski (*Przegląd poznański* z r. 1847 t. V, z r. 1848 t. VI, z r. 1849 t. VIII i IX). Historya reform politycznych w dawnéj Polsce. Lipsk, 1867. Przyczyny podziału monarchii polskiéj po Bolesławie Krzywoustym w wieku XII. Kraków, 1872.

główny węzeł serca,—słabszą stronę ogarnęła nieufność, obawa i niechęć; szlachtę pochopność do prześladowania i gwałtów. Dźwignęła się Polska za Batorego, który „sprawy Boga i religii nad rzeczy światowe przenosił i w pierwszych dla drugich podpory i mocy szukał", a miał ku pomocy Zamojskiego „kanclerza najroztropniejszego" i Sokołowskiego „kaznodzieję prawie boskiego." Dzięki Zygmuntowi III upadek, zapowiadany przez zgubne żywioły, opóźniony został na długo. Rokosz Zebrzydowskiego, „bagno, które, pochłonąwszy i skupiwszy w sobie mętne napływy, wydaje na wszystkie strony naraz niezdrowe wyziewy",— był, zdaniem Dzieduszyckiego, ostatniém wielkiém wysileniem różnowierstwa, zamachem na kościół katolicki i na najmocniejszą jego podporę—zakon Lojoli. Reakcya na korzyść prawdziwéj religijności i dobrych obyczajów zamach niebezpieczny zniszczyła, przytłumiła zło, które się zagnieździło z różnowierstwem za Zygmunta Augusta i wstrzymała ruinę. Nie zgadza się Dzieduszycki z Lelewelem, żeby okres upadku rozpoczynał się od Zygmunta III; sądzi, że i za Władysława IV nie zeszła Polska ze szczytu. Dla czego właściwy upadek upatruje w czasach Jana Kazimierza, kiedy przecież za panowania tego króla tryumfował kościół przez wypędzenie aryan — odgadnąć trudno. Według Dzieduszyckiego, dla podźwignięcia rzeczypospolitéj trzeba było „spoić rozchwiane polskie społeczeństwo", ku urzeczywistnieniu zaś tego należało się wytrwale trzymać programu pierwszego Wazy—różnowierstwo wytępić (1).

Nie obeszło się w historyografii i bez poglądów ultramontanizmowi przeciwnych: Adryan Krzyżanowski nieszczęścia wszystkie przypisuje jezuitom; Waleryan Krasiński i Józef Łukaszewicz zaród złego w upadku reformacyi dostrzegli. Ponad stanowisko polityczne i wyznaniowe wzniósł się „do najwyższych, jak sam zapewnia, sfer filozofii historyi powszechnéj" i poszukiwał praw, według których rządzi światem Opatrzność, urzędnik austryacki, Antoni Walewski. Rościł pretensyę do zreformowania nauki historyi polskiéj, usiłował nowe dla niéj otworzyć tory.

Od stworzenia człowieka zaczęła się walka, która wypełniła całą historyę starożytną, średniowieczną i nowożytną; dziś się toczy i po nas trwać będzie,—walka spirytualizmu (duchowości) z materyalizmem (ze zmysłowością, zwierzęcością), ducha z ciałem, rozdwojenia i opozycyi z dążeniem do zgody, protestacyi z powagą. W zapasach dwóch przeciwnych światów oryent, reprezentant materya-

(1) Piotr Skarga i jego wiek. Kraków, 1850—51. Zbigniew Oleśnicki. Kraków, 1853—1854.

lizmu, zawsze uległ w końcu okcydentowi, przedstawiającemu duchowość. Niewątpliwą jest przewaga spirytualizmu nad materyalizmem, dobra nad grzechem, stworzyła bowiem w tym celu Opatrzność kościół. iżby czuwał nad ludzkością moralnie i utworzyła dla niéj władzę polityczną cesarza. Gdy z upadkiem państwa rzymskiego władza cesarska runęła, kościół ją przywrócił, żeby z nią razem przewodnikiem był królów narodowych i książąt.

Wiek X w pierwszéj połowie był burzącym, niszczącym; w drugiéj okazał się twórczym: przywrócił cesarstwo, papieży otoczył powagą, ludy pogańskie z chrześciaństwem połączył. Te dwa przeciwne charaktery stulecia, w którym Polska, potrzebną się stawszy Opatrzności wyprowadzoną została przez nią z ukrycia, odbiły piętno swoje na przyszłości narodu. Już przy kolebce śpiewano mu o zburzeniach i rewolucyach; —wspomnienia młodości utkwiły w jego pamięci, stąd, jak wiek X, w całym pochodzie swoim bywał burzliwym, do zmian nagłych, nie zaś do wytrwania w jednym kierunku pochopnym. Tę zasadniczą właściwość Polski, oprócz czasu powstania, tłómaczą i warunki geograficzne—urodzenie się jéj w otoczeniu narodów pół-dzikich, pozbawionych najistotniejszych ustaw, do utrzymania ładu koniecznych. Musiała, nie mając przykładów, stać się sama dla siebie wzorem i improwizować ustawy. Ponieważ improwizowane, nie na tradycyi oparte, potęgą czasu niewzmocnione ustawy muszą być słabe; brała przeto w Polsce górę społeczna i polityczna niesforność, prowadziła naród do upadku, zwłaszcza, że bezpieczeństwa nie było i zewnątrz.

Że zawiązek Polski był monarchiczny—wątpić nie można; cały przebieg dziejowy przypada do miary takiego początku. Radosne okrzyki, jakimi witano bajecznego Kraka i Leszka, w XI, XIV, XVII i XVIII stuleciu rozlegały się nieraz. Chociaż zasadą Polski była monarchia, odzywało się w niéj przecież i ciało słowiańskie, skłonne do zbytecznéj wolności, nawet do równości, a zatém walczące nieustannie z duchem. Kiedy w zapasach takich duch słabnie, ciało musi zamierać i państwo upada. Skoro na widok groźnego niebezpieczeństwa zdobywa się duch na wysilenia, zwycięża chorobliwe skłonności ciała i przywraca mu zdrowie, — dźwiga się jednocześnie i państwo. Spadła Polska z wysokości, na jakiéj ją postawili: Mieczysław I i Chrobry, gdy za Ryksy pogańskiém łodoborstwem oderwała się od chrześciańskiéj rzeczypospolitéj,—podniósł ją przy pomocy benedyktynów Kazimierz Wskrzesiciel. Przeciwny był jedności chrześciańskiej podział Krzywoustego, gnuśniała téż Polska, żyła dla wojny domowéj, dopóki Łokietek dziedziczności władzy swojéj od wątpliwości nie zwolnił i nie otrzymał od papieża korony. Gdy syn jego

wielkie dzieło przywrócenia zasady dynastycznéj nadwyrężył, a siostrzan Kazimierza, Ludwik andegaweński, również nie miał potomka,—nie chciał naród pozostać bez rodziny panującéj i narzucił Jadwidze małżeństwo z Jagiełłą. Kiedy narodowi monarcha nierozważny, słaby Zygmunt August, dynastyę odebrał,— zdołała rzeczpospolita znaleść Jagiellończyka po kądzieli. Zygmunt III był restauratorem, plemię jego panowało bez przerwy i ocaliło Polskę od najazdu Karola Gustawa. Ratowała więc ciągle naród lojalność. Wtenczas dopiero, gdy mu zabrakło głównego warunku zdrowia — dynastyi dziedzicznéj; gdy nawet z ceremonialnym objawem lojalności zerwał i po skonie Jana III synów jego w elekcyi pominął, — musiał upadać.

„Więc przez cały żywot podczas niepodległości żył naród świetnie jedynie pod warunkiem i w miarę okazywanéj lojalności swoim królom. Rozbiory, które mu obcych królów nadały, nie zmieniły tego stosunku, opartego zdawna na jestestwie i duchu narodu polskiego. Król Polaków niepolskiego pochodzenia nie przestaje być królem polskim; Polakom najmniéj przystoi pytać swego monarchę o narodowość, skoro sami wybierali Francuza, Litwina, a potém wybierali znów Francuzów, Węgrów, Szwedów, Niemców, Moskwę, a nawet Prusak głosy elektorów za sobą miewał. Gdy naród powitał radosnymi okrzykami Pawła I, działo się dobrze Litwie i Rusi. Gdy otaczał lojalnością wskrzesiciela i jego następcę cesarza Mikołaja, był naród, mimo rozbiory, jeszcze znakomitym. A gdy zbiegiem błędów, przestępstw i wypadków osądziła mniejszość narodu lojalność dla Mikołaja I za bezpotrzebną, nastąpiły okropności. Znów się tulił do Aleksandra II i doznawał łask monarchicznych, ale gdy nowym buntem, najbrzydszym ze wszystkich poprzednich, odwrócił się od swego króla, ujrzał cmentarz w miejscu niedawno temu kwitnącego, między wszystkimi polskimi najszczęśliwszego kraju. Słowem, bez uszanowania króla był jedynie zbiorem barbarzyńców, jak przed Mieczysławem I; o téj epoce nic nie spomina historya, bo cóż powie o barbarzyńcach? W czasie ostatniego powstania wpadł znowu w barbaryę, a to najgłębszą barbaryę; historya pewnie o téj epoce niczego napisać nie zdoła.... Naród utracił byt polityczny, ale narodowy byt utrzymać mają powinność Polacy, a jedynie przez pracę, naukę i wierność dla kościoła utrzymać go mogą. A przecież niezbędnym warunkiem pracy, nauki i spełniania obowiązków wiary jest lojalność, jako podstawa domowego bezpieczeństwa i pomocy rządowéj. Wreszcie, Polacy nie zachowają narodowości, jeżeli jéj główną cechę postradają, a tą cechą, właściwością, przez którą się naród polski od wielu innych, mianowicie od

wschodnich różnił i różni, była lojalność, zasada, streszczająca całe dzieje narodu polskiego... Opozycya Polaków, nawet do anarchii prowadząca, nie zapominała nigdy o świętobliwości krwi bożego namazańca; Jan Zamojski, Maksymilian Fredro i tylu innych nie byli zdrajcami króla, jeno na sprawę publiczną fałszywie się zapatrywali. Ileż to namiętnych, rozognionych buntowników padało do nóg królów, błagając z płaczem i ze szczerym żalem o przebaczenie za obrazę majestatu? Zaprawdę, byliby szczęśliwymi królowie, gdyby narody, którym panują, miały wszystkie błędy, lecz oraz wszystkie dobre własności polskiego... Stąd doznawał i doznaje naród polski wiele względów od monarchów, nawet od tych, którzy mu krzywdę w wieku XVIII uczynili... Jeżeli Polacy będą, jak dotąd, po zgubnym roku 1863 wypełniali powinności wobec monarchów, pewnie nie zapomną monarchowie o prawach nietylko z jego własnéj winy pokrzywdzonego narodu. A lojalność przychodzi Polakowi tak łatwo, jak język, skoro stanowi cechę jego jestestwa i jego właściwości. Zatém sam patryotyzm polski domaga się lojalności; zerwanie z nią byłoby zerwaniem z przeszłością i z narodowością samą... Zerwanie z prawowitością byłoby dla narodu polskiego samobójstwem. Łącząc się z dzikim chórem europejskiéj rewolucyi, byłby tylko cyfrą dla rachunku liberałów; najprzód ich narzędziem, a potém ofiarą" (1).

IV.

Ruch naukowy, wywołany przez otwarcie w uniwersytetach katedr historyi i założenie Akademii umiejętności w Krakowie. Młode siły naukowe w Warszawie, we Lwowie i Krakowie. Praca dziejopisarska płodzi liczne monografie, zwraca się zaś głównie ku zbadaniu stosunków Polski wewnętrznych. Nowe światło rzucają na czasy przedhistoryczne: Wojciechowski, Sadowski, Sokołowski; na ustrój Polski pierwotnéj Piekosiński, Smolka, Bobrzyński, Małecki. Smolka ogarnia wiek XII, Hube modyfikuje pogląd Helcla na ustawodawstwo Kazimierza W. Dzieje parlamentaryzmu wyświeca Bobrzyński, stan skarbowości za Batorego Pawiński, czasy Stanisława Augusta Kalinka i Korzon.

Wszyscy historycy, od Naruszewicza począwszy, skończywszy na cynicznym Walewskim, przyczynę upadku Polski przypisują anarchii. Zgoda w skonstatowaniu tego faktu panuje zupełna, różnice

---

(1) Filozofia dziejów polskich i metoda ich badania. Kraków, 1875. Dumanie Polaka nad pięcioletniemi (1655—60) dziejami narodu i ich bezpośredniemi (roku 1661) wynikami (*Przegląd polski* z roku 1872, t. IV). Halucynacye Walewskiego ocenia Henryk Schmitt w książce: *Rozbiór krytyczny pomysłów historyozoficznych i odkryć dziejowych pana*... Lwów, 1875.

leżą w przedstawieniu przyczyn bezrządu. Naruszewicz z epigonami źródło anarchii znajduje w słabości rządu, będącéj następstwem zbytniego ograniczenia władzy królewskiéj. Lelewel z naśladowcami przypisuje bezrząd królom, magnatom i szlachcie, że pierwsi zaszczepiali przeciwne powołaniu narodu pierwiastki cudzoziemskie, ostatnia zaś nie chciała zrealizować ideału równości powszechnéj i wolności. Wróblewski zwala odpowiedzialność na królów i magnatów, że nie rezygnowali ze swych pretensyi na rzecz wszechwładztwa szlachty. Hoffman ma żal do szlachty, że się nie chciała władzą podzielić z narodem lub królem. Dzieduszycki widzi źródło anarchii w sprzeniewierzeniu się katolicyzmowi, Krasiński i Łukaszewicz w klęsce reformacyi, Krzyżanowski w gospodarce jezuitów, Walewski w upadku lojalności. Teorye upadku rzeczypospolitéj snuli pisarze z wyznawanych przez siebie doktryn, jakie płodził duch czasu. Posiadał każdy model polityczny, według którego pragnął ukształtować odbudowywaną w marzeniach czy w czynnych porywach Polskę; nie poprzestając na aspiracyach, skierowanych ku celom praktycznym, skalą ideału swego mierzył jednocześnie i przeszłość. Historyę bowiem pojmowano jako mistrzynią życia, zawsze poczytywano przeszłość za arsenał ku zaopatrzeniu w dogodny do walki o chwilę bieżącą oręż. W miarę komplikowania się stosunków życiowych mnożyła się i liczba ideałów politycznych, uwydatniała się téż niejednozgodność w poglądzie na przeszłość. Wyparci z kraju uczestnicy wypadków r. 1831 dużo w stosunkach zachodnich do ściślejszego zdefiniowania swych doktryn znaleźli podniet.

Nie każda przecież doktryna jednakową znalazła liczbę wyznawców, nie każda w zastosowaniu do historyi stworzyła szkołę. Idea monarchiczna miała na emigracyi zorganizowane, grupujące się około Adama Czartoryskiego stronnictwo; znajdowała uzasadnienie w czasopismach (*Kronika emigracyi polskiéj*, 1834—39. *Trzeci Maj*, 1839—1848) i w założoném w Paryżu Towarzystwie historyczno-literackiém, a przez takich popierana była w nauce rzeczników, jak pokrewny Hoffmanowi Waleryan Kalinka i Karol Sienkiewicz; jezuitom i legitymistom brakło gruntu trwalszego, — teorya Dzieduszyckiego niewielu, Walewskiego prozelitów w nauce nie wytworzyła wcale. Najpopularniejszą była doktryna Lelewelowska, zwłaszcza wzmodyfikowanéj postaci, którą w *Słowie dziejów Polski* wyraził Wróblewski. Opiewana przez poetów, propagowana przez publicystów, stała się niemal pacierzem opinii, a tém większéj nabrała mocy, że rzeczników znachodziła w filozofii i w nauce prawa. Maciejowski w badaniach nad historyą prawodawstw, odkrywając u Słowian starożyt-

nych „wiele mądrego i do nowszych nawet czasów przydatnego wątku“, teoryi Lelewelowskiéj o doskonałości praojców nowy, panslawistyczny nadał zakrój. Myśliciele, jak Trentowski i Tyszyński, widzieli w Słowianach powołanie do stworzenia filozoficznéj syntezy ze skrajnych romanizmu i germanizmu kierunków.

Powiódł za sobą Lelewel tłumy, chociaż pod względem metody badania i formy adepci jego miary są różnéj,— niektórzy ze współcześników, jak Szajnocha, który przyswoił sobie technikę Macaulaya i Thierry'ego, Morawski, moralizowaniem w sześciotomowych *Dziejach narodu polskiego* (1870—72) przypominający Szlossera, stanowiska zajęli odrębne. Dla braku w kraju katedry historyi polskiéj okazała się trudność wykształcenia zastępu pracowników, rozporządzających jednolitymi w badaniu środkami i mających ściśle określony cel pracy,—niemożliwem było powstanie szkoły we właściwem tego słowa znaczeniu. Rekrutowali się uprawiacze dziejów przeważnie z autodydaktów; przyswajali sobie chaotyczność mistrza i lekceważenie konstrukcyi, nie wynagradzając wadliwości niezaprzeczonemi zaletami jego, jak intuicya w dociekaniu i lotność. Oprócz ogarniających całość dziejów, jak Moraczewski, Schmitt i Wróblewski, większość, nie wyjmując Maciejowskiego i Wiszniewskiego, stanowiła antykwaryuszów, skrzętnie gromadzących dawnych czasów pamiątki bez systematu i wątku. We Lwowie grupowali się około *Biblioteki naukowego zakładu imienia Ossolińskich*, redagowanéj (od r. 1828) przez Siarczyńskiego, Słotwińskiego, Kłodzińskiego i Pola, a od r. 1862 przez Augusta Bielowskiego; w Krakowie około *Rocznika Towarzystwa naukowego* (1817 — 71), w zaborze pruskim około *Roczników Towarzystwa przyjaciół nauk poznańskiego* (1860 — 69), w Warszawie około *Biblioteki warszawskiéj* (od r. 1841),— większość ze wszystkich stron Polski jednoczyła się przez czas pewien około 28 tomowéj *Encyklopedyi powszechnéj* Orgelbranda (1859—68). Niezaprzeczone przez skrzętność w poszukiwaniach położyli dla nauki zasługi: Baliński Michał z Lipińskim jako badacze geografii dawnéj Polski, Jaroszewicz, Kraszewski i Stadnicki Kazimierz przez śledzenie dziejów litewskich, Kozłowski Mazowsza, Mecherzyński i Wejnert organizacyi miast, Łukaszewicz historyi dysydentów, Sobieszczański i Rastawiecki sztuk pięknych, Przeździecki Aleksander, Baliński Karol i dwaj Gołębiowscy czasów jagiellońskich, Romanowski stosunków kościelnych, Wegner ostatnich lat rzeczypospolitéj, Jocher jako bibliograf. Różnych momentów przeszłości dotykał niesłychanéj pracowitości, źródłowy, a nienajgorszy w konstrukcyi Bartoszewicz, celujący głównie jako biograf.

Zebrali epigonowie Lelewela ogrom materyału w monografiach, nie zaniedbali i wydawnictwa źródeł. Grabowski Ambroży, Wójcicki, Wiszniewski, Raczyński Edward, Kraszewski, Bartoszewicz, Balińscy Michał i Karol, Przeździecki, Nowakowski, Broel Plater, Koźmian Andrzej Edward, ks. Sadok Barącz, Szczęsny Morawski, Mosbach, Jarochowski, Żegota Pauli, Przyłęcki, Tyszkiewicz Eustachy, Batowski, Podgórski August, Piotrowski Eligi—ogłaszali przeważnie do ostatnich wieków rzeczypospolitéj pamiętniki, listy, akta, rachunki, dyaryusze itp. Czynili to przygodnie, niesystematycznie i niedość umiejętnie; niektórzy, jak Raczyński Edward, opuszczali z tekstu pomników nielicujące z ich przekonaniami ustępy. Dalecy byli od wykonania programu, nakreślonego przez Kołłątaja w r. 1802; gdyby nawet dopisywały niezbędne do takiéj pracy wiadomości techniczne, dla uskutecznienia jéj brakło im organizacyi, która wyjść mogła tylko z instytucyi naukowéj; brak było i środków. Z powodu małéj zasobności Towarzystwa naukowego krakowskiego i Towarzystwa przyjaciół nauk poznańskiego (założonego zresztą dopiero w r. 1859), chwytały za sztandar nauki jednostki, usiłujące dla dziejów Polski dokonać, co robiły za granicą uniwersytety i akademie, popierane przez rządy. Raczyński Edward ogłasza *Codex diplomaticus Majoris Poloniae* (1840) i *Codex diplomaticus Lithuaniae* (1845); Muczkowski, Rzyszczewski i Bartoszewicz *Codex diplomaticus Poloniae* (1847—58); Działyński Tytus *Acta Tomiciana* (1852—60), *Lites ac res gestae inter Polonos, Ordinemque Cruciferorum* (1855—56) i *Źródłopisma do dziejów unii* (1856); Hube *Antiquissimae constitutiones synodales provinciae gnesnensis* (1856), Helcel *Starodawne prawa polskiego pomniki* (1856, 1870), Krupowicz *Zbiór dyplomatów do dziejów Litwy* (1858), Daniłowicz *Skarbiec dyplomatów* (1860—62), Lubomirski *Kodeks dyplomatyczny księstwa mazowieckiego* (1863), wreszcie Bielowski *Monumenta Poloniae historica* (1864). Przysparzali materyału i cudzoziemcy: Stenzel, Grünhagen, Hirsch, Toeppen i Strehlke, Frantzen, Voelky, Voigt, Perlbach, Bunge, Hasselbach i Kosegarten—wydawcy kronik i dyplomataryuszów do dziejów Śląska, Prus, Warmii, Inflant, Kurlandyi, Pomorza; dopomogli nauce naszéj i autorowie opracowań: Roepell, Ferrand, Smitt, Raumer i Janssen.

Nowy impuls nauce dziejów dało otwarcie Szkoły głównéj warszawskiéj (1862), ufundowanie katedry historyi polskiéj w uniwersytecie jagiellońskim (1869) i lwowskim (1882); najdonioślejsze zaś miało znaczenie przekształcenie w r. 1872 Towarzystwa naukowego krakowskiego na Akademię umiejętności. Instytucya ta, skupiwszy około siebie siły, wyrobione w uniwersytetach niemieckich, dzięki energii sekretarza a zarazem profesora na katedrze historyi polskiéj,

Szujskiego, w krótkim stosunkowo czasie wielkich na polu wydawnictwa materyałów potrafiła dokonać rzeczy. I. *Pomniki dziejowe wieków średnich* (*Monumenta medii aevi*) zawierają: kodeks dyplomatyczny katedry krakowskiéj św. Wacława, kodeks listów z XV stulecia, kodeks dyplomatyczny małopolski, najstarsze księgi i rachunki miasta Krakowa, kodeks dyplomatyczny miasta Krakowa, *Codex pistolaris Vitoldi*. II. *Pisarze dziejów polskich* (*Scriptores rerum polonicarum*): dyaryusze sejmów koronnych r. 1548, 1553 i 1570, kroniki Bernarda Wapowskiego część ostatnią, Stefana Franciszka z Prószcza Medekszy księgę pamiętniczą, listy Zbaraskiego, Wielewickiego dziennik spraw domu zakonnego OO. jezuitów. III. Objęte po Helclu *Starodawne prawa polskiego pomniki:* statut Taszyckiego (1532 r.), dzieła statystów z XV wieku, *Acta expeditionum bellicalium* (1497 i 1498). materyały do historyi procesu sądowego itp. Oprócz powyższych ogłosiła Akademia: IV. *Monumenta comitiorum Regni Poloniae* (dyaryusze sejmów warszawskich z r. 1672, 1673, 1674), V. *Acta Poloniae historica*, VI. *Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce*, VII. *Sprawozdania komisyi do badania historyi sztuki w Polsce*, VIII. *Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń wydziału historyczno-filozoficznego*; wzięła też na siebie i nakład dalszych tomów Bielowskiego *Pomników* w opracowaniu uczonych lwowskich. Najżywszą około wielkich wydawnictw czynność rozwinęli: Piekosiński, Bobrzyński, Zakrzewski, Smolka, Prochaska, Szujski, Waliszewski, Kluczycki, Wisłocki. We Lwowie profesor Liske ogłasza z fundacyi Stadnickiego *Akta grodzkie i ziemskie z czasów rzeczypospolitéj polskiéj z archiwum tak zwanego bernardyńskiego*, Hirschberg *Zbiór pamiętników do historyi powstania polskiego r. 1830—31*. W Poznaniu staraniem Towarzystwa przyjaciół nauk wyszedł *Codex diplomaticus Majoris Poloniae*, w opracowaniu ks. Korytkowskiego *Liber beneficiorum archidyecezyi gnieźnieńskiéj*, nakładem Żupańskiego *Pamiętniki z XVIII wieku*, *Historya powstania listopadowego* Barzykowskiego itp. W Warszawie nakładem biblioteki ordynacyi Krasińskich *Muzeum Konstantego Świdzińskiego*, zabiegami Pawińskiego i Jabłonowskiego kilkanaście tomów *Źródeł dziejowych* i *Pamiętniki* Matuszewicza, staraniem Lubomirskiego *Zapiski ziemi czerskiéj*, Wierzbowskiego: *Krzysztofa Warszewickiego niewydane pisma* i *Uchańsciana*. Krzątają się we Włocławku nad publikacyą uchwał synodów polskich bracia Chodyńscy, Parczewski z Kalisza rozpoczął na własną rękę wydawnictwo *Analectów wielkopolskich*. W celu nadania wydawnictwom jednolitości pod względem metody, napisał Wincenty Zakrzewski dla dokumentów z wieku XVI instrukcyę; Akademia umiejętności wysyła uczonych dla poszukiwań archiwalnych za granicę i rezultaty ogłasza drukiem; dla oryentowa-

nia się w dotychczasowym dorobku piśmiennym narodu podjęła nakład pomnikowéj *Bibliografii* Estrejchera i *Katalogu rękopisów biblioteki uniwersytetu jagiellońskiego*, który sporządził Wisłocki. Kętrzyński ogłasza *Katalog rękopisów biblioteki zakładu narodowego imienia Ossolińskich*, a Kurzmann z Sosnowskim księgozbioru Raczyńskich w Poznaniu, Estrejcher wydał *Zestawienie przedmiotów zawartych w 136 tomach Biblioteki Warszawskiéj*, Polkowski *Skorowidz do Pamiętnika religijno-moralnego*, wydawanego w Warszawie od r. 1841 do 1862; redakcye: *Tygodnika illustrowanego i Kłosów* spis artykułów swoich wydawnictw.

Tak obfitemu gromadzeniu materyału historycznego towarzyszyła przemiana pojęć, wywołana po wstrząśnieniu r. 1863 przez względy lokalne, a regulowana wpływem nauki zachodniéj. Przemiana owa dotyczyła zarówno ideałów społecznych, jak i poglądów filozoficznych, zaznaczyła ją zaś około r. 1866 młodzież, kształcąca się w Szkole głównéj warszawskiéj. W miejsce filozoficznego idealizmu Kremera, Libelta i Cieszkowskiego przyswajała sobie—prawda, że nie z pierwszéj ręki—poglądy Comte'a, Taine'a i teoryę Darwina; zrywała z ciasnotą katolicyzmu i szlachetczyzny, sztandar wolnomyślności i demokratyzmu podnosząc wysoko. W miejsce praktykowanych dotychczas porywów, w których ojcowie tyle bezskutecznie stargali sił, stawiała program pracy organicznéj; propagowała swobodę badania naukowego, wojnę wypowiedziała powagom. Na nieszczęście, z wyjątkiem lektorów: Przyborowskiego i Kwiet'a († 1865), którzy przez stosowanie metody umiejętnéj do językoznawstwa budowali w słuchaczach zapał i takich wykształcili uczniów, jak Baudoin de Courtenay, Malinowski i Kryński, profesorowie wydziału filologicznego Szkoły głównéj wobec budzących się śród młodzieży kierunków pozycyę zajęli obojętną lub wrogą. Z filozofów i historyków jedni nie dorośli do wysokości katedr, drudzy gasili zapał wstecznictwem. Wykształcony w uniwersytetach niemieckich Plebański żadnego zgoła nie wywarł wpływu,—jedna, o ile wiemy, wyszła z jego seminaryum historycznego rozprawka Goldberga (1). Słuchał wykładów jego Ernest Sulimczyk Swieżawski, ten przecież najsłabsze chyba odziedziczył po mistrzu strony, pomijając bowiem ekscentryczność poglądów, pod względem metodycznym stanowi wraz z Zygmuntem Komarnickim w rozwoju chaotyczności epigonów Lelewela etap ostatni. Następcy Plebańskiego, prof. Pawińskiemu, nie szczęści się również,—uzdolniony wydawca źródeł, Teodor Wierzbowski, uczniem jego jedynym. Większą liczbę pracowników wykształcił

(1) *Zwanzig Jahre aus der Regierung Sigismund's*, I. Lipsk, 1870.

fakultet prawny; jurystą jest Kraushar, Parczewski, Rembowski i autor *Dawnego mazowieckiego prawa* (1880), Dunin. Zresztą warunki w jakich się znajduje Warszawa, żadnéj pracy naukowéj w ogóle, a w szczególności badaniu przeszłości sprzyjać nie mogą.

W szczęśliwszém się znalazła położeniu młodzież wszechnicy lwowskiéj. Powołany został w r. 1869 do Lwowa przez Wydział krajowy galicyjski do wydawania aktów grodzkich i ziemskich młody wychowaniec uniwersytetów niemieckich, uczeń sławnego paleografa berlińskiego Jaffé'go, Ksawery Liske. Mianowany w r. 1871 profesorem nadzwyczajnym historyi, w uorganizowaném przez siebie seminaryum żywą a płodną rozwinął czynność. Pełen zapału dla nauki, a życzliwie usposobiony dla żądnéj wiedzy młodzieży, w seminaryum swojém w krótkim stosunkowo czasie mnóstwo różnego uzdolnienia wykształcił fachowców. Stanowi to szczególną, a dodatnią cechę Liskego, że nie gardzi umysłami słabszymi, że, rodzaj i zakres zajęć uczniów stosując do ich zdolności, każdy stopień inteligencyi umie dla nauki wyzyskać. Ograniczają się słabsi na umiejętności czytania i robienia kwerend, na układaniu itinerariów lub regestrowania dyplomatów; lotniejsi uprawiają subtelną analizę pomników, wnikają w treść rzeczy, dochodzą do uogólnień i wniosków. Badania swoje zamykają uczniowie Liskego w zakresach szczupłych,. prowadzą je zaś drobiazgowo, z pedantyzmem niemieckim. Unikanie widoków rozleglejszych, niezawsze usprawiedliwiona donioslością przedmiotu drobiazgowość w badaniu pozbawia ich prace żywotności, a czyni je często oschłemi. Robią one wrażenie takie, jakby autorom chodziło bardziéj o erudycyę, niż o rzecz samą; więcéj o zamanifestowanie uzdolnienia technicznego, niż o zgruntowanie przedmiotu. Szczupłość zakresu badań ogranicza rozległość poglądu i z konieczności powstrzymuje autorów od rewolucyjnych w dziedzinie historyozofii zawichrzeń. Cieszą się téż młodzi uczeni lwowscy opinią prawomyślności,—o ile wiemy, pod zarzutem istotnéj czy wrzekoméj tendencyjności nie stanął z nich żaden. Bądź co bądź, pod względem ilościowym i jakościowym zastęp uczniów Liskego budzi zdumienie: Smolka, Hirschberg, Lucas, Maurer, Papée, Balzer, Czermak, Finkel, Prochaska, Kwiatkowski, Lorkiewicz, Semkowicz, Kalitowski, Błażowski, Bostel, Górski—to tylko główniejsi. Smolka zajął po Szujskim katedrę dziejów polskich w Krakowie, Semkowicz i Finkel są docentami historyi powszechnéj we Lwowie. Największemi się zdolnościami odznaczał zmarły przedwcześnie (1882 r.) „genialny“, według słów mistrza, Stanisław Lucas, po którym nabyła biblioteka Ossolińskich 44 tomy odnoszących się do wieku XVII wypisów z archiwów: ministeryum spraw zagranicznych w Paryżu i ksią-

żąt orleańskich w Chantilly. Tak zwane „teki Lucasa“ wyzyskuje obecnie Kubala i Czermak.

Słabą była działalność pedagogiczna Szujskiego: obiecujący Mikrot umarł przedwcześnie, pozostali: Sutowicz, Kisielewski i Leniek. Seminaryum Bobrzyńskiego wydało zdolnego historyka—prawnika, Ulanowskiego; ze szkoły Smolki wyszedł Stefczyk i Grossé.

Ilościowa przecież produkcyjność młodszych wychowańców seminaryów jest słabą; niektórzy w szczupłych rozprawkach szkolnych lub przez współudział przy wydawnictwie trzeciego tomu *Monumentów* Bielowskiego ujawnili jedynie uzdolnienie do badań. Nagromadzony przez szkołę Lelewelowską, a w czasach ostatnich przez instytucye naukowe i siły prywatne materyał zużytkowywali w monografiach, oprócz wymienionych wyżéj wydawców, przeważnie uczeni starsi: we Lwowie Małecki, Wojciechowski, Szaraniewicz, Hirschberg i dwaj naśladowcy Szajnochy: Kalicki i Kubala; w Krakowie Kalinka, Zakrzewski, Lewicki, August i Maryan Sokołowscy, Sadowski; w Poznaniu Jarochowski i Kantecki, w Warszawie Hube, Łaguna i Korzon. Dotknęli wszystkich niemal stron przeszłości, niezaniedbując krytycznego zbadania źródeł. Zainaugurowana przez Zeissberga (1) analiza pomników piśmiennych średniowiecznych zajęła najlepsze siły uczonych lwowskich: skryptor biblioteki uniwersyteckiéj, obecnie profesor na katedrze historyi, Tadeusz Wojciechowski ocenił roczniki polskie X—XV wieku: Semkowicz rozebrał Długosza, Lucas podługoszową część kroniki Wapowskiego, Hirschberg dzieła Justa Ludwika Decyusza, Finkel Kromera.

Najpilniejszą stosunkowo obudziły uwagę i najdzielniejsze pociągnęły ku sobie siły czasy Słowiańszczyzny i Polski pierwotnéj. W badaniu czasów przedhistorycznych najwalniejsze położyli zasługi: Wojciechowski, Sadowski i Maryan Sokołowski; w dociekaniach nad organizacyą Polski Chrobrowéj Małecki, Piekosiński, Bobrzyński i Smolka.

Że „główne błędy, które najmocniéj wstrzymywały postęp badań starożytności, nie pochodzą tyle z braku wiadomości lub sumienności krytycznéj, ile z braku właściwéj metody,“—rozwinął i spożytkował Wojciechowski zapomniany Jana Potockiego sposób śledzenia odwrotny, a to dla rozwiązania kwestyi: „czy i jak daleko wstecz można dowieść jedności etnograficznéj dzisiejszych mieszkańców Chrobacyi z innymi narodami, o których mamy wiadomość, że dawniéj mieszkały w tym kraju.“ Za podstawę badania wziął fakty lingwistyczne, tj. znalezione w spisie urzędowym z r. 1676 nazwy miej-

(1) Dziejopisarstwo polskie wieków średnich. Warszawa, 1877.

scowości: przez wydobycie z każdéj dziejów pojedynczéj osady zamierzył osiągnąć historyę pierwotną całego kraju. Każda grupa nazw miejscowych wyraża pewien wypadek dziejowy, mianowicie sposób zajęcia ziemi. Grup takich znalazł Wojciechowski pięć. Pierwszą stanowią nazwy miejscowe, oznaczające jakąś właściwość topo- lub geograficzną, np. wysokie, zagórze; wyrażające pracę ludzką: poręba, rudka; mieszkańców, określając ich nie imieniem osobowem, lecz topograficznem: morawiany, dębiany. Do drugiéj grupy należą nazwy, zakończone sposobem patronymicznym na *ice*: krzesławice, myślenice; do trzeciéj oznaczające własność osobistą bez względu na to, czy przedmiotem posiadania była ziemia czy ludzie: dalechów, dalechowy; do czwartéj nazwy ludzi, zajętych jakąś służbą gospodarczą lub przemysłową: kuchary, skotniki; do piątéj nazwy, które są również imionami osobowemi, ale nie wyrażają związku rodzinnego, ani stosunku służbowego, lecz wymieniają wprost mieszkańców miejscowych z imienia lub przezwiska: kruki, facimiechy. Na podstawie dokumentów z XII i XIII wieku autor dowodzi istnienia wsi szlacheckich i zakończonych patronymicznie osad chłopskich książęcych. Nazwa osady odpowiadała na pytanie: kto tam mieszka? (krzesławice, myślenice); nazwa wsi na pytanie: czyja? (pomianowa), albo czyj dwór? (zębocin). Aż do połowy wieku XIII żaden szlachcic nie posiadał w swoim majątku ziemi, mającéj nazwę patronymiczną, t. j. nie władał chłopską osadą. Oprócz osad i wsi istniały kolonie służebne, wojskowe i przysiołki, odpowiadające grupom nazw: pierwszéj, czwartéj i piątéj. Nazwy osad chłopskich są dawniejsze, niż wsi i przysiołków; tamtych więcéj było pierwotnie, niż drugich. Osadnictwo, wyrażone nazwami patronymicznemi, było najstarszém i zupełnie odrębném od czterech innych kierunków, a mianowicie od wsi szlacheckich. Przez porównanie ze stosunkami Słowiańszczyzny zachodniéj przychodzi Wojciechowski do wniosku, że najstarsza forma osiedlenia się przypada na stulecie II, a w V wieku poczęła się wytwarzać własność szlachecka. A więc już w czasach Ptolomeusza Słowianie niezaprzeczenie mieszkali nad Wisłą (1).

Gdy Wojciechowski udowodnia autochtonizm, podaje dzieje osadnictwa i kreśli w ogólnych zarysach ustrój społeczny Słowian,— Jan Nep. Sadowski w dziele: *Drogi handlowe greckie i rzymskie przez porzecza Odry, Wisły, Dniepru i Niemna do wybrzeży morza baltyckiego* przedstawia stosunki praojców w czasach przedhistorycznych z ucywilizowanymi narodami południa. Za podstawę wykazania arteryi handlowych ludów południowych ku Baltykowi przyjmuje: 1) do-

(1) Chrobacya. Kraków, 1873.

stępność drogi ze względu na fizyograficzne własności gruntu; 2) odkrycie na niéj zabytków; 3) zgodność kierunku drogi ze świadectwami pisarzy starożytnych; 4) zbieg warunków ekonomiczno-handlowych, od których zależy wybór kierunku. Opisawszy suche przesmyki między moczarami i obejścia puszcz, zakreśla autor drogi, któremi kupcy przez Czechy, od Moraw i ze strony zachodniéj nad Wartę i ku ujściu Wisły, a ze wschodu Dnieprem, Prypecią, Jasiołdą, Szczarą i Niemnem przybywali nad Narew po bursztyn. Maryan Sokołowski spostrzeżenia nad budownictwem w czasach przedchrześciańskich przedstawił w rozprawie: *Ruiny na ostrowie jeziora Lednicy*, a doszedł do wniosku, że pogańscy praojcowie nie znali sztuki wiązania mocnych i systematycznych murów; że nawet w X i XI wieku nie było u nas budynków świeckich kamiennych. Dopiero w XII wieku mogły się pojawiać co najwięcéj mury wokoło grodów, w XIII wieże, a w miejscowościach wyjątkowych zamki; w XIV zaledwie stuleciu jednocześnie z silniejszym, społecznym i politycznym rozwojem zaczęło się budownictwo drewniane powszechniéj na kamienne zamieniać. Sadowski i Sokolowski pierwsi usiłowali zużytkować umiejętnie materyał archeologiczny, w którego gromadzeniu niepoślednie położyli zasługi: Przyborowski Józef, Kopernicki, Ossowski, Zawisza, Kirkor i inni.

Ustrój wewnętrzny Polski pierwotnéj wywołał z powodu szczupłości odnośnych źródeł tyle przeczących sobie hipotez, że, ze względu na małe prawdopodobieństwo odkrycia materyałów obfitszych, do ujednostajnienia poglądu chyba nie przyjdzie. Czy Polska, jako państwo, powstała przez najazd, czy skutkiem działania przyczyn wewnętrznych, lokalnych; czy w pierwotnym ustroju przeważającą była własność osobista, czy téż tylko istniała wspólna,— są to pytania zasadnicze, których nie zdołano pozytywnie rozwiązać. Kwestya natury własności taką samą w najnowszych badaniach stanowi zagadkę, jak i sprawa powstania państwa. Nawet niepodnoszona od czasów Szajnochy teorya najazdu nowego znalazła rzecznika w osobie Franciszka Piekosińskiego, autora rozprawy *O powstaniu społeczeństwa polskiego w wiekach średnich i jego pierwotnym ustroju.* Wśród dzierżaw słowiańskiego świata,— powiada — na obszarach pomiędzy Odrą, Wartą, Notecią i Wisłą mieszkał w ósmem stuleciu szczep lechicki, oddany rolnictwu, pasterstwu, pszczelnictwu, łowiectwu i rybołóstwu. Dzielił się na dwie klasy społeczne: jedna, oddana głównie uprawie roli, żyła w osadach zbiorowych; druga zakładała sadyby na większych obszarach, osobno. Osady pierwszéj nosiły nazwę od założyciela i protoplasty rodu, np. od Bolecha-Bolechowice, od Sulecha-Sulechowice; sadyby drugiéj brały nazwę również

od właściciela, lecz przymiotnikową, np. od Bolecha-Bolechowa. od Sulecha-Sulechowa. Ludność klas obu osobiście wolną była; zajęte przez siebie ziemie posiadała na własność. Prawdopodobnie pod koniec wieku ósmego pomiędzy Odrą i Wartą zjawia się obca drużyna wojenna, która śród autochtonicznéj ludności olbrzymi zrobiła przewrót. U ujścia Łaby przez długie wieki mieszkał inny szczep lechicki, który od sąsiednich Normandów przejął rycerskość i skandynawską kulturę; on to, party orężem sąsiednich Sasów, czy wyprawami Karola W., siedziby swoje musiał opuścić i wyruszył na wschód. Pod wodzą najdzielniejszych z książąt—Popielów, przekroczył Odrę, osiadł nad brzegami Warty w okolicach Poznania i Gniezna, a ludność miejscową ujarzmił. Liczebnie słabszy, nie rozpraszał się szczep ten po kraju, lecz dźwigał grody i w nich osadzał rycerstwo; część autochtonów, mianowicie ową ludność, w osobnych mieszkającą sadybach, wcielał do swoich drużyn; drugą pod grodami lokował, to kazał jéj różne ku wyżywieniu załóg rycerskich i dworu książęcego wypełniać służby. Skutkiem zaboru, wódz naczelny przybyszów stał się wyłącznym właścicielem podbitych obszarów i panem wszystkiéj ludności. Autochtonowie zamienieni zostali przez zwycięzców na ludność niewolną, przeszli pod wyłączną dyspozycyę zaborcy. Zwycięzcy przez nieustanne wyprawy ciągle rozszerzali granice swoich nabytków; Bolesław Chrobry, książę z dynastyi Piastów, która miejsce Popielów zajęła, zaborczość do najwyższego posunął stopnia. Powstałe w ten sposób państwo potężne stało się przytułkiem dla gnębionych przez Niemców Słowian z pomiędzy Odry i Łaby, dla licznych książątek, wyzutych z siedzib, dla tułających się wreszcie normandzkich konungów. I uformowały się w dobie Bolesława Chrobrego trzy grupy społeczne: 1) klasa poddańcza czyli niewolna z autochtonów, z jeńców wojennych, osadzonych na roli, z włościan obcokrajowych i z niewolników złożona; 2) klasa rycerstwa pospolitego, czyli szeregowego z przybyszów z nad Łaby i z przedniejszych (owych właścicieli sadyb osobnych) autochtonów powstała; 3) klasa rycerstwa przedniejszego czyli znakowego, pochodząca od udzielnych niegdyś książątek, którzy pod wodzą Popielów przybyli nad Wartę i Wisłę lub od owych rycerzów, którzy na dworze Piastów szukali gościny. Pierwsza grupa siedziała na roli i składała na rzecz księcia daniny; druga, jako jednolita drużyna rycerska, stanowiła obronę monarchii; z trzeciéj rekrutowali się dowódzcy pospolitego rycerstwa, naczelnicy prowincyi i grodów. Sądownictwo nad klasą poddańczą pełnili komesowie grodowi i prowincyonalni lub ich zastępcy; nad rycerstwem szeregowem ciż sami zastępcy lub dowódzcy wojenni; nad rycerstwem znakowem, przebywającém stale

na dworze, jurysdykcyę pełnił monarcha. Tylko klasa poddańcza, jako wyłącznie pracująca na roli, obowiązaną była do służb książęcych i danin; wolne było od nich nieposiadające ziemi rycerstwo szeregowe, na którém ciążyła jedynie wojskowość.

Władza książęca, chociaż z dowództwa wojennego wynikła, faktycznie od samego początku ograniczoną była przez rody udzielnych niegdyś i równych Popielom a Piastom książątek. Bez ich rady nic nie przedsiębrał taki nawet monarcha, jak Chrobry; potęga tych rodów, przebywających stale na dworze i pełniących różne urzędy, była tém większą, że całe rycerstwo szeregowe składało się z potomków ich dawnych poddanych; że ścisły istniał związek moralny pomiędzy rycerstwem i jego różnych stopni wodzami. Buntowali się nieraz potomkowie drobnych książątek, rozbić nawet pragnęli z mozołem dźwignięte państwo i dopiero Bolesław Krzywousty złemu zaradził. Zrozumiawszy niebezpieczeństwo, rycerstwo znakowe z dworu usunął, obozowiska szeregowego zwinął. Tamtemu i temu w różnych prowincyach znaczne lecz puste nadawał obszary ziemi, przez co potężny dotychczas żywioł rozproszył i znakomicie osłabił. Z powodu nieograniczonéj podzielności majątków pomiędzy potomstwo, rycerstwo szeregowe do zupełnego doszło ubóstwa i charakter pierwotny straciło. Zniknęło wkońcu, miejsce zaś jego zajęło rozmnożone rycerstwo znakowe, będące jedynym od tego czasu reprezentantem siły zbrojnéj w narodzie. Nie zmodyfikowały przecież przemiany takie podziału pierwotnego społeczeństwa na grupy. Mamy w XIII wieku: 1) pochodzącą z rycerstwa znakowego uprzywilejowaną szlachtę herbową; 2) z rycerstwa szeregowego powstałych uprawnionych ściercałków i władyków; 3) prawnie ograniczoną klasę poddańczą. Podstawą tego podziału nie własność ziemska, lecz był stopień posiadanego rycerstwa, o którym znowu stanowiła rodowość.

Hipoteza Piekosińskiego wywołała *Uwagi o pierwotnym ustroju społecznym Polski piastowskiéj* Smolki, który się stanowczo przeciwko najazdowi oświadcza. „Znamy—powiada— z historyi rozmaite typy państw, powstałych z najazdu... ale niema przykładu, żeby państwo powstało kiedykolwiek z najazdu szczepu współplemiennego,—wszędzie najeźdzcy reprezentują pierwiastek plemienny, od ujarzmionéj ludności odrębny. Z tego powodu hipoteza Szajnochy, jakkolwiek z gruntu nieuzasadniona, ma znacznie więcéj wewnętrznego prawdopodobieństwa, niż pomysły Piekosińskiego.“ Według Smolki, dla wyjaśnienia genezy państwa polskiego użyć wypada analogli z resztą Słowiańszczyzny, w któréj dziejach (z wyjątkiem państwa bułgarskiego i ruskiego) organizacya państwowa objawia się w jednym,

znanym dobrze i charakterystycznym typie. „Wszędzie — powiada autor—spotykamy się z tém samém zjawiskiem, że szczepy słowiańskie, rozdrobnione na większą lub mniejszą liczbę małych plemion, wydobywają się z nicości przeddziejowego bytu za sprawą przedsiębiorczych dynastów plemiennych, którzy wszystkie plemiona całego szczepu, albo przynajmniéj część ich znaczną, zagarniają pod swoje panowanie, rozciągając hegemonię nad dawnymi sąsiadami swoimi, t. j. innymi dynastami, lub strącając ich na stanowisko przedniejszéj tylko warstwy społecznéj w nowéj organizacyi państwowéj. Stwierdza się to w dziejach wszystkich szczepów słowiańskich, z wyjątkiem Rusi i Bulgarszczyzny, z wyjątkiem również tych plemion, które nie doczekały się takiéj genezy organizacyi państwowéj i zmarniały w przedwiekowém rozdrobnieniu, nie wytworzywszy w karbach silniejszego ustroju państwowego odrębnéj indywidualności narodowéj. Najbliższy nam przykład podaje historya w genezie dwóch sąsiednich państw słowiańskich, z których jedno przemknęło się tylko przelotnie na widnokręgu dziejów, drugie zaś wieki całe przetrwało: w państwie morawskiém i początkowych dziejach czeskich.“ Na takiéj analogii oparty, Smolka dowodzi, że obszar Polski przed utworzeniem się państwa zamieszkiwały drobne, odrębnie żyjące, ale pokrewne plemiona; że panujący u Polan nad Wartą Piastowie: Ziemowit, Leszek, Ziemomysł i Mieszko przez podbój szczepów sąsiednich dali początek monarchii. Z potomków podbitych dynastów pochodzi szlachta rodowa, o któréj wyraźnie wspomina Gallus,— wyższy wyczyn ludności wolnéj, dziedzice niewielkich obszarów, stanowiący typ w budowie społecznéj plemion lechickich. Genezę państwa polskiego przez analogię z Czechami przedstawił Smolka poprzednio w rozprawce: *Niepoprawny ród*; sam zaś układ społeczny odtwarza w ten sposób. „Nieliczna szlachta rodowa, pochodząca z dynastów plemiennych; przeważna swą liczbą klasa władyków — właściwe jądro tworzącego się dopiero narodu — i ludność niewolna, przywiązana do gleby w posiadłościach dawnych dynastów plemiennych i księcia,—oto trzy warstwy społeczne, nad któremi się wznosi władza książęca. Od pierwszego uposażenia kościoła władykowie, mieszkający w kasztelaniach, które się dostały katedrom biskupim, zaczynają się staczać z wyżyny dawnego stanowiska społecznego; zczasem wzrastają posiadłości kościelne wskutek nowych darowizn ziemi z przywiązaną do niéj ludnością niewolną. Potęga materyalna władzy książęcéj opiera się na systemie danin i posług, które ciążą na ziemi, a które spełnia cała ludność, uprawiająca ziemię, a więc i władykowie, jak za dawnych czasów odrębności plemion, i ludność niewolna zarówno posiadłości książęcych, jak kościelnych i pań-

skich. Wolni są od nich osobiście tylko potomkowie dawnych dynastów, oraz duchowni. Pierwsi służą księciu na dworze i jako urzędnicy na grodach, z których rycerstwo prowadzą do boju; drudzy krzewieniem nauki Chrystusa służą młodemu państwu. Siłę zbrojną stanowi klasa władyków, powoływana na wyprawę wojenną, kiedy tego potrzeba. Z pośród niéj niektórzy, porzuciwszy zagon rodzinny, stale służą księciu, jako wojownicy, rozlokowani po grodach, kosztem jego utrzymywani. Im potężniejszy książę, im częstsze i szczęśliwsze przedsiębierze wyprawy, tém większą może utrzymać liczbę wojowników, którzy, nigdy nie zdejmując rynsztunku, w rzadkich tylko chwilach pokoju stoją załogą po grodach.“

Z inną teoryą wystąpił Bobrzyński (*Geneza społeczeństwa polskiego na podstawie kroniki Galla i dyplomatów XII wieku*), który najazd również odrzuca, oprócz niewolników i jeńców żadnych w społeczeństwie ówczesném obcych żywiołów nie widzi. Opierając się na kronice Galla i dokumentach z XII stulecia, autor *Genezy* aż siedm klas społecznych rozróżnia. Pierwszą stanowią niewolnicy prywatni i książęcy, rekrutujący się z jeńców wojennych, przez kupno i z przestępców za zbrodnie. Byli oni w stosunku do osób prywatnych rzeczą, nie składali żadnych prestacyi książęcych lub danin; pełnili na dworach swych panów, jako czeladź, osobiste posługi. Drugą klasę formują dziedzice czynszownicy książęcy. Podlegali jedynie monarsze, mieli wolność osobistą, pracowali na własny rachunek, panującemu tylko składali daniny. Trzecią grupę stanowili pochodzący z nadań książęcych poddani kościelni; czwartą ludzie wolni—nieliczni dziedzice, nabywający ziemię na własność; piątą rycerstwo; szóstą szlachta rodowa—potomkowie książąt, przed powstaniem Polski panujących udzielnie; siódmą—kler zakonny i świecki. Z owych grup siedmiu niewolnicy, dziedzice czynszownicy i szlachta rodowa w dwunastém stuleciu obumierają i nikną; włościanie poddani, rycerstwo i kler rozwija się silnie; klasa wolnych dziedziców w téj dobie dopiero rozpoczyna się kształcić przez wyzwalanie ludności poddańczéj, obcych przybyszów, z odpadków rycerstwa i kleru. W kwestyi powstania państwa zgadza się Bobrzyński ze Smolką, lecz różni się w poglądach na naturę własności. Według Smolki dziedzice niewielkich obszarów stanowią typ w budowie społecznéj Polski pierwotnéj; zdaniem Bobrzyńskiego „całe państwo było niejako jedną wielką wsią, a cała ludność była wieśniaczą. Przeciążona służbą wojskową i rozlicznemi daninami i powinnościami, nie miała żadnéj własności gruntowéj; niepewna jutra czekała, gdzie ją w każdéj chwili rozkaz książęcy przerzuci, ale nie podlegała nikomu, tylko monarsze i jego urzędnikom i żadnych innych panów nad sobą nie miała.“

Strona polityczną Polski pierwotnéj również roztrząsaniu uległa i nowe oświetlenie w kilku cennych znalazła rozprawach. Gdy zbadaniem dziejów Mieszka I zajął się cudzoziemiec, Zeissberg,— Karłowicz przedstawił pochód Chrobrego na Kijów (*Wyprawa kijowska Bolesława W.*), udowodniając, że oprócz dokonanego w r. 1018, innego nie czynił; Żukowski wyświetlał stosunki tegoż monarchy z Rzymem (*Stosunki Bolesława Chrobrego ze stolicą apostolską*), Lewicki zaś podjął rehabilitacyę następcy (*Mieszko II*), wszystkie klęski, jakie za panowania jego dotknęły Polskę, tłómacząc zbiegiem okoliczności zewnętrznych. Podania o mnichostwie Kazimierza Odnowiciela wyświecali: Malinowski (*Rzecz o pobycie Kazimierza w Clugny*), Wojciechowski (*O Kazimierzu Mnichu*) i Smolka (*Tradycya o Kazimierzu Mnichu*); w sprawie konfliktu pomiędzy Bolesławem Śmiałym a Stanisławem ze Szczepanowa kilku pomniejsze (Swieżawski, Skorski, ze stanowiska Długoszowskiego Kalinka), Franciszek Stefczyk obszerną wydał rozprawę (*Upadek Bolesława Śmiałego*), w któréj uzasadnia domysł Czackiego o związkach biskupa z Czechami. Po uskutecznieniu restauracyi państwa za Kazimierza I, zaczynają się, zdaniem autora, nowe w społeczeństwie objawiać prądy. Lud odstępuje od dotychczasowych przewodników — potomków dynastycznych rodów lechickich i przywiązywać się poczyna do Piastów. Najwyższa warstwa społeczna, odrośle książąt niegdy udzielnych, porzuca myśl szczepowego separatyzmu, lecz dąży do uprzywilejowanego w państwie stanowiska, do ograniczenia władzy monarszéj. Rzutki politycznie a despotyczny Bolesław znalazł się z jednéj strony w kolizyi z czeskim Wratysławem, który tak samo, jak król polski, marzył o zjednoczeniu Słowiańszczyzny zachodniéj; z drugiéj strony w antagonizmie z przykrzącymi sobie absolutyzm monarchy możnymi. Nie przebierający w środkach Wratysław szukać począł pomiędzy możnowładcami owymi przyjaciół „aby podstępnie i zdradą, gdy otwarcie nie zdołał, zgubić przeciwnika i odrazu zrealizować swoje do Polski pretensye, przybliżyć tak dotychczas odległy, lecz ciągle przyświecający cel zjednoczenia zachodniéj Słowiańszczyzny. Istotnie znalazł posłuch przynajmniéj u części malkontentów, a między innymi u krakowskiego biskupa Stanisława, który również był prawdopodobnie potomkiem książęcego, kto wié, czy nie jakiego chrobackiego rodu, a mógł miéć nadto swe specyalne powody niechęci do króla. Spiskowcom chodziło o zwalenie Bolesława z tronu, a Wratysławowi nadto o sąsiednie Czechom polskie prowincye, przedewszystkiém ziemię krakowską.... Uknuty atoli w ten sposób spisek przedwcześnie został odkryty i doszedł do uszu Bolesława... Między ofiarami zemsty królewskiéj znajdował się i biskup krakowski.“

Z rozprawą Stefczyka wiąże się wcześniejsza praca Lewickiego (*Wratysław II królem polskim*), według któréj czeski książę, nic nie zyskawszy na upadku Bolesława Śmiałego, dla urzeczywistnienia swoich względem Słowiańszczyzny widoków wysługiwać się począł cesarzowi, przez co otrzymał od niego w r. 1086 na sejmie w Moguncyi tytuł króla polskiego za obietnicę pomocy ku podbiciu krain nad Wisłą. Małecki opracował czasy Krzywoustego (*Panowanie Bolesława Krzywoustego*), rzucił téż w szeregu rozpraw (w *Przewodniku naukowym i literackim* z r. 1875) na okres Polski pierwotnéj dość pesymistyczny pogląd ogólny. „Było z czego, powiada, wytworzyć silną władzę monarszą, choć wolną od despotyzmu i za tę cenę zapewnić narodowi świetną rolę jednego z pierwszorzędnych mocarstw w historyi. Było aż nazbyt pokuszeń pójść za innymi ideałami: unikać starcia tam, gdzie było konieczne; być popularnym za życia, sławionym przez kronikarzy po śmierci, a potomności przekazać— sprawę przepadłą. Jedno i drugie zależało od czujności i instynktu politycznego, od trudu i dzielności panujących nad Polską.“ Małecki pierwszy pokusił się o rozwianie mgieł idealnych, jakiemi Bolesława Chrobrego otoczył Szajnocha; surowo ocenia zaniedbanie Słowiańszczyzny nadłabskiéj dla tryumfu nad Dnieprem. „Pozorna świetność wyprawy kijowskiéj stanowi ujemną, wręcz złowieszczą stronę tego dziejowego wypadku. Przez całe dzieje polskie już potém snuje się, jak nić czerwona, ta nieszczęśliwa zasada, że co się straciło lub czego się nie dopięło w stosunku do zachodniego sąsiada, który się ciągle wpijał i wżerał w nasze wnętrzności, to nam odbijać należy na pograniczach wschodnich... Pierwsze zainaugurowanie téj polityki fatalnéj było mimowolném, — nie zamierzoném wprawdzie, ale przecież spełnioném dziełem chrobrego króla naszego.“

Opracowania Polski dzielnicowéj rozpoczyna dyskusya nad sprawą podziału. Małecki dowodzi (*Testament Bolesława Krzywoustego*), że dzielenie państwa pomiędzy synów stanowiło w całéj Słowiańszczyźnie zakorzenioną zasadę; że Krzywousty, zaprowadzając seniorat, pragnął zapobiedz zamieszkom, jakich sam doznał i jakich doświadczali przodkowie. Separatyzm książęcy po wypędzeniu Władysława II, nie na testament, lecz zwalić należy na karb rewolucyi, którą wywołali magnaci. Inne stanowisko zajął Maksymilian Kantecki (*Das Testament des Boleslaw Schiefmund*), upatrujący w testamencie Krzywoustego nie seniorat, lecz prymogeniturę; dowodzący, że następcą Bolesława IV był syn jego, Leszek, który nie objął dzielnicy krakowskiéj jedynie z przyczyny wątłego zdrowia. Poglądy Kanteckiego surowa dotknęła krytyka; pomiędzy innymi wystąpili z aparatem dowodów burzących Semkowicz i Smolka, oświadcza-

jący się za zasadą starszeństwa. Kwestye szczegółowe z XII stulecia opracowywali: Mosbach (*Piotr syn Włodzimierza*), Leniek (*Pełka biskup krakowski*), i Górski (*Stosunki Kazimierza Sprawiedliwego z Rusią*); spostrzeżenia nad sztuką, mianowicie budownictwem i rzeźbą tych czasów ogłasza Władysław Łuszczkiewicz (*Kościoły i rzeźby Duninowskie. Kościół kolegiacki łęczycki* itp.); całość wieku aż do ustąpienia Władysława Laskonogiego z dzielnicy krakowskiéj ogarnął Stanisław Smolka (*Mieszko Stary i jego wiek*). Z frazeologią Szajnochy lubo bez jego talentu maluje autor fizyonomię kraju, przedstawia układ społeczny, opowiada o walce potomków Krzywoustego z możnymi. Chociaż się oparł na źródłach znanych i pod względem faktycznym odkryć nie robi, jednakże ściśle konsekwentném przeprowadzeniem walki monarchizmu z możnowładczą potęgą i przez organiczne ujęcie całości wieku nadał swéj pracy urok nowości. Nie jest Smolka doktrynerem, zohydzającym Władysława II, jak Bartoszewicz, lub idealizującym, jak Hoffman; dobitnie a z kunsztem kreśli fiskalną działalność Mieszka i stosunek Laskonogiego do kleru. Dosadnie akcentuje wysiłki książąt, marzących o wskrzeszeniu samowładnéj monarchii Chrobrego i przyczyny chybionych zabiegów w odpowiedniem rysuje świetle. Sądzi—a opiera swój pogląd na analogii ze stosunkami zachodu,—że monarchia jednolita, skupiwszy szczepy z nad Warty i Wisły i odtrąciwszy najazdy Niemców, zadanie swoje spełniła, przez co musiała ustąpić miejsca stosunkom innym. Rozwój pochłanianego dotychczas przez państwo społeczeństwa wymagał rozbicia monarchii i osłabienia władzy książęcéj; stąd to zabiegi energicznych i konsekwentnych dynastów, jako wymierzone przeciwko duchowi czasu, nie miały pod sobą gruntu i spełzły na niczém.

Stosunki prawno-społeczne XIII stulecia opracował na podstawie dyplomatów Romuald Hube (*Prawo polskie w w. XIII*); sprawą wprowadzenia do Polski reform gregoryańskich zajął się Stosław Łaguna. W niewielkiéj lecz kunsztownéj pod względem konstrukcyi rozprawce (*Dwie elekcye*) udowadnia zagęszczone w XII i na początku XIII stulecia małżeństwa księży; charakteryzuje dwór książęcy, życie mieszczan, stan nauk,—wszystko dla stworzenia tła ku uwydatnieniu walki dwóch stronnictw, z których jedno usiłowało po śmierci biskupa Pełki wprowadzić na katedrę krakowską Wincentego Kadłubka, drugie Giedkę. Najznakomitszymi z książąt pierwszéj połowy XIII stulecia zajęli się: Sokołowski August (*Konrad książę na Mazowszu i zakon niemiecki*) i Smolka (*Henryk Brodaty*); przyczynki do najazdów tatarskich, dziejów Leszka Czarnego i Przemysława II podał Bolesław Ulanowski (*O współudziale Templaryuszów w bitwie pod*

Lignicą. Drugi napad Tatarów na Polskę. Przyczynek do dziejów Pawła z Przemankowa. Kilka słów o małżonkach Przemysława II.); do historyi budownictwa i rzeźby Łuszczkiewicz.

Jeżeli, z wyjątkiem monografii Bobrzyńskiego i Swieżawskiego, dotyczących buntu wójta Alberta, ku wyświetleniu czasów Łokietka po pracach Lelewela i Szajnochy nie dorzucono nic prawie, to za to literatura panowania Kazimierza W. do najobfitszych należy. Jan Leniek opracował sprawę układów z Krzyżakami o odstąpienie Pomorza (*Kongres wyszehradzki w r. 1335*); Szujski wyjaśnił warunki, na jakich zrzekła się Polska zagrabionych przez zakon prowincyi (*Warunki traktatu kaliskiego r. 1343*). Podał też Szujski szczegółową wiadomość o buncie szlachty wielkopolskiéj, wynikłym z powodu wprowadzanych przez króla administracyjno-sądowych urządzeń (*Maćko Borkowicz wojewoda poznański i pierwsza konfederacya rycerska r. 1352*); ten sam temat podjął współcześnie i identyczny osiągnął rezultat Aleksander Brandowski (*Baron Maciej Borkowicz*), który i w sprawie założenia przez Kazimierza wszechnicy pracę wydał niewielką (*Założenie uniwersytetu krakowskiego w r. 1364*). Najbaczniejszą zwróciła uwagę działalność prawodawcza Kazimierza i kilku cennych doczekała się rozpraw. Bobrzyński (*O założeniu wyższego i najwyższego sądu prawa niemieckiego na zamku krakowskim*) i Piekosiński (*O sądach wyższych prawa niemieckiego w Polsce wieków średnich*) wyświetlają sprawę kolonizacyi i samorządu osad na prawie niemieckiem; Hube po Bandtkiem, Lelewelu i Helclu na nowo podjął sprawę statutów (*Prawo polskie w XIV w.*). Helcel w działalności prawodawczéj Kazimierza W. cztery dostrzegł momenty, z których każdy wyłonił statut: najprzód powstał dzielnicowy małopolski, który autor nazywa krakowskim pierwszym; po nim wielkopolski (piotrkowski), następnie znowu małopolski (krakowski drugi), w końcu zwód ogólny wislicki. Uznaną przez znakomitszych historyko-prawników hipotezę Helcla Hube wywraca: oświadcza się za dwoma jedynie statutami: małopolskim i wielkopolskim; istnienia innych, mianowicie owego zwodu powszechnego, zaprzecza. Od zarzutów szkoły Lelewelowskiéj, nie mogącéj zapomnieć straty Pomorza i Śląska, broni Kazimierza W. Szujski (*Charakterystyka Kazimierza W.*), w działalności jego upatrujący szczyt utylitaryzmu politycznego i usiłowanie stworzenia państwa nowożytnego, na wzór zachodnich. „Dwudziestodziewięcioletnie panowanie jego wygląda jak skończone arcydzieło wytrwałéj, cierpliwéj, zawsze celu świadoméj organizatorskiéj pracy; arcydzieło, na którém znać rękę mistrza... Król młody, niepopularny, musiał mieć pewność siebie..; musiał mieć więcéj, jak przekonanie, bo natchnienie geniuszu, który mu kazał iść drogą ustępstw

i poświęceń, wstrętnych zrazu, a przecież koniecznych. Musiał mu mówić: ani kroku daléj! bo zakon krzyżacki ma murowane grody, a ty zgliszcza tylko i horodyszcza drewniane; ma kwitnące rolnictwem, handlem i przemysłem kraje, a ty kraj wycieńczony i zaniedbany; bo sojusznikiem tego zakonu jest najpierwszy rycerz Europy, Jan, który może po raz drugi na zgubę Polski skuteczniejszą jeszcze, niż w r. 1331 ułożyć wyprawę... Granitowym pokładem są dzieje rządów Kazimierza, a równie twardéj rdzennéj warstwy, jak ta, która po nim pozostała, nie położył żaden rząd, żadne panowanie w Polsce. To, co się w dziejach powszechnych nazywa monarchią nowożytną, co opiera się na zasobności skarbowéj króla, na ukróceniu zbytniéj potęgi i oporu stanów, politycznie uprawnionych...; na stworzeniu siły wojennéj nie z feudalnego obowiązku, ale środkami saméj władzy państwa,—próby te stworzenia monarchii nowożytnéj w Polsce były częste, ale porównawszy je z tém, co robił i czém był Kazimierz W., musi się uznać, że jeśli późniéj jeszcze jego następcy chwytali się jego wskazówek i śladów pracy, jako jedynéj tradycyi,—żaden już nie był wstanie przebudować gmachu, który on, acz na mniejszém terytoryum, przed wiekami postawił.“ Oddzielną monografię poświęcił Szujski następcy Kazimierza (*Ludwik węgierski i bezkrólewie po jego śmierci*); on téż jest twórcą tak zwanéj teoryi przestrzeni, wygłoszonéj z okazyi zjednoczenia Litwy z Koroną (*O młodszości naszego cywilizacyjnego rozwoju*). Panowania Władysława Jagiełły dotyczą prace: Kanteckiego Klemensa (*Elżbieta trzecia żona Jagiełły*), Chylińskiego Michała (*Pamflet Falkenberga na soborze konstancyeńskim*), Maurera Romana (*Proces królowéj Jadwigi. Urzędnicy kancelaryjni Władysława Jagiełły*), Sutowicza Juliana (*Zjazd łucki. Stosunek Władysława Jagiełły do Husytów czeskich*), Augusta Sokołowskiego (*Projekt rozbioru Polski w w. XV*), wreszcie Antoniego Prochaski (*Szkice historyczne z XV wieku. Ostatnie lata Witolda*), który w sprawie poglądu na ruch husycki w Polsce (*Polska a Czechy w czasach husyckich aż do odwołania Korybuta z Czech*) przeciwnika znalazł w Smolce. Prochaska, zauważywszy w husytyzmie pierwiastek plemienny i wyznaniowy, pierwszemu tylko przypisuje oddziaływanie na Polskę, zaprzecza zaś wpływu czynników religijnych i społecznych, ruch cały w ramach sprawy dyplomatycznéj stara się zawrzeć. Smolka (*Unia z Czechami*) dowodzi, że jednoplemienność z Czechami małe w ruchu husyckim posiadała znaczenie, zaważyły zaś głównie względy lokalno-polskie, mianowicie przewaga, jaką duchowieństwo posiadało nad szlachtą. W innéj rozprawie (*Witold pod Grunwaldem*) tłómaczy Smolka przyczyny, dla których zwycięztwo nad Krzyżakami przyniosło w pokoju toruńskim z r. 1411 korzyść tak małą. Zdaniem autora,

uniemożliwił otrzymanie ważniejszych rezultatów Witold, który dla tego, żeby i na przyszłość być Polsce potrzebnym, żeby stanowisko swe wzmocnić, nie chciał zakonu druzgotać do szczętu.

Literatura panowania Kazimierza Jagiellończyka pod względem ilościowym o lepsze idzie z dotyczącą ostatniego Piasta. Rozprawy: Papée'go (*Polityka polska w czasie upadku Jerzego z Podjebradu. Kandydatura Jagiellończyka na biskupstwo warmijskie*), Mikrota (*Włodko z Domaborza kasztelan nakielski i jego stosunki z Kazimierzem Jagiellończykiem*), Grosségo (*Stosunki Polski z soborem bazylejskim*), Sutowicza (*Walka Kazimierza Jagiellończyka z Maciejem Korwinem*) potrącają kwestye polityki zewnętrznéj; donioślejszych pytań, mianowicie stanowiska Ostroroga i znaczenia ruchów szlacheckich dotyczą prace: Pawińskiego, Rembowskiego, Swieżawskiego, Bobrzyńskiego, Hubego. Profesor wszechnicy wrocławskiéj, autor czterotomowych dziejów polskich (*Geschichte Polens*), obejmujących wiek XIV i XV, Jakób Caro, doszedłszy (*Jan Ostroróg i traktat jego o naprawie rzeczypospolitéj*), że Ostroróg kształcił się w uniwersytecie erfurckim, usiłował działanie wpływów niemieckich na pisarza naszego wykazać, znalazł nawet wzór dzieła jego w pisemku niejakiego Rejsera (*Reformatio Sigismundi imperatoris*). Przeciwko poglądom uczonego Niemca wystąpił Pawiński Adolf (*Jana Ostroroga żywot i pismo o naprawie rzeczypospolitéj*), dowodząc, że humanizm, pod którego wpływem nasz statysta za granicą się kształcil; husytyzm, obozujący w sąsiednich Czechach; słowem nowe kierunki, nurtujące w ówczesnym świecie, urobiły poglądy Ostroroga na stosunek Polski do Rzymu. zapatrywania na układ społeczny, budowę państwa i stanowisko monarchy. W pomysłach, dotyczących sądownictwa, administracyi i zarządu skarbowego spostrzega autor w Ostrorogu brak dojrzalszego sądu i wytrawności; przyznaje jednak, że pismo jego „jako samoistny, nienaśladowany utwór zdolnego pióra i ukształconego umysłu zajmować będzie zawsze poczesne miejsce w rocznikach naszéj oświaty.“ Przeciwko Pawińskiemu oświadczył się Rembowski Aleksander (*Jan Ostroróg i jego memoryał o naprawie rzeczypospolitéj*), który genezę memoryału Ostroroga znajduje w teoryach politycznych zachodu, wpływu zaś husytyzmowi odmawia. Takie same w zasadzie stanowisko zajął w téj sprawie Bobrzyński (*Jan Ostroróg, studyum z literatury politycznéj XV stulecia*), gdy Swieżawski (*Jan Ostroróg i klasy niższe społeczeństwa polskiego w XV wieku*) widzi w Ostrorogu magnata, godzącego na wolności klas niższych, mianowicie mieszczaństwa. Sprawę przewrotu wewnętrznego w ruchach szlacheckich podczas wojny z zakonem o Prusy zachodnie przedstawił Bobrzyński (*O ustawodawstwie nie-*

szawskiem Kazimierza Jagiellończyka). Dowodzi, że szlachta przez otrzymanie przywilejów pod Cerekwicą, Nieszawą i Opokami zaprowadziła nowe, prowincyonalne organy prawodawcze w postaci sejmików; że pochłonęła w ten sposób magnatów, a ujawniła dążność do sponiewierania mieszczaństwa. Pomysły Bobrzyńskiego, dopełnione przez Hubego (*Statuta nieszawskie z r. 1454*), w dalszém rozwinięciu (*Sejmy polskie za Olbrachta i Aleksandra. Stanisław Zaborowski, studyum z literatury polskiéj*) dotyczą panowań: Olbrachta i Aleksandra, które oprócz rozpraw: Czernego (*Panowanie Olbrachta i Aleksandra*), Kniaziołuckiego (*Johann Albert König von Polen in seinen ersten Regierungsjahren*), Jabłonowskiego (*Sprawy wołoskie za Jagiellonów*), Lucasa (*O rzekoméj wyprawie na Turka w r. 1497*) opracowań rozleglejszych nie mają. Zdaniem Bobrzyńskiego, Olbracht tak samo, jak Kazimierz, opierał się przeciwko możnowładztwu na szlachcie, na któréj korzyść w statucie piotrkowskim z r. 1496 pognębił mieszczaństwo i chłopstwo, zaprowadził nowy organ prawodawczy w postaci sejmu jednoizbowego, złożonego tylko z przedstawicieli od ziemian. W bezkrólewiu po Olbrachcie dźwignęło się możnowładztwo, uzyskawszy od Aleksandra w r. 1501 akt mielnicki, zaprowadzający rządy arystokratyczne; rychło przecież, bo w r. 1504 powołuje monarcha naprzekór panom przedstawicieli od szlachty na pierwszy sejm dwuizbowy i w taki sposób stwarza nowy organ prawodawczy, jednoczący w sobie trzy o znaczenie polityczne walczące pierwiastki.

Politykę zewnętrzną Zygmunta I przedstawiają monografie: Liskego (*Studya z dziejów XVI w.*), Smolki (*Polska i Austrya w latach 1526 i 1527*), Finkla (*Poselstwo Jana Dantyszka*), Pułaskiego (*Wojna Zygmunta z Bohdanem wojewodą mołdawskim w r. 1509*), Warnki (*De ducis Michaelis Glinscii rebellione*), Lucasa (*Przyłączenie Mazowsza do korony polskiéj. Erazm Ciołek*), Hirschberga (*Jan Łaski arc. gnieźnieński sprzymierzeńcem sułtana tureckiego. Dziesięć pierwszych lat panowania Zygmunta I. Stronnictwa polityczne w Polsce za Zygmunta I. Przymierze z Francyą z r. 1524*); skarbowości dotyczy praca Lubomirskiego (*Trzy rozdziały z historyi skarbowości w Polsce 1507—1532*). Politykę zewnętrzną Zygmunta Augusta opracowywali: Krasiński (*Przyczynek do historyi dyplomacyi w Polsce*), Pawiński (*Sprawy Prus książęcych za Zygmunta Augusta*), Karwowski (*Wcielenie Inflant do Litwy i Polski 1558—1561*), Szujski (*Stosunki dyplomatyczne Zygmunta Augusta z Austryą. Ostatnie lata Zygmunta Augusta. Anna Jagiellonka*), który nakreślił i sylwetkę ostatniego Jagiellona (*Charakterystyka Zygmunta Augusta*). Monografie osobistości i rodzin podali: Kraushar (*Olbracht Łaski*), Walewski (*Marcin Kromer*), Zakrzewski (*Rodzina*

Łaskich w XVI w.); sprawy wewnętrzne opracowywali: Mosbach (*Początki unii*) i Przeździecki Aleksander (*Jagiellonki polskie XVI wieku*), reformacyę Lorkiewicz (*Bunt gdański w r. 1525*), Kubala (*Stanisław Orzechowski i wpływ jego na rzeczpospolitę wobec reformacyi*), Zakrzewski (*Powstanie i wzrost reformacyi w Polsce*) i Szujski (*Odrodzenie i reformacya*). Ważny do reformacyi przyczynek stanowi źródłowa monografia cudzoziemca, Liubowicza (*Istorja rieformacii w Polszie*), który się specyalnie zajmuje dziejami Polski.

Pierwsze bezkrólewie opisał Piliński (*Bezkrólewie po Zygmuncie Auguście*), panowanie Henryka Emanuel de Noaillès (*Henri Valois et la Pologne*), drugie interregnum Zakrzewski (*Po ucieczce Henryka*) i Wierzbowski (*Zabiegi cesarza Maksymiliana o koronę polską 1565—1576*). Panowanie Batorego wyjaśniają monografie: Zakrzewskiego (*Stosunki stolicy apostolskiéj z Iwanem Groźnym*), Sutowicza (*Sprawa Zborowskich na sejmie z r. 1585*), a zwłaszcza Pawińskiego (*Stefan Batory pod Gdańskiem. O synodzie Piotrkowskim z r. 1577*), którego praca nad skarbowością za tego króla (*Skarbowość w Polsce i jéj dzieje za Stefana Batorego*) do najcelniejszych należy. Bezkrólewie po Stefanie zgłębiali: Caro (*Interregnum Polens in J. 1587*), Sieniawski (*De interregno post Stephani regis discessum. Das Interregnum und die Königswahl in Pohlen vom J. 1587*), panowanie Zygmunta III Sokołowski August (*Przed rokoszem. Dyabeł Stadnicki. Polityka polska za Zygmunta III*), Kudelka (*Bitwa pod Kirchholmem*), Sieniawski (*Die Regierung Sigismunds III*), Szujski (*Maryna Mniszchówna i Samozwańce*); stosunki kościelne Likowski (*Historya unii kościoła ruskiego z rzymskim*), Pełesz (*Geschichte der Union der ruthenischen Kirche mit Rom*), Szaraniewicz (*Patryarchat wschodni wobec kościoła ruskiego i rzeczypospolitéj polskiéj*), Bobrzyński (*Kazania sejmowe Skargi*). Panowanie Władysława IV i Jana Kazimierza z wyjątkiem sylwetek batalijnych i monografii (*Szkice historyczne. Jerzy Ossoliński*) Kubali, rozpraw: Kalickiego Bernarda (*Władysław IV królem chłopów. Bogusław Radziwiłł koniuszy litewski*), Dubieckiego (*Kudak, twierdza kresowa i jéj okolice*), Jarochowskiego (*Wielkopolska w czasie pierwszéj wojny szwedzkiéj od r. 1655—1657*), Seredyńskiego (*Sprawa elekcyi za panowania i po ustąpieniu Jana Kazimierza*) i Czermaka (*Jerzy Lubomirski*) rozleglejszych opracowań nie mają. Zapomniane prawie zostały czasy Michała Korybuta,—oprócz pracy Jarochowskiego o Kalkstejnie (*Sprawa Kalkstejna*) nikt ich nie dotknął. Sobieski, chociaż materyału do panowania jego jest dużo, również czeka opracowań, niewiele bowiem przynoszą rozprawki: Helcla (*O dwukrotném zamęźciu Ludwiki Karoliny Radziwiłłówny*), Kanteckiego (*Spisek w r. 1688*), Jabłonowskiego (*Krzysztof Grzymułtowski*), Zawadzkiego (*Jakób i Kon-*

stanty Sobieski). Wystąpił z dziełem czterotomowém Leliwa (*Jan Sobieski i jego wiek*), lecz krytyka odmawia pracy jego wartości. Bogatą jest literatura czasów Augusta II i Stanisława Leszczyńskiego, których strona polityczna pilnego znalazła badacza w Jarochowskim (*Dzieje panowania Augusta II od śmierci Jana III do chwili wstąpienia Karola XII na ziemię polską. Opowiadania i studya historyczne. Nowe opowiadania i studya historyczne*); a wewnętrzna, o ile dotyczy reform, w Aleksandrze Rembowskim (*Stanisław Leszczyński jako statysta*). Tegoż panowania i rządów Augusta III dotyczy monografia Kanteckiego (*Stanisław Poniatowski ojciec króla Stanisława Augusta*), a ostatniego bezkrólewia praca Gustawa Meinerta (*Wyniesienie na tron Stanisława Augusta*). Czasy Stanisława Augusta dostatecznie zbadane nie są, chociaż prace: Kisielewskiego (*Reforma książąt Czartoryskich na sejmie konwokacyjnym r. 1764*), Zaleskiego Bronisława (*Żywot księcia Adama Czartoryskiego. Korespondencya krajowa Stanisława Augusta*), Pilata (*Literatura polityczna sejmu czteroletniego*), Chylińskiego (*Hugo Kołłątaj wobec Targowicy*), Tyszkiewicza (*Króla Stanisława Augusta ostatni pobyt w Grodnie*), Kraszewskiego (*Polska w czasie trzech rozbiorów*), a zwłaszcza Kalinki (*Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta. Sejm czteroletni. Sprawa ruska na sejmie czteroletnim*) i Tadeusza Korzona (*Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta*) wyjaśniają stron wiele. Niemałą pomocą do zrozumienia ostatnich czasów rzeczypospolitéj są dzieła cudzoziemców, mianowicie: Broglie (*Le secret du roi*), Roepell'a (*Polen um die Mitte des XVIII-ten Jahre*), Sołowiewa (*Istorja padienija Polszi*), Kostomarowa (*Posledni je gody rieczipospolitoj*), Iłowajskiego (*Sejm grodzieński 1793*), Beera (*Die erste Theilung Polens*), Janssena (*Zur Genesis d. ersten Theilung Polens*) i innych.

(*dok. nast.*) *Władysław Smoleński.*





POWIEŚĆ SPÓŁCZESNA WE FRANCYI.

2. Ludwik Halévy.

Autor-to libretta do „Pięknéj Heleny“, autor do współki z Meilhac'iem dziesięciu wodewilów, fars i operetek przedstawionych na scenie teatru „Variétés“ i teatru „Vaudeville“, autor „Pana i Pani Cardinal“ oraz „Panien Cardinal“, autor powieści p. t. „Criquette“ i powieści p. t. „L'abbé Constantin.“ Z tym inna sprawa. Jeżeli dar przyswajania sobie dowolnie każdego rodzaju, bez stworzenia w żadnym nic wyśmienitego, ale bez zniżenia się także w żadnym do poziomu mierności jest rzeczą sztuki, tedy sztuka spółczesna uznać winna w Halévym jednego ze swych mistrzów. Jeżeli aktor Furier, naśladujący do złudzenia postawę, ruchy głos i fizyonomią samę aktora Barona i dziesięciu innych aktorów, jest artystą w swoim rodzaju, tedy i Halévy jest artystą. Przeznaczyłem miejsce temu, od wczoraj „palmy zielone“ noszącemu, akademikowi między idealistami dla tego, że on sam upomniał się o to miejsce w historyi *powieści spółczesnéj* swoją ostatnią kreacyą. Dawniejszą swoją twórczością należy on raczéj do realistycznéj szkoły a nawet poniekąd do szkoły braci Goncourt. Istotą swojego talentu, natchnienia i instynktu artystycznego nie należy do szkoły żadnéj. To Proteusz literacki i wieczny zmiennik, żołnierz i zbieg z pod wszystkich sztandarów, dworak wszystkich panujących ideałów—*dopóki panują*, lub zdają mu się panującemi. Potężny prąd realistyczny wytworzony przed dwudziestu laty narzucił mu się. Poszedł on bez oporu za tym prądem i przyczynił się bez wątpienia wesołemi swemi kreacyami do utorowania mu drogi. „Piękna Helena“ zrobiła więcéj dla zapewnienia tryumfu nowym pojęciom i tendencyom artystycznym niż jedna i druga powieść Goncourt'ów albo Zoli. Ludwik Halévy *spopularyzował* realizm.

Oto niezaprzeczony jego i prawdopodobnie jedyny tytuł do pamięci potomności. Nie mam zresztą zapewne potrzeby zatrzymywania się nad tą stroną i fazą jego zawodu. Menelaus z Agamemnonem i Kalchasem nie dopominają się o to, abym przedstawiał ich któremukolwiek z mych czytelników. Ani téż „Pani Cardinal“ ze swoim mężem i płochemi córeczkami. Tém bardziéj, iż kreacye te wykraczają po za obręb właściwéj kompozycyi powieściowéj. Wodewilowe to zawsze motywy, przedstawione w formie scenicznego, tylko za długiego dla sceny monologu. „Pani Cardinal“ ze swoją macierzyńską miłością dla umieszczonych w *corps de ballet* wychowanek, ze swoją troskliwością w dobieraniu im przyzwoitych protektorów, „pan Cardinal ze swoją powagą i godnością w obronie ogniska domowego, są to zresztą typy, które pozostaną w galeryi spółczesnych portretów. Kto nie pamięta pana „Cardinal“ oburzającego się na słowo „miłość“, wyrzeczone przed nim przez świeżo zrekrutowanego dla panny „Wirginii“ markiza:

„— Nie przedemną o tych rzeczach, panie margrabio; nie chcę słyszéć o tych rzeczach!—Ależ trzeba abym się porozumiał z pańską córką. — Nie rozumiem, o czém pan margrabia mówisz; nie powinienem wiedziéć, o czém pan margrabia chcesz mówić; zresztą czekają na mnie o godzinie czwartéj; muszę wyjść, wychodzę, ale z nadzieją, że nie żegnam pana margrabiego, a mówię mu do widzenia.“

Jakże by miała także wyjść komu z pamięci epicznych rozmiarów sięgająca rola pana „Cardinal“ podczas komuny, kiedy spadająca na dach jego domu i na 1500 fr. szkody wyrządzająca bomba wersalska czyni zeń zapamiętałego demagoga, kiedy ofiarują mu do wyboru miejsce w biurach zarządu wojennego, albo pozycyą w magistraturze, aż wreszcie, zgodnie z życzeniami pani „Cardinal“, dziennik urzędowy powołuje go na stanowisko sędziego pokoju. Bo pani „Cardinal“, która sprzyjała pierwéj Wersalczykom — ze względu na operę i balet — przerzuciła się na stronę komuny, odkąd p. Thiers uczynił się „bombardnikiem“ i odkąd doleciał jéj uszu huk armat wymierzonych w piersi drogiego małżonka.

„— Nędznicy! strzelają do pana Cardinal!“

I napróżno w téj tragicznéj chwili doprasza się pan „hrabia de Glayeul“ o zabranie z sobą panny „Pauliny.“

„— Nie, panie hrabio, nie dzisiaj; nie wtedy to, gdy p. Cardinal naraża się na tak straszne niebezpieczeństwa, mogłabym rozdzielić się z mojém dzieckiem. Innego dnia, ile pan hrabia zechcesz.“

Materyału jednak na powieść niema w tém wszystkiém. Pierwszą próbą autora w prawdziwéj powieściowéj formie jest dopiero w 1883 roku wydana „Criquette.“ Tym razem zapożyczył się autor

wręcz u Goncourt'ów. „Criquette“ jest monografią sieroty, córki ubogiéj paryskiéj straganiarki, która zaczyna od tego, że sprzedaje bukieciki z fijołków na ulicy, późniéj roznosi ciastka w teatrze „des Batignolles“, późniéj debiutuje, jako ośmioletnia dziewczynka na scenie teatru „de la Porte St. Martin“, późniéj dostaje się pod opiekę aktorki „Rozity“, metresy księcia „Sawelina“, późniéj wpada w ręce „Aurelii“, byłéj pokojówki, przedzierżgniętéj w poważną prowincyonalną matronę, późniéj ucieka od téj niegodziwéj protektorki, rzuca się w objęcia dawnego towarzysza niedoli „Pascala“, kabotyna z teatrów prowincyonalnych i kabotynuje z nim pospołu w „Le Mans“, późniéj zdradzona przez niewiernego kochanka, któremu nie wystarczyła jéj zbyt idealna miłość, odrzuca miłość i ofiarowane sobie imię hr. „de Serignau“, a nakoniec umiera ze smutku i wycieńczenia, pielęgnując rannych bohaterów z armii nad Ligerą.

Produkt to oczywiście téj saméj szkoły, z któréj wyszły „Chérie“ Juliusza de Goncourt i „Une Vie“ Maupassant'a; kompozycya w analitycznym i eksperymentalnym rodzaju, do któréj wtrącone epizody i perypetye służą jedynie dla uwydatnienia kolejnych przejawów typu obrazowego za przedmiot analizy i eksperymentacyi. Autor nie jest wprawdzie bardzo konsekwentnym w tym względzie. Wspomnienia z wczorajszéj maniery, z „Pana i Pani Cardinal“ prześladują go. Powieść otwiera się całą seryą rodzajowych obrazków, w których nie wiadomo komu i czemu przypada pierwsze miejsce, czy oryginalnemu stowarzyszeniu dwojga dzieciaków na współkę „robiących interesa“ z bukiecikami i ciastkami, czy arcy-realistycznie przedstawionym zakulisowym tajemnicom małych i dużych scen stołecznych, czy pannie „Rozicie“ i jéj loży, czy pannie „Aurelii“ i jéj ambitnym kombinacyom. Od siódmego rozdziału na 130 stronie wchodzi dopiero autor na seryo w rolę prawdziwego monografisty. Nie dziw, iż potrzebował na to czasu. Obrazki owe wstępne są zresztą ładne, zwłaszcza te, w których figuruje sama bohaterka powieści, choć i innym nie brakuje humoru i téj werwy komicznéj, która bądź co bądź pozostanie podobno zawsze najcelniejszym przymiotem słynnego librecisty i wodewilisty. Ośmioletnia „Criquette“ gra rolę księżniczki *Colibri*, któréj przedstawiają brzydkiego, garbatego konkurenta. Przy pierwszéj próbie wprawia ona w entuzyazm dyrektora teatru, trzech autorów sztuki i cały personel teatralny niezrównaném *pied de nez*, którém wita tego niefortunnego adonisa. „*Un pied de nez canaille sans l'être*“ — jak sam tłómaczy. Poczém, „ulegając instynktowemu popędowi stworzonego dla sceny temperamentu“, oddala się szybko w głąb teatru z podniesionemi w górę i trzęsącemi się od oburzenia rękami. Aliści, skutkiem nagłego tego a nieprzewidzia-

nego poruszenia, dwaj mali murzynkowie, dźwigający ogon jéj sukni, przewracają się i zaczynają płakać.

— Brawo! — woła jeden z autorów — oto nowy doskonały *efekt!*

— Nigdy w życiu! — protestuje drugi autor. — Nie trzeba, ażeby te malce płakały, to smutne.

— Właśnie trzeba, żeby płakały — odzywa się trzeci autor — to bardzo zabawne.

Ztąd kłótnia gwałtowna między dwoma współpracownikami, podczas gdy trzeci pozostaje w niepewności. Uznaje doskonałość *efektu*, co do upadnięcia malców, ale nie umie powziąć decyzyi co do ich płaczu.

Wszystko to jest wybornem. Nie mniéj wyborną jest sylwetka panny „Rozity", która rozkochuje się w biednéj osieroconéj córce straganiarki i gotowa uznać ją za własne dziecko, ale dowiaduje się, że prawo nie pozwala na to, i oświadcza przed rejentem intencyą zapisania jéj całego swego majątku, ale przypominają jéj, że majątek ten składa się z samych długów, ostatecznie zaś goni za księciem „Sawelinem" w głąb Rosyi, powierza swą pupilkę przewrotnéj „Aurelii" i zapomina o niéj po kilku tygodniach. Doskonałym także p. „Lemuche", dyrektor teatru w „Le Mans" a były „pensyonarz" Teatru Francuskiego, kędy, podług powtarzanych przy każdéj sposobności opowiadań, upamiętnił swój pobyt świetnemi kreacyami, grał z panną Mars i podzielał tryumfy Talmy. Jakoż rzeczywiście w tragedyi pięcioaktowéj p. t. „Jan ks. Burgundzki", w któréj Talma oczarowywał widzów, miał on, „Lemuche", powierzoną sobie rolę oficera pałacowego, składającą się z trzech niecałych wierszy. I tak daléj. Poczciwy zresztą i szlachetny, choć nie zapominający o swoich interesach.

A już wizerunek panny „Aurelii" to prawdziwy portret *à la Balzac.* Panna „Aurelia" jest córką ogrodnika, służącego na wsi u hr. „de Lustrac." W dwudziestym czwartym roku panieńskiego i surowego życia uwiódł ją przybyły z Paryża pomocnik architekta odnawiającego zamek hr. „de Lustrac", pół rzemieślnik, pół-artysta, a cały blagier imieniem „Piotr Grassou." Po czterech miesiącach walki z sobą „Aurelia" uciekła za nim do stolicy. Źle przyjęta, doczekała się niebawem tego, że ją znudzony kochanek częstował razami w miejscu pocałunków, a trochę późniéj tego, że ją porzucił. Zostawiona na bruku bez sposobu do życia, zapoznała się z wszystkiemi rozmaitościami nędzy, spróbowała wszystkich rzemiosł, aż dostała się do panny „Rozity." Zgodzona zrazu za szwaczkę, mianowana niebawem naczelną kamerystką i ochmistrzynią, zaprowadziła wkrótce wzorowy ład w domu, w którym dotąd panowały swawola

i rozbójnictwo całéj służby. Nie pozwoliła kraść nikomu, oprócz niéj samej. I swoim własnym zaś zyskom zakreśliła pewną skrupulatnie przestrzeganą granicę. Po czternastu latach panna „Rozita“ ma 300,000 fr. długu, a panna „Aurelia“ 300,000 fr. majątku. Wielka, przez książąt Sawelinów zasilana, eksploatacya rozkoszy zbilansowała się akuratnie. I wtedy panna „Aurelia“ wypowiada służbę swojéj do Rosyi odjeżdżającéj pani, zabiera z sobą niejaką zrujnowaną hiszpańską grandesę, hr. „Guarenę“, dla eksploatowania jéj stosunków towarzyskich, tak jak eksploatowała dotąd wdzięki panny „Rozity“, osiedla się w Beauvais, zatapia się w dewocyi i w dobrych uczynkach i niebawem zajmuje jedno z pierwszych miejsc pośród niedomyślającego się jéj przeszłości prowincyonalnego świata. Zabrawszy z sobą, jak powiedziano wyżéj, małą „Criquette“, daje jéj staranne wychowanie i zamierza wydać ją za młodzieńca należącego do jednéj z lepszych miejscowych rodzin. Ale „Criquette“ upiera się przytém, aby jéj przeszłość wyjawioną została przed zaręczynami jéj przyszłemu mężowi. Zamknięta w swoim pokoju, ucieka nocą do Paryża i wiemy już co poczyna daléj. „Aurelia“ oznajmia Belowaceńskiemu towarzystwu, że jéj pupilka, nieprzezwyciężonemu powołaniu ulegając, wstąpiła do jednego z klasztorów paryskich i „Criquette“ nie słyszy już o niéj. W chwili, w któréj „Criquette“ umiera, była jéj opiekunka wybiera się na posiedzenie komitetu dam Belowaceńskich, zajmujących się losem „opuszczonych dziewcząt.“

Są jeszcze obok tego portretu w drugiéj połowie powieści pana Halévy ustępy, których nie wyrzekł by się Alfons Daudet, ba! sam Emil Zola.

„Agencya teatralna, kierowana przez pana Carmelle, mieści się od pół wieku w starym i smutnym domu przy ulicy Louvois.

„Ileż śpiewaków i śpiewaczek, ileż aktorów i aktorek zużyło stopnie wilgotnych i ciemnych wschodów, wiodących do biura agencyi. Ileż Ruy-Blasów i Lukrecyi! Ileż Fernandów i Leonor! Ileż starych pułkowników i młodych wdów *à la Scribe!* Ileż Giboyer'ów i Dalil! Ileż Dam Białych i Dam Kameliowych! Ileż Perrichonów i Fanfan-Benoitonów! Ileż Adryan Lecouvreur i Markizów de la Seiglière! Ileż Indyan i Charlemagne'ów!

„Ztąd to wyprawiają się, pośpiesznym pociągiem i bez gwarancyi, wszystkim zakłopotanym dyrektorom prowincyonalnym tenorowie i barytonowie, prymadonny i lekkie śpiewaczki, pierwsi kochankowie i drudzy kochankowie, ojcowie i matki, finansyerzy, komicy, *użyteczności* duże i *użyteczności* małe, młode kamerystki i kamerystki komiczne, *niewinności* zupełne i *niewinności* niezupełne, jednem słowem *niewinności* wszelkiego gatunku.

„I wszyscy i wszystkie, rozsypując się na powierzchni Francyi, Europy i dwóch Ameryk, idą puszczać w świat, pod formą dramatów, oper, komedyi, wodewilów i operetek krzyki, gniewy, morderstwa, bufonerye, otrucia, śmieszne *qui-pro-quo*, ucieszne *coq-à-l'âne*, małżeństwa z inklinacyi i małżeństwa dla pieniędzy, samobójstwa, kłótnie domowe, prośby, groźby, klątwy, przestrachy, dziwactwa, arlekinady, ekstazy, kalembury, upojenia, szaleństwa, pantalonady, przekleństwa rodzicielskie, podstępy niewieście, nienawiści rodzinne, wdarcia się do domów po drabinie, serenady, zasadzki, pojedynki, miłości platoniczne, przysięgi, że się umrze *pierwéj niż się będzie niewiernym*, pożegnania ze szczęściem i z życiem, poróżnienia i powroty do zgody, wyłudzenia testamentów, gwałty, marzenia pod gwiazdzistemi niebiosy, wezwania do miłości, do chwały, do honoru, jedném słowem wszystko co się może śpiewać, wszystko co się może deklamować, wszystko co się może tańczyć, wszystko co może pobudzać do płaczu, wszystko co może pobudzać do ziewania, wszystko co zasługuje na oklaski, wszystko co zasługuje na wygwizdanie, wszystko co może dać okazyą do płomienistych oświadczeń, do czułych barkaroli, do scen patetycznych, do komicznych śpiewek, do efektownych tyrad i do aryi z ruladami....“

Nawet w „Au bonheur des dames“ niemasz chyba więcéj wyczerpującego wyliczenia. Ale co obok tego wyliczenia i jego wyraziście realistycznéj tendencyi, co obok portretów „Aurelii“ albo „Rozity“ i ich wyraziście realistycznego charakteru robi postać saméj „Criquette“, postać z rosy i tęczy urobiona, o tak idealnych konturach, z jakiemi nawet u romantyków spotkać się nie łatwo. Skąd bierze się takie u téj dziewczyny, wyrosłéj niby trawka z bruku paryskiego, obeznanéj z życiem za kulisami teatrów paryskich, wypielęgnowanéj na kolanach „Rozity“ a późniéj w rękach „Aurelii“, skąd bierze się w niéj ta moc najczystszych pierwiastków etycznych? Ztąd, że się tak podobało autorowi. Innego wytłómaczenia szukać chyba nie warto.

„Pascal“ zdradził tę, która ukochała go całą duszą i która dla niego porzuciła wszystko, a hrabia „de Serignac“, którego miłość odrzuciła ona dawniéj, kiedy „Pascal“ był przy jéj boku, choć ta miłość, miłość szlachetnego, dzielnego i pięknego mężczyzny, namiętnie wyrażona, poruszyła niedotknięte dotąd struny jéj serca,—hrabia „de Serignac“ wraca teraz i przemawia znowu namiętnie i czule. I biedna „Criquette“ czuje, że tamta pierwsza miłość gaśnie w jéj zbolałém sercu, a nowa budzi się i opanowywa nią. Ale powiedzieć „Pascalowi“, który prosi o przebaczenie: „Nie kocham cię już, kocham innego, i oto on, młody piękny i bogaty,—nigdy!“

Dla czego?

— „Kochać was obu — szepcze umierająca Criquette do stojącego przy jéj łożu hr. „de Serignac“, którego pielęgnując na pobojowisku zaziębiła się — nie byłabym mogła... A więc.. dobrze tak... zupełnie dobrze...“

Dla czego? Dla tego chyba, że podobało się p. Halévy być tym razem idealistą, tak jak po „Criquette“ podobało mu się napisać „Księdza Konstantego.“

„Ksiądz Konstanty“ otworzył Halévy'emu wstęp do „Revue des deux Mondes“ i do Akademii francuskiéj. „Ksiądz Konstanty“ powitany został przez pewną publiczność jako tryumf zmartwychpowstającego i do nowego życia, do nowych świetnych przeznaczeń budzącego się idealizmu. Przez kilka miesięcy cały zastęp samozwańczych krytyków nie przestawał rzucać między nogi Daudetowi i Zoli niezrównanego „Księdza Konstantego.“ Ztąd konieczność dla mnie poświęcenia bodaj jednéj kartki na tém miejscu „księdzu Konstantemu.“ Inaczéj zaniechałbym chętnie tego zadania. „Ksiądz Konstanty“ jest historyą młodéj, kolosalnie posażnéj amerykanki, miss „Percival“, która rozkochuje się w młodym oficerze artyleryi, „Janie Reynaud“, i, dając mu pierwszeństwo przed innymi, hrabiowskimi i książęcymi konkurentami, a widząc potrzebę przezwyciężenia jego szlachetnych skrupułów, oświadcza się sama o jęko rękę; albo téż naodwrót historyą młodego oficera artyleryi, „Jana Reynaud“, który zakochawszy się w kolosalnie posażnéj a przystojnéj skądinąd amerykance, miss „Percival“, i widząc się kochanym, postanawia pod natchnieniem szlachetnych skrupułów, oddalić się na zawsze od jéj boku z ukrytą w sercu tajemnicą téj podzielanéj miłości, ale daje się zatrzymać i powieść do ołtarza.

A „ksiądz Konstanty“? Ksiądz Konstanty gra w téj niewinnéj intrydze epizodyczną rolę poczciwego wiejskiego proboszcza, którego miss „Percival“ i jéj siostra pani „Scott“ pielęgnują i obdarzają hojnie najpierw dla tego, że jest ich proboszczem — pani Scott i jéj siostra należą mimo swego amerykańskiego pochodzenia do wyznania katolickiego — i poczciwym staruszkiem, a późniéj dla tego, że jest wujem „Jana Reynaud“, który korzysta ze spadających na jego ubogą plebanię jak z nieba okruchów amerykańskich kopalń dla uszczęśliwiania dokoła biednych swych parafian i służy do ułatwienia pierwszych stosunków miss „Percival“ z jéj przyszłym mężem, a zresztą nie służy do niczego w powieści. Więc skąd tytuł powieści? To historya długa, jak mówi Grabiec Słowackiego. Ztąd, że tytuł powieści to rzecz niezmiernie ważna; że „ksiądz Konstanty“ to tytuł pełen obietnic dla czytelników, zwłaszcza dla czytelników „Revue

des deux Mondes," którzy domyślają się pod nim mnóstwa ciekawych i ucieszných rzeczy, a choć doznają zawodu to nic nie szkodzi; i ztąd znowu że, kiedy ma się na myśli wizyty u członków akademii, przepisane przez tradycyą kandydatowi do czterdziestego fotelu, dobrze jest mieć z sobą „księdza Konstantego," albowiem księża suknia cieszy się za dni dzisiejszych dobrym zapachem w salonach stołecznych, innych niż salony oficyalne, a wiadomo, iż „Akademia" jest pierwszym z nieoficyalnych salonów stołecznych;—i z wielu względów jeszcze.

Ładną jest zresztą ta postać „księdza Konstantego" i zapewne nawet prawdziwą, choć oczywiście nie typową w swéj idealnéj, seraficznéj doskonałości. I ładną także historya miss „Percival" i artylerzysty „Jana Reynaud": a czy prawdziwą? W chwili prawie, w któréj „ksiądz Konstanty" wychodził z pod prasy, dzienniki stołeczne oznajmiały o zaręczynach pewnéj prawdziwéj *miss* amerykańskiéj, o kolosalném, na kopalniach srebra zahipotekowaném wianie—z pewnym księciem rzymskim. Dajmy zresztą na to, że historya jest prawdziwą, czy prawdopodobną, ale słyszeliśmy już mało sto razy tę historyą! Historya to czapli chodzącéj po wysokiéj desce. Czy potrzebowaliśmy ją słyszéć raz jeszcze? Halévy opowiedział ją po raz setny i któryś z wielkim wdziękiem; dziękujemy panu Halévy, ale wolelibyśmy coś nowszego. Dajmy i na to w końcu, że niemasz nic nowego pod słońcem i że Halévy jest mistrzem w opowiadaniu starych bajek. Bajka to zawsze i nic więcéj, a że Halévy dostał się za tę bajkę do akademii Francuskiéj, dokąd nie dostał się ani Daudet, ani Zola, ani żaden z Goncourt'ów, ani Flaubert, dawniéj, ani Balzac, to może być pochlebném dla pana Halévy,—ale nie dla akademii Fracuskiéj.

Że zaś nie starczy téj bajki i odrobiny wody różanéj, którą rozlał w niéj autor dla odwrócenia bystrego i szerokiego potoku, jakim płynęło w inną stronę natchnienie jego rówieśników, to mi się zdaje także rzeczą niezawodną.

W gruncie rzeczy zresztą „ksiądz Konstanty" zawdzięczył swój rozgłos i swoje powodzenie temu przedewszystkiém, że podpisał się pod nim librecista „Pięknéj Heleny" i autor „Pani Cardinal." I w gruncie rzeczy Halévy pozostanie dla potomności tym librecistą i tym humorystycznym autorem, uczniem, pod względem powieściowéj formy, téj osobnéj szkoły, którą wytworzył tygodnik p. t. „*La vie Parisienne*," z któréj wyszedł swojego czasu Gustaw Droz, wychodzi zaś za dni naszych wyrabiający się talent autorki „Bob'a," „Autour du mariage," „Plume et Poil," itd. (Pani de Martel, podpisującéj się pseudonimem „Gyp"). Talent bardzo niewyrobiony jeszcze, skoro

doczekaliśmy się od niego niedawno téj lichéj a paszkwilem trącącéj ramoty, któréj tytuł „Le Druide“ zdradza dość jawnie skierowane przeciwko dziennikowi „Gaulois“ intencye autorki. Talent drugorzędny, nawet podług miary tego, czego się po nim spodziewać można, i nie zasługujący przeto na obszerniejszą w tych studyach wzmiankę.

3. Szkoła „Revue des deux Mondes.“

Szkoła to osobna, niezaprzeczenie; szkoła nie godząca się niezawodnie, mimo swych klasycznych tendencyi, z tą klasyczną zasadą, iż wszystkie rodzaje są dobre, prócz rodzaju nudnego; szkoła mająca swój własny, osobny i ściśle określony rodzaj, którego granice wytknęli raz na zawsze z jednéj strony Oktawiusz Feuillet z drugiéj Wiktor Cherbuliez i po za któremi niemasz zbawienia dla kandydata do ceglastéj okładki, chociażby temu kandydatowi było na imię Daudet, Zola, albo nawet Dumas syn. Jednemu autorowi „Małżeństwa Piotra Loti“ udało się je przekroczyć, a i to jedną tylko nogą.

Rodzaj to zasadniczo idealistyczny, mimo pretensyi niektórych jego reprezentantów do powinowactwa z Balzac'iem. Najwybitniejszemu z nich, panu Andrzejowi Theuriet, podobało się nawet umieścić w ustach jednego ze swych bohaterów „Michała Verneuil“ (1883) szumny panegiryk wielkiego mistrza „komedyi ludzkiéj.“ Michał Verneuil, tytułowy bohater powieści, popisuje się tym panegirykiem przed mieszkańcami miasta Tours, kędy pełni skromne obowiązki profesora sekundy w miejscowém liceum, żywiąc przytém ambitniejsze nadzieje i występując, dla utorowania im drogi, z odczytami publicznemi. I oto, w ciągu takiego odczytu, spostrzega się młody i początkujący w swym zawodzie prelegent, że jego realistyczne tendencye obrażają obecnego w sali arcybiskupa, zmienia przeto natychmiast ton i treść swéj prelekcyi, wtrąca do niéj improwizowane na cześć chrześciańskiego ideału peryody; kierując się daléj chwytanemi z postawy innych swych słuchaczy wskazówkami, improwizuje przez całą godzinę, dogadzając domyślnym ich upodobaniom i pojęciom, i naturalnie zdobywa powszechny aplauz. Ten młody i początkujący prelegent nie jest bynajmniéj wyjątkowo uzdolnionym mówcą; autor przyznaje mu talent bardzo mierny i gotuje mu najzupełniejsze fiasco za pojawieniem się na katedrze paryskiéj, a jednak zaczyna od tego, że mu każe dokazywać tam, w Tours, takiéj sztuki krasomówczéj, na jaką nie zdobył by się podobno żaden z teraźniejszych, przeszłych i przyszłych prelegentów całego światą. Takim jest realizm pana Theuriet.

Rodzaj pana Theuriet i rodzaj „Revue des deux Mondes“ jest jeszcze i przedewszystkiém zasadniczo konwenansowym. Bo sztuka polegająca na niewolniczém naśladownictwie danego typu nie może jak tylko być konwenansową. Pewna rozmaitość formy i treści dozwoloną jest w tym rodzaju. Można uprawiając go, zawadzić nawet o pornografią jak to uczynił p. Rabusson, w „Dans le monde“ (1883).

„Księżna d'Altenay,“ ulegając czułemu wezwaniu młodego oficera kawaleryi „Rogiera de Tremont,“ przybyła do jego mieszkania, opowiedziawszy w domu, że jedzie na dni kilka do swych dóbr bretońskich:

„Stanąwszy przed łóżkiem, które zdawało się czekać na nią jak ołtarz na swoję ofiarę—chociaż pozostawało wstydliwie przykrytém kretonową swoją zasłoną w kwiatki—Magdalena zarumieniła się bez żadnego wysilenia (*sic*), a gdy Rogier, lubiący jak się zdaje światło, zapalił kandelabry, schowała twarz w ręce, zakłopotana istotnie swoją postawą. Uczuła wtedy, że palce młodego jéj towarzysza, pracujące od niejakiéj chwili z zaciekłością około guzików jéj stanika, dały nagle folgę swéj niecierpliwości. Spojrzała i zobaczyła Rogiera o dwa kroki przed sobą, patrzącego na nią spojrzeniem tak pełném uwielbienia, czułości i posłuszeństwa, że jéj pomięszanie i wstydliwość opuściły ją w téj saméj chwili... Pozwoliła mu wtedy dokończyć niedyskretnéj swéj roboty, którą był rozpoczął tak niezgrabnie. Dopomogła mu nawet; bo w takich razach mężczyzna, któremu pilno, jest niepojęcie powolnym. Poczém oddała się w całości, bez targu, bez dyskusyi, bez afektowanych skrupułów, bez zastrzeżeń w myśli lub czynie... Pięć dni z rzędu trwała prawdziwa orgia miłości; bo dla ludzi zdrowych a tém samém nie nadto skłonnych do metafizyki, miłość jest bankietem raczéj jak idyllą. Magdalena zapomniała o Bretanii, o swoich zaniedbanych majątkach, o czekających na nią dzierżawcach. Zapomniała jeszcze o wielu rzeczach, ale nauczyła się tylu innych, że znalazła się kompensata“...

Oczywiście p. Hennique jest cokolwiek brutalniejszym w opisie analogicznéj i tak samo w wersalskiéj oficerskiéj kwaterze umieszczonéj sceny między panią „Hébert“ a panem „de Ventujol“ (w „L'accident de Mr. Hébert“) ale różnica doprawdy nie wielka.

Można także, jak tego zwycięzko dowiódł młody p. de Bounieres swojemi „Les Monach“ (1884) pogrążyć siebie i czytelników w uciechach salonowéj i skandalicznéj reporterki. Ale trzeba zawsze oblać swoje pomysły tą specyalną mieszaniną eteru i wody różanéj, któréj formułę wynaleźli dwaj mistrzowie szkoły. Można powiedzieć o pani d'Altenay, że miała „ząbki młodego psa bonońskiego,“ ale trzeba dodać, że miała „małą konchę z różowego koralu zamiast ucha“

i wyrazić, że z temi ząbkami i z tą konchą stanowiła „mieszaninę snu i życia, „amalgamat ideału i ciała, poezyi promiennéj i palącéj zmysłowości.“ A zaś jak ognia trzeba się wystrzegać wszelkiéj oryginalności, wszelkiéj pretensyi do indywidualizmu, wszelkiego zapędu w nowe niezwiedzane okolice po niewydeptanych ścieżkach.

Tym sposobem wytworzyło „Revue des deux Mondes“ cały zastęp pod-Feuiľlet'ów i pod-Cherbuliez'ów, którzy, zacząwszy od przepisywania Feuillet'a i Cherbuliez'a, kończą na przepisywaniu samych siebie. Każdy z nich posiada jeden, dwa lub trzy najwyżéj tematy, które obrabia i przerabia z roku na rok. Taki Theuriet trafił na pomysł dwudziesto-kilkoletniego młodzieńca, który zakochuje się w trzydziesto-kilkoletniéj wdowie, żeni się lub chce się z nią żenić, i późniéj dopiero, za późno, spostrzega że ta wdowa ma córkę podobną do siebie ale ośmnastoma laty młodszą, z którego to spóźnionego odkrycia wynikają naturalnie tragiczne komplikacye. W „Michel Verneuil“ młodzieniec ten jest profesorem liceum i żeni się z córką po wymienieniu z matką czułych oświadczeń a nawet uścisków, ale córka dowiaduje się o wszystkiém. W „Sauvageonne“ tenże młodzieniec jest leśniczym rządowym i żeni się z matką, ale zostaje późniéj kochankiem córki, która na szczęście jest tylko córką przybraną. Ten sam to jednak tu i tam młodzieniec, bez żadnéj możliwéj wątpliwości, tak samo pospolity, ani nadto zły ani nadto dobry, ani nadto mądry ani nadto głupi, i ta sama matka, rozsądna, zimna nawet, ale ulegająca późnemu porywowi rozbudzonych zmysłów i ockniónéj wyobraźni, i ta sama córka źle wychowana, ekscentryczna, rzucająca się na szyję mężczyznom, i ta sama powieść.

Wszystkie te postaci należą zresztą do wspólnego wszystkim wychowańcom „Revue des deux Mondes“ magazynu akcesoryów. Z panną „du Coudray,“ którą Theuriet zawodzi, bez asystencyi macierzyńskiéj, naprzód do mieszkania a późniéj w objęcia profesora *sekundy*, „Michała Verneuil,“ spotykamy się i u pana Th. Bentzon'a, w jego „Tête Folle“ (1883). Tylko tu nosi ona imię panny d'Ercquy i wybiera się o północy do lasu dla spotkania pięknego magnata węgierskiego. A niewiem czy i „Lia Monach“ pana de Bonnieres, przyjmująca w swojéj dziewiczéj sypialni—o północy także pięknego Rogiera d'Espagnes nie jest tą samą osobą. Jednak na szarym końcu i jakby z łaski przez wybredny dwutygodnik pomieszczona powieść pana Bonnieres jest może tą z pomiędzy spółcześnie nam przezeń udzielonych, w któréj mieści się największa stosunkowo suma motywów oryginalnych. Obraz izraelskiéj rodziny „Monachów“, wędrującéj z karczmy pod Krakowem na Frankfurt i Wiedeń do Paryża, etapami szybko rosnącéj fortuny, jest z natury pochwyconym i udat-

nym. Bo w żyłach pięknéj Lii płynie krew polskiego, galicyjskiego żydka. Ojciec jéj matki, „Rebb Itzig“ szynkował półkwaterki w okolicach Krakowa, i nie zaniechał tego rzemiosła nawet po wydaniu swéj córki za kantorowicza frankfurckiego, „Monacha“, spotkanego w Toeplitz. W roku 1870-ym cała rodzina, razem z wystraszonemi z Frankfurtu przez wojnę „Monachami“ znalazła się w ubogiéj nadwiślańskiéj karczmie. Niebawem jednak „Monach“ podążył do Wiednia, wzbogacił się tam szybko i nabył tytuł barona. Krach dosięgnął go; ale przeniosłszy się do Paryża, potrafił on niebawem powetować tę klęskę. Charakterystyka moralna tego wędrownego plemienia wskazuje w panu de Bonnieres trafnego badacza. Stara „Monachowa“ jest skrupulatką w materyi religijnéj, utrzymuje przy sobie kantora, młodego i eleganckiego żydka, dla odmawiania modlitw, oraz kucharza purystę, w długim surducie. Syn jéj a ojciec „Lii“ ulega wpływom otaczającego go wśród nowéj fortuny świata, ale drży przed matką i wraca od czasu do czasu, za jéj przyczyną, do zaniedbywanych praktyk religijnych. „Lia“ sama jest już zupełnie wyemancypowaną i kieruje się tylko względami własnéj ambicyi, którym wszelako wchodzi w drogę kompromitująca zapalność krwi wschodniéj i trudnego do utrzymania na wodzy temperamentu. Przywiódłszy młodego i szlachetnego „Rogiera d'Espagnes“ do owych nocnych odwiedzin, które w jego pojęciu przywiązują go do niéj na zawsze, nie umie ona oprzéć się popędowi rozdrażnionéj zmysłowości i rzuca się sama w jego objęcia z namiętnym bezwstydem, który przejmuje go przestrachem i wstrętem. Odpycha on ją i oddala się—co zresztą, mówiąc nawiasem—daje nieszczególne wyobrażenie o jego własnym temperamencie. Za czém obrażona „Lia“ pobudza dawniejszego swego konkurenta, markiza „de Courtaron“ do pomszczenia jéj w pojedynku, który przyprawia o śmierć nieszczęsnego „Rogiera.“ Przed doprowadzeniem nas do téj katastrofy, rozwija Bonnieres przed nami szereg scen z życia paryskiego, namalowanych nie bez werwy, humoru i dowcipu. Ładnym jest obrazek zabawy dobroczynnéj „dla ubogich ułomnych“, urządzonéj staraniem „komitetu dam katolickich“ a kosztem izraelity „Monacha“. „Lia“ ubrana w białą atłasową suknię, pokrytą bukiecikami z naturalnych fiołków,—która to suknia, podług powtarzanéj przez „Monacha“ uwagi, *raz* tylko może być włożoną—sprzedaje kwiaty. Gdy nie staje rozchwytywanych za bajeczną cenę kwiatów, „Lia“ wpada na pomysł sprzedawania po lujdorze bukiecików zdobiących jéj suknię, i naturalnie pomysł ten spotyka się z szaloném powodzeniem. Uzbrojony w nożyczki „Rogier d'Espagnes“ dopomaga do szafowania pachnącego towaru. Ciekawym także opis prywatnego cyrku, w którym kwiat

arystokratycznéj młodzieży popisuje się łamańcami na trapezie i konnemi igrzyskami. Doskonałym nareszcie bal u „Monachów“:

„Z postępem wieczoru coraz to większa swoboda rozprzestrzeniała się między zaproszonymi wszelkiéj kategoryi. Tracono powoli wszelkie uszanowanie dla miejsca i dla gospodarzy. Każdy czuł potrzebę niszczenia się po swojemu za narzucony sobie przepych i zbytek. Używano i nadużywano bufetu ze wstrętném żarłoctwem. Zabierano zewsząd kwiaty, przyczepiając je do gorsów i do klap frakowych. Rabowano zdobiące zimowy ogród winnice tak brutalnie, że w kilku miejscach wisiały wyrwane z ziemi szczepy same. „Monach“ przebiegał salony, rozpromieniony. Widział w tém wszystkiém dowód, że zabawa udaje się. Nie najmniéj dobrze wychowani pozwalali sobie najwięcéj..... Ktoś zaproponował, aby rozrzucić skórki od mandarynek, dla wywracania gości. Inny założył się, że wypije trzydzieści szklanek ponczu. Uczeń ze szkoły politechnicznéj chciał uorganizować pochód studencki, gęsiego (*monôme*). Malarz-dowcipniś, nazwiskiem Serizier, kazał się anonsować: Cerisiez de Montmorency. Przedstawiono go „Monachowi“ jako księcia....“

Wszystko to jest udatném niezaprzeczenie, ale niezaprzeczenie także niema w tém wszystkiém nic, coby postawioném być mogło naprzeciw genialnych kreacyi Daudet'a albo Zoli i wystarczało do przywiązania umysłów i wyobraźni, odciągniętych w inną stronę potężniejszym prądem natchnienia. Niemasz nic z tego, czém narzucają się umysłom i wyobraźniom przeznaczone do takiéj roli dzieła: głębszéj myśli jakiejkolwiek, skierowanéj do jakiegokolwiek ideału tendencyi artystycznéj, filozoficznéj czy humanitarnéj nie szukać w tych ramotach i ramotkach. Szkoła wytworzona przez nadużywającą zdobytego stanowiska „Revue des deux Mondes“ żyje eksploatacyą potężnéj firmy; ale i ta potęga nie ma zapewnionéj przyszłości przed sobą. „Revue des deux Mondes“ doświadcza losu wspólnego wszystkim instytucyom, które stoją na miejscu, śród wiecznym pędem ku tajemniczéj mecie porwanego świata naszego. Spółczesne dźwignięcie się i szybki rozwój kilku współzawodniczących wydawnictw („Nouvelle Revue“, „Revue bleue“, „Revue artistique et littéraire“ i t. d.) wskazują, iż świat poszedł swoją drogą, na któréj pan Brunetière i jego uczniowie zatrzymać go nie potrafią.

4. **Powieściopisarki.**

Georges Sand nie żyje. Może godziłoby mi się ograniczyć do téj nekrologicznéj wzmianki mój przegląd spółczesnego niewieściego powieściopisarstwa. Nie mam bowiem i nie mogę mieć zamiaru być

wyczerpującym na tém miejscu. Poprzestać mi wypada na zaznaczeniu wybitniejszych objawów twórczości piśmienniczéj w obranym za przedmiot studyów niniejszych rodzaju; z pomiędzy zaś uprawiających dziś ten rodzaj piór niewieścich żadne podobno nie objawiło swéj wyższości jakiémkolwiek dziełem zasługującém z tego względu na rozbiór szczegółowy. Z wyjątkiem zresztą pani Durand (Henry Gréville), spadkobierczynie dzisiejsze „Lelii“ i „Korynny“ są raczéj dyletantkami niż powieściopisarkami z rzemiosła. W godnéj przekazanego sobie imienia córce marszałka Davoust, margrabinie de Blocqueville wspominać będzie przyszłe pokolenie raczéj jednę z ostatnich wielkich dam świata tutejszego, i gospodynią ostatniego podobno z prawdziwych, wszystkim arystokracyom otwartych salonów, niż autorkę kilku powieści, o których mówi się: *„il y a de belles pages“*, tak jak w słynnéj komedyi Pailleron'a nieoceniony generał mówi o odczytanéj przed nim tragedyi: *„il y a un beau vers.“* Podobnież i urocza Julietta Lamber (pani Adam), jeżeli zdarzy się jéj przejść do potomności, przejdzie do niéj jako jedna z przyjemniejszych kobiet tego czasu, szczęśliwa na chwilę wskrzesicielka, w swoim salonie przy bulwarze Poissonière, nieśmiertelnych tradycyi pani Récamier i redaktorka „Nouvelle Revue“, nie zaś jako autorka „Poganki“ („Païenne“, 1883). W przedmowie do téj ostatniéj powieści, czytam pod adresem Aleksandra Dumasa, syna:

„Tobie jednemu, kochany przyjacielu, mogłam przypisać tę *Pogankę.* Nie podoba ci się ona, ponieważ jest apoteozą miłości; znajdziesz w niéj atoli podwójny prąd mistyczny i zmysłowy, który dostarczy ci, jak sądzę, ciekawego przedmiotu do obserwacyi.“

Nie wiem czy i co Aleksander Dumas znalazł w zaleconym sobie „podwójnym prądzie“, ponieważ nie zwierzył się z tego przed nikim; osobiście nie potrafiłem znaleść w nim nic, prócz staréj kłótni między platoniczną a zmysłową miłością, utopionéj w powodzi liryczno-dytyrambicznych, po części od „Lelii“ i „Korynny“ zapożyczonych frazesów i prócz wielkiéj liczby nie usprawiedliwionych niczém, jak mi się zdało, pretensyi.

Mniéj pretensyonalną nierównie jest pani Henry Gréville, autorka dobrze czterdziestu, jeżeli nie więcéj, nie próżnujących na półkach romansów, których ambicya nie sięga pospolicie po za skromną intencyą zabawienia specyalnéj, przeważnie niewieściéj klienteli szeregiem mniéj lub więcéj udatnie zawiązanych i rozwiązanych intryg. Długi dawniejszy pobyt w Rosyi, dokąd zawiodły autorkę koleje pierwotnego zawodu nauczycielskiego, skłania ją do częstego obcowania ze światem tamecznym, jego krajobrazami i postaciami, a nie pozostaje nawet obcym podobno pewnym właściwościom jéj stylu.

Nierzadko téż posługuje się ona wspomnieniami anegdotycznemi, wywiezionemi z dalekiego tego wygnania, które zresztą nie zostawiło jéj, jak się zdaje, zbyt przykrych wspomnień. Do takiego anegdotycznego rodzaju należy np. wielką poczytnością ciesząca się „Raïssa.“ Historya to, prawdziwa podobno, ubogiéj dziewczyny, zgwałconéj przez oficera od kawalergardów, którego cesarz skazuje na poślubienie swéj ofiary, utratę majątku na jéj rzecz i wydalenie do Syberyi. „Raïssa“ daje się powieść do ołtarza, ale nie przyjmuje majątku, odsyła skrupulatnie zbierane przez się z wielką zabiegliwością dochody przymusowemu małżonkowi; gdy zaś ten zapada na tyfus, biegnie śród zimy pielęgnować go. Oczywiście tyle poświęcenia nie pozostaje bez nadgrody (inaczéj pani Gréville nie byłaby idealistką i nie mówiłbym o niéj na tém miejscu) i z woli monarchy za „Pompiliusza“ wydana, „Numa“ zostaje żoną Pompiliusza z jego wyboru.

Milszą czułym sercom niewieścim i rozmarzonym wyobraźniom od téj cokolwiek awanturniczéj bohaterki jest „Sonia.“ Typ to dość wdzięczny, najwdzięczniejszy podobno z tych, które wyszły z pod tego samego pióra, tylko nie całkiem oryginalny, coś nakształt Goethowskiéj „Mignon“, przeniesionéj nad Wołgę. „Sonia“ jest biedną sierotką, wydartą znęcającym się nad nią rękom przez ubogiego studenta, wychowana przezeń czy przez jego matkę, przyjęta za sługę, a wreszcie poślubiona, po zawiedzionych nadziejach związku z piękną i dumną „Lidią“ córką generałowéj „Gorelin.“ Kontrast między płochą miłością „Lidyi“ z głębokiém przywiązaniem „Soni“; rozwój i stopniowe przekształcenie tego ostatniego przywiązania, zrazu instynktowego, zwierzęcego prawie, późniéj niewolniczego, aż wreszcie prawdziwém kobiecém natchnionego uczuciem; walka dwóch uczuć w sercu, namiętną miłością dla „Lidyi“, tkliwą czułością dla „Soni“ przejętego młodzieńca, wszystkie te z prawdziwym artyzmem oddane i zestawione rysy przynoszą zaszczyt autorce. Generał „Gorelin“ poczciwy wojak, nieustraszony przed armatami a drżący przed obliczem małżonki i szukający ucieczki przed dolegliwościami małżeńskiego pożycia w obcowaniu z dwoma tuzinami kolejno zapalanych fajek, jest także doskonałym, ale także nie nowym. Co widać tu nowego, to jakiś religijno-mistyczny nastrój ducha, może trafnie zaobserwowany, może należący istotnie do oryginalnych przejawów ludowego geniuszu rosyjskiego, ale trochę niespodziany u czternastoletniéj Soni i trochę fantastyczne w niéj przybierający kształty. Wobec rozpaczającego przy zwłokach ukochanéj matki pana swojego, czternastoletnia, nawpół dziecinna a nawpół dzika „Sonia“ przeobraża się nagle w kapłankę jakąś, napominającą poważnemi i uroczystemi słowy do rezygnacyi i męskiéj stałości, w Sybillę prze-

mawiającą z trójnoga. Pani Gréville jest zapewne tego zdania, że „quand on prend de l'idéalisme, on ne saurait trop en prendre.“

Pełną życiowéj obserwacyi i z natury żywcem uchwyconych szczegółów jest historya „Kumiasynów“ („Les Koumiassine“, 1875), ale także utopiona w bezmiernéj powodzi idealizmu. Idealnie dobrym okazuje się książę „Szuroff“, idealnie złą hrabina „Kumiasyn“ idealnie poczciwą guwernantka szwajcarka, panna Bochet. Guwernantki są zawsze idealnie poczciwemi w powieściach pani Gréville. Nadto przytém, tu i wszędzie, we wszystkich utworach szanownéj autorki, natłoczonego bogactwa scen, obrazów i obrazków niezawsze usprawiedliwionych dającym się przywiązać do nich interesem. Nadto rozwlekłości i rozwodnienia. Znać, iż autorka pisząc, ma dużo czasu przed sobą, a nie znać aby przypuszczała, iż czytelnik może być mniéj obficie zaopatrzonym w tym względzie.

Ostatecznie dużo tu rzeczy ładnych, ale sporo także mdłych i ckliwych; dużo prawdziwych, ale tyleż samo co najmniéj fantastycznych. Nikt się tém nie otruje, ale mało kto się pożywi.

W tych samych mniéj więcéj granicach, tylko z nierównie więcéj ograniczoną miarą artystycznych zasobów, idealistkami są wespół z autorką „Raisy“ i „Soni“ wszystkie — po za panią Adam — spółczesne przedstawicielki niewieściego w formie powieściowéj natchnienia. Okoliczność to niezaprzeczenie pochlebna dla zaszczyconego takim wyborem artystycznego kierunku, ale nie mniéj niezaprzeczenie nie wystarczająca dla zabezpieczenia jego losów.

Ostatecznie cierpi idealizm spółczesny na brak niezbędnego w każdym kierunku, ale w tym kierunku właśnie niezbędniejszego jeszcze pierwiastku życiowego: na brak idei i ideałów.

K. Waliszewski.





ZARAZA MORALNA.

O Zarazie moralnéj. Studyum psychologiczno-społeczne przez J. Wł Dawida. Warszawa, 1886. str. 224.

Tytuł książki sam wskazuje, że treść jéj należy częścią do etyki, a częścią do psychologii; jeżeli zaś autor ogół rozstrząsanych zjawisk nazwał *Zarazą*, to oczywiście jest-to tylko przenośnią. Pewien ruch, uczynek, słowo tylko przenośnie można zarazkiem nazywać; niemniéj utarło się nawet w mowie potocznéj nazywanie pewnych objawów niemoralnych, częściéj się powtarzających w społeczeństwie, epidemiami. Ale jeżeli takie objawy ujemne nazwano epidemiami, musi zachodzić niejakie podobieństwo między procesem, jaki zarazek materyalny sprawia w organizmie fizycznym jednostkowym, a procesem, jaki w organizmie umysłowym, psychicznym sprawia niemoralny czyn lub słowo. I tak jest w istocie; podobieństwo między obu procesami zachodzi, i na téj analogii można budować studyum o zarazie moralnéj, pamiętając jednak, zwłaszcza przy wyciąganiu wniosków, że to tylko podobieństwo.

Już starzy wiedzieli, że człowiek jest zwierzęciem najbardziéj naśladowczém, *zoon mimekotaton*; jest-to wielki dar natury, na nim bowiem, tj. na téj zdolności do naśladowania innych, polega cała pierwszych lat naszych edukacya. Nim człowiek ile-tyle dojrzeje, nim się w nim rozwinie świadome działanie, żyje naśladownictwem; co ważniejsze, ogromna większość rodu ludzkiego nie wychodzi poza naśladowanie, nie pozbywa się téj owczéj właściwości do śmierci. Jabłko pada niedaleko od jabłoni. Na wzór rodziców urabiają się dzieci, a na wzór króla, dwór jego. Jeżeli ojciec uprawia jakieś rzemiosło, naukę, sztukę; jest bardzo prawdopodobném, że syn nabierze do nich zamiłowania. Uczeń w szkole naśladuje najdzielniejszego kolegę; stara się tak samo jak on nosić włosy, paznogcie, krawat. Na téj dążności do naśladowania polegają mody. Rzecz to znana, więc dość o niéj napomknąć, ażeby przed umysłem czytelnika stanę-

ły całe szeregi faktów z życia towarzyskiego, świadczące o skłonności przyrodzonéj człowieka do naśladowania. Mając na uwadze tę właściwość psychicznéj strony człowieka, spotykaną powszechnie i w świecie zwierzęcym, przynajmniéj w wyższych gatunkach zwierząt, możemy zrozumiéć wpływ otoczenia ludzkiego na jednostkę, zarówno w dodatnim, jak i w ujemnym kierunku. Autor roztrząsanéj tu książki wziął sobie za zadanie rozważyć właśnie wpływ otoczenia na człowieka pod tym ostatnim względem, mianowicie, o ile ono przez czyny i słowo oddziaływa na jego demoralizacyą.

Ażeby zrozumiéć zjawiska stanowiące zarazę moralną, potrzeba wziąć pod rozbiór dwie strony: człowieka i jego otoczenie, czyli świat ludzki, w jakim żyje. Ponieważ zaraza moralna polega na naśladownictwie czynów, uznawanych za niemoralne, więc trzeba zacząć od analizy naśladownictwa. Usposobienie do niego stanowi powszechną właściwość duszy ludzkiéj, szczególniéj we wcześniejszym peryodzie życia, lub téż przy braku uprawy umysłowéj, przy żartkich namiętnościach, a niewyrobionéj woli. Dzięki kojarzni wyobrażeń, widok cudzego ruchu prawie mimowiednie pociąga za sobą z naszéj strony ruch podobny i to tém pewniéj, im bardziéj usposobienie nasze, czyli predyspozycya, ku temu się nadaje. Predyspozycya taka może leżyć zarówno w psychicznéj, jak i fizycznéj, albo lepiéj fizyologicznéj, stronie człowieka. Szczególniéj pod tym względem zasługują na uwagę stany nerwów; jednostki zbyt żywo czujące, wogóle newropaci, pochopniejsi są do naśladowania podniet, dochodzących z zewnątrz, aniżeli organizmy silne. Pomijając objawy patologiczne i nie wdając się w rozstrzyganie, o ile każde zboczenie moralne, będące niby chorobą duszy, wynika z zachwianéj równowagi sił organizmu, a ile w akcie niemoralnym przypada na dziedziczność; przejdźmy do wpływu, jaki otoczenie wywiera na jednostkę. Tu już mamy do czynienia z faktami konkretnemi, które autor bierze z naszego społeczeństwa. I tu jednakże trzeba poprzestać na ogólnikach, dla braku ile-tyle wiarogodnéj statystyki. Do ogólników należą takie np. twierdzenia: „Klasa bogatych właścicieli ziemskich, kapitalistów, rentierów przepędza większą część dnia, roku w bezczynności"; w klasie najuboższéj „część pewna nie pracuje wcale dla braku pracy, z lenistwa lub pijaństwa... robotnik fabryczny, szwaczka, pracując, mogą jednocześnie marzyć, przyglądać się, słuchać opowiadania... Kobiety, prócz może klasy najuboższéj, pracują mniéj od mężczyzn, a przytém praca ich przeważnie mechaniczna pozwala na względną bezmyślność" (54—55). Twierdzenia te, niczém nie poparte, wyglądają na ogólnikowy morał, a nadto grzeszą nieprawdą psychologiczną, albowiem nawet przy pracy mechanicznéj, jeżeli się

ją jako-tako odbywa, ani marzyć, ani przyglądać się jednocześnie niepodobna, chyba może przy robieniu pończochy, lub toalecie. Za to prawdą jest, że niektóre klasy pracujących jak np. po biurach, szkołach, późniéj zaczynają robotę, niż w innych krajach, że niektóre warstwy, tak zwane inteligentne do późnéj nocy przeciągają zabawy, a tém samém nazajutrz dłużéj spać muszą, i że wogóle jesteśmy narodem bardzo próżniaczym. W takiém otoczeniu młodsi i starsi znajdują niemało podniet do występku; jeżeli zatém w nich samych znajdą się czynniki takie, jak i pożądanie zysku, odziedziczone instynkta złośliwe i wstręt do życia, zjawią się niechybnie i występki. Przeciwko występkom działa represya sądowa, i opinia; pierwsza z nich została sparaliżowana przez wyjęcie wielu wykroczeń z pod kompetencyi władz administracyjnych i oddanie zwykłym sądom, które znów mniéj energicznie mogą dochodzić winy z powodu licznych formalności, krępujących postępowanie śledcze. Autor zdaje się nad tą zmianą procedury ubolewać zgodnie z mnóstwem spółczesnych ludzi; ale i sądy administracyjne, dawniejsze, nie były tak idealne: ukrócenie ich samowoli nie byłoby złém samo w sobie, lecz gdy do téj zmiany przyłączyły się pewne teorye deterministyczne, widzące w zbrodniarzu chorego, a w zbrodni chorobliwe zboczenie, zależne od odziedziczonéj organizacyi, to w istocie mógł się obniżyć moralny poziom społeczeństwa. Co się tyczy opinii jako środka powściągającego czyny niemoralne, należy zauważyć, iż bywa ona dwojakiego rodzaju; przemytnicy i koniokrady mają swoję opinią a znów skarb i właściciele koni, swoję; opinie te są oczywiście sobie przeciwne. Wiedząc, jak powstaje opinia, niewiele na nią można liczyć w powściąganiu występków; może ona być uważana za karę odstraszającą tam tylko, gdzie ogół mieszkańców uczciwy, a jednostki występne są nieliczne i odosobnione. W wielkich miastach, opinia o jednostkach, zwłaszcza pospolitych, przestaje ścigać winowajców, gdy się przeprowadzą na inną ulicę: słowem, opinia, jako hamulec występku, okazuje się bardzo niedostatecznym środkiem powściągającym. Dzięki szerzeniu się czynów występnych cała atmosfera publiczna przesiąka niemi i wówczas opinia także staje się dla nich pobłażliwszą, albowiem sama publiczność znajduje w sobie grunt do sympatyzowania z występnymi. Na to wszystko można się zgodzić z autorem; trudniéj przystać na twierdzenie, że między przyczynami powodującémi większą pobłażliwość dzisiejszéj opinii, mieści się również „rozpowszechnienie i ugruntowanie pojęć demokratycznych" (90). Argumenta przytoczone w książce na poparcie tego zdania, niekoniecznie przekonywają czytelników.

Oprócz sprawiedliwości karzącéj i opinii, na powściąganie naśladowania czynów niemoralnych wpływa téż i religia: ale o ile wpływa, daleko trudniéj rozstrzygnąć, niż gdy chodzi np. o wpływ kodeksu karnego. Autor nie dodaje, o jakiéj religii mówi; bo, że nie wszystkie jednakowo wpływają na czyny ludzkie, rzecz pewna z porównawczéj historyi religii. Klasyfikując znów religijność rozmaitych warstw, autor czyni dowolne przypuszczenie, jakoby wśród naszéj młodzieży szkolnéj zakładów średnich i wyższych miało być nie więcéj jak około 5% wyznających chociażby deistyczną formę religii (95). Wszelka statystyka musi pod tym względem chybić; do duszy ludzkiéj, do sumienia trudno zajrzéć a témsamém ocenić, o ile pewne pojęcia religijne prowadzą za sobą takie, a nie inne czyny, zwłaszcza, że na czyny ludzkie składa się mnóstwo pobudek, śród których religijne mogą się tylko w pewnéj mierze przyczyniać. Kto „w głębi duszy wyznaje wzniosłe zasady bezinteresowności i miłości bliźniego" ten nie może być „nieuczynnym, chciwym, wyzyskującym cudzą pracę" (97). Jeżeli zaś jest takim, to w głębi duszy owych zasad nie wyznaje: silne, głęboko tkwiące w duszy przekonania i zasady prowadzą do odpowiednich sobie czynów; jeżeli nie prowadzą, to nie były głęboko zakorzenione, i w walce z namiętnością lub interesem uległy. Chcąc z tego dylematu wyjść obronną ręką, autor zbija „domniemanie," iż człowiek jest istotą „jedną albo jednolitą" i na dowód tego szuka przykładu w patologii. Przykład ten mamy szczegółowo opisany w monografii dra A. Berjona (*La grande Hystérie chez l'homme*—1886). Chory czuje się raz w jedném miejscu inną osobą, drugi raz, w innéin miejscu znów inną, a te zmieniające się stany jego świadomości czyli osobowości lekarze wywołują w nim dowolnie. Fakt nadzwyczaj interesujący dla psychologa, ale gdyby podobnych było więcéj, jeszcze stan anormalny chorego, nie może decydować o funkcyonowaniu świadomości w stanie normalnym; w stanie normalnym czujemy się sobą do końca życia. Przerwa świadomości jest niewątpliwie wynikiem nieładu w organizmie, i fakta podobne wspomnianemu świadczą jedynie o zależności działań umysłowych od funkcyi somatycznych, lecz nie mogą zachwiać bezpośredniego czucia, że jesteśmy, pomimo wszelkich zmian, sobą, że nie tracimy poczucia swojego *ja*, swojéj osobowości. Dowód wzięty z powyższego faktu nie rozstrzyga zatém ani pytania o jednolitości naszego *ja*, ani o wpływie pojęć religijnych na powściąganie człowieka od czynów niemoralnych. Wpływ ten jest większy, niż autor przypuszcza, w tych zwłaszcza sferach, gdzie brak innych pobudek do działania: ale o tém statystyka mało, lub nic nie może powiedzieć. Pomimo tego w dalszym ciągu rozbieranego pytania, autor

mniéj przypisując wpływu wierze religijnéj na hamowanie występków, przyznaje, iż może ona „działać dobroczynnie, utrudniając wyrabianie się podniet, zmniejszając dla nich usposobienie w człowieku“ (115). O to właśnie chodzi. Dlatego też godzimy się z autorem, gdy mówi, że religia „zajmując umysł człowieka obrazami nadziemskiego szczęścia, piękna i sprawiedliwości“, może powściągać gonienie za rozkoszą zmysłową, za użyciem, a podnosić żywotność organizmu i czynić go zdolniejszym do znoszenia trudów i cierpień.

Innym czynnikiem, powściągającym człowieka od naśladowania czynów niemoralnych, jest „uczucie moralne, uważane jako uczucie obowiązku“ (118). Autor uczucie to uważa za czynnik „o wiele donioślejszy od wierzeń religijnych.“ Może tak być w bardzo szczupłéj liczbie ludzi gruntownie ukształconych, oddzielających w swojéj świadomości nakazy religijne od kategorycznego imperatywu moralności; ale dla całych mas, tak dobrze w naszém społeczeństwie, jak i gdzieindziéj uczucia i nakazy religijne nie różnią się od moralnych i pierwsze drugim nadają sankcyą; wspiera je w téj sankcyi prawo karzące, opinia: zawsze jednak one udział w niéj mają. Co może znaczyć kategoryczny imperatyw Kanta dla milionów ludzi nie wiedzących, co prawa, a co lewa ręka? Jeżeli zaś odróżniają prawą od lewéj, to sfera ich uczuć i wiadomości niewiele daléj sięga.

Jeszcze mniéj nas zadawalnia twierdzenie autora, jakoby to uczucie moralne, było instynktem odziedziczonym. Nie sądzimy, ażeby za pomocą teoryi ewolucyjnéj, można było wyjaśnić rodowód tego, co nazywamy sumieniem, czy instynktem moralnym. Można uważać za pewne, że nie przynosimy z sobą na świat żadnych wiadomości, a témsamém odróżnienia dobra od zła moralnego. Co najwyżéj, przynosimy taki lub inny organizm, mniéj lub więcéj sposobny do przyjęcia takich lub innych wrażeń, przynosimy z sobą pewne dążności w nim złożóne, a więc odziedziczone; resztę, cały świat idei wyrabia w nas otoczenie (*le milieu*).

Wpływu oświaty, a bliżéj mówiąc ukształcenia, jakie dają szkoły elementarne, średnie i fachowe czyli specyalne, na umoralnienie człowieka, autor nie przecenia, utrzymuje nawet, że rozpraszając niektóre przesądy, oświata podkopuje pewne wierzenia zbawienne, religijne, społeczne, wcześniéj, niż na ich miejsce zdoła postawić hamulec rozumowy (141). Wyjątek od tego stanowią: etyka, historya i literatura, jako wprowadzające do umysłu pewien zasób wyobrażeń moralnych. Rozważając ten przedmiot, tj. wpływ oświaty na umoralnienie społeczeństwa, autor często zwraca się po przykłady do stosunków miejscowych. Słusznie zaznacza, że interesa umysłowe tém lepiéj

mogą się rozwijać, im społeczeństwo znajduje się w lepszym dobrobycie materyalnym (156). Otóż ten dobrobyt, po ostatnich klęskach, stał się głównym celem uczuć i usiłowań mnóstwa ludzi „z ujmą dla interesów idealnych“ (?). Czy tak jest w istocie? Czy autor nie poszedł w tym sądzie, za mniemaniem dość powszechném, jednak nie bardzo zasadném. Patrząc uważnie na spółczesnych od ćwierć wieku, stykając się z mnóstwem młodzieży, nie dostrzegliśmy obniżenia idealnych celów w dzisiejszém pokoleniu. Ale jeżeli prawdą jest, o czém sam p. D. nie wątpi, że bez środków materyalnych, idea nic nie poradzi; więc nic dziwnego, a tém mniéj nagannego, nie widzimy w tém troskaniu się o chleb powszedni ze strony rodziców i dzieci. Tak samo nie dziwimy się, że w uniwersytecie tutejszym przeważa frekwencya medyków nad innemi wydziałami; nie stanowi to dowodu obniżenia dążeń idealnych, lecz jest koniecznem następstwem naszego społecznego położenia: usuwa nam się ziemia z pod nóg, a człowiek może snuć ideały dopiero po zaspokojeniu żołądka.

Reasumując w ostatnich rozdziałach analizę czynników dodatnich i ujemnych, tamujących lub przyśpieszających działanie zarazka moralnego; rozebrawszy wpływ, jaki wywiera oglądanie, słyszenie i czytanie o występku, autor konkluduje: „Im więcéj złych czynów spełnionych, tém więcéj spełnioném być musi w najbliższéj przyszłości.“ Jeszcze więc o ostatnich rozdziałach i o konkluzyi słów parę.

W rozdziałach tych prawie na wszystko pisać się można, co p. D. mówi o ujemnym wpływie oglądania, słuchania i czytania o występku; czy jednak w literaturze naszéj powieściowéj przeważają obrazy i charaktery ujemne nad dodatniemi (217), tego nie śmielibyśmy twierdzić. Więcéj jednak, niż ta wątpliwość uderzyła nas konkluzya: „im więcéj złych czynów spełnionych, tém więcéj spełnioném być musi w najbliższéj przyszłości.“ Nic-że nie znaczy przeciwdziałanie woli jednostkowéj i zbiorowéj? Czyliżby po takiéj konkluzyi nie należało iść z kamieniem do dna? Nie; wola, bez względu na teorye o jéj pochodzeniu, rozwoju i determinacyi przez czynniki, leżące w jednostce i w otoczeniu, pozostanie przy inicyatywie do poprawy złego, do powstania z upadku; konieczność, o jakiéj mowa w świecie moralnym, inną jest od konieczności fizycznéj; więc téż z tego, że popełniono w danéj społeczności taką a taką sumę czynów niemoralnych, nie wynika, że w najbliższéj przyszłości *musi* być znów tyle, lub więcéj takichże czynów popełnionych. Będziemy usiłowali, *conabimur*, opierać się zgubnemu działaniu wszystkich czynników ujemnych—tak mówi dzielniejszy człowiek, a już w tém usiłowaniu leży cecha wyższego stopnia moralności. W przeciwnym razie, gdyby téj inicyatywy w nas nie było, gdyby fatalnie po złém

jeszcze gorsze musiało następować, próżnaby była nasza wiara, a nietylko wiara, lecz i przekonanie, o możliwości postępu.

Różniąc się z autorem niniejszego studyum w niektórych pojęciach etycznych i psychologicznych, spotkaliśmy daleko więcéj takich, na które można się zgodzić. Z uznaniem trzeba podnieść spokojny, metodyczny sposób traktowania rzeczy, analizę bystrą w wielu kwestyach, szczególniéj, w rozdziale gdzie mowa o naśladownictwie. Obiecujemy sobie powitać w autorze psychologa niepospolitéj siły; dowodem tego dawniejsze jego mniejsze i to obecne większe studyum, pisane rozważnie, z intencyą obywatelską, językiem dość poprawnym, może trochę w tonie pesymistycznym, ale kto z nas dzisiaj może być optymistą?

F. Kr.





OSTATNIA POWIEŚĆ HISTORYCZNA
Z. KACZKOWSKIEGO.

Zygmunt Kaczkowski: Abraham Kitaj, powieść z czasów Jana III.

W r. 1884, gdy powieść Sienkiewicza „Ogniem i mieczem“ wyszła w osobnéj odbitce, Kaczkowski w szeregu listów do A. Z. napisał bardzo obszerne i bardzo szczegółowe nad nią uwagi. Pod względem objętości przypominała ta praca młodzieńczy list tegoż autora o „Deotymie w Krakowie,“ ale pod względem nastroju była od niego całkiem odmienna. Gdy w owym liście sypał same entuzyastyczne pochwały, tu mówiąc ze szczerém ale rozważném uznaniem o znakomitym talencie młodego powieściopisarza, wytykał równocześnie wielkie wady zarówno w pomniejszych jego nowelach jak i w „powieści z dawnych lat.“ Nie na miejscu by tu było powtarzanie zarzutów szczegółowych co do układu, opisów i charakterów, ale nie podobna nie wspomnieć o zarzucie ogólnym. Największym błędem powieści „Ogniem i mieczem“ jest, zdaniem Kaczkowskiego, brak w niéj myśli dziejowéj; ciało historyi odtworzone tu zostało pięknie, niekiedy wspaniale; ale ducha w niém niema. Uzasadniając doniosłość tego zarzutu, Kaczkowski uogólnia swe wymagania od powieściopisarza historycznego w słowach następnych (1).

„Zapewne, że nie każdemu jest dane, kto wziął pióro lub pędzel do ręki, objąć całą ideę dziejową i ożywić jéj duchem obraz przedstawionéj epoki; ale zawsze mamy prawo wymagać, abyśmy widzieli przynajmniéj usiłowanie, ażebyśmy przynajmniéj spostrzegli zrozumienie najwyższéj dla historycznego powieściopisarstwa zasady—a zasadą tą jest: iż właściwém zadaniem historycznego poety nie jest to, ażeby tę lub ową dobę dziejową w jéj odosobnieniu wiernie

---

(1) Zob. „Wędrowiec“ 1884, N. 42.

odtworzył, ale przeciwnie, aby przedstawił, jak duch dziejowy, jak geniusz narodu się w danéj epoce i w danych wypadkach wyraził. Jednem słowem: dziejowa myśl powinna być celem, a epoka środkiem, a nie odwrotnie. Takie pojęcie zadania poety, pracującego na polu historyi, jest bezwątpienia nowszych czasów nabytkiem... Wiek dziewiętnasty... ducha dziejów tak dobrze odsłonił, jak archeologowie powygrzebywali guziki i sprzączki najdawniejszych kaftanów rycerskich. Dzisiaj téż słusznie wymaga się od powieściopisarzy historycznych odtworzenia przedewszystkiém ducha dziejów, a obraną przez nich epokę uważa się tylko jako miejsce i środek, w którym i za pomocą którego ten duch ma się wyobrazić przed nami. Przed laty trzydziestu pojęcia te znajdowały się jeszcze zaledwie w stanie przeczucia, lecz dzisiaj stały się już własnością umiejętnéj krytyki u wszystkich oświeconych narodów; dowiedlibyśmy zatém tylko, iż nie dotrzymujemy kroku postępowi oświaty ogólnéj, gdybyśmy ich nie uczynili także naszą własnością.“

Takie względem innych stawiając wymagania, usprawiedliwiał się wprawdzie Kaczkowski ubocznie z braków powieści swych dawniejszych, ale zarazem poddawał się ciężkim warunkom na wypadek, gdyby się napowrót wziął do uprawy téj niwy od tak dawna przez siebie zarzuconéj. Jakoż wieść, iż Kaczkowski pisze powieść z czasów Jana Sobieskiego obudziła wśród inteligencyi bardzo poważne zainteresowanie, gdyż każdy był ciekaw, czy i o ile krytyk Sienkiewicza uczyni zadość wielkiemu zadaniu, które powieściopisarstwu historycznemu naznaczył.

Gdy się oczekiwany ciekawie „Abraham Kitaj“ drukować zaczął, nie potrafił zająć uwagi czytelników w takim stopniu, w jakim interesowały powieści Sienkiewicza; nie można w nim było odnaleść ani téj plastyki charakterów, ani téj barwności kolorytu, ani tych szczegółów zajmujących, co w utworach Litwosa; a tok opowiadania bywał nawet niekiedy nudnie kronikarskim. Wybrawszy temat opowieści z téj chwili dziejowéj, w któréj Polacy po raz ostatni za bytu Rzeczypospolitéj zabłysnęli wielkim czynem dziejowym na widowni europejskiéj, gromiąc Turków pod Wiedniem, nie mógł oczywiście autor pominąć faktu tego milczeniem, ale zamiast użyć całego swego talentu na jego zobrazowanie, wolał go przedstawić sucho i bezbarwnie, topiąc go tym sposobem w morzu drobiazgów życia rodzinnego i towarzyskiego. Tym sposobem ominął samochcąc sposobność ujęcia sobie czytelników za pośrednictwem przemówienia do ich serc i wyobraźni wspomnieniem świetnych czynów przeszłości.

Ale tu właśnie nastręcza się pytanie, czy Kaczkowski nie zrobił tego naumyślnie. Wszak nie wszystko, co jest poczytne i popu-

larne, już przez to samo za doskonałe uznane być winno; wszak nie wszystko, za czém ogół przepada, na uznanie głębszéj rozwagi zasługuje. Może autorowi chodziło o dokonanie zadania donioślejszego niż rozciekawienie czytelników lub téż schlebianie ich upodobaniom? Może w myśl swojéj teoryi powieściopisarstwa historycznego pragnął przedstawić przedewszystkiém ducha dziejów z całą możliwą dokładnością, a chcąc tego dopełnić nie mógł opisowi wiktoryi wiedeńskiéj nadać większego znaczenia, niż je miała w rzeczywistości?

Jakoż jeżeli z tego punktu widzenia rozejrzymy się w „Abrahamie Kitaju“, to nas owo kronikarskie przedstawienie zwycięstwa pod Wiedniem razić już tak bardzo nie będzie. Zwycięstwo to jak meteor zalśniło na chmurném niebie Rzeczypospolitéj, ale ani chmur, coraz większemi zastępami zbierających się nie rozproszyło, ani tém bardziéj słońca lepszéj przyszłości nie ukazało. Ani przez króla, ani przez naród nie było ono wyzyskane pod względem politycznym, ani zewnętrznie co do stanowiska Rzeczypospolitéj wobec potęg europejskich, ani wewnętrznie co do urządzenia skarbu, wojska i wymiaru sprawiedliwości. Jak przed niém, tak i po niém Polska była już czémś bardzo małoznaczącém w Europie, a we wnętrzu swojém téż same miała czynniki rozstroju, tylko że się one z każdym lat dziesiątkiem zwiększały. Gdyby Kaczkowski uczynił był zwycięstwo wiedeńskie środkowym punktem powieści, to niewątpliwie mógłby artystycznie podnieść ją znacznie, a przytém połechtałby przyjemnie uczucie dumy narodowéj; ale by się minął z prawdą historyczną i nie odtworzyłby owego ducha dziejów, co za przedniejsze zadanie utworu takiego poczytywał. W niczém nie ujmując doniosłości samemu faktowi, wolał jednak obok niego postawić dalsze trzy niepomyślne wyprawy przeciwko Turkom z jednéj strony, a z drugiéj odmalować rozmaite choroby, na które Rzeczpospolita cierpiała. Obok dzielności i odwagi w boju, obok szlachetności charakterów przedstawił więc niekarność, prywatę, samowolę, nieradność społeczeństwa, a przedewszystkiém słabość siły wykonawczéj, która sprawiała, że postanowienia i wyroki były przedmiotem naigrawania się większych i mniejszych łotrzyków.

Na tak zrozumianém tle czasu daje się dopiero należycie zrozumiéć awanturnicza historya Abrahama Kitaja.

Ten mieszaniec z ojca Polaka i matki Węgierki, ochrzczony Abrahamem, na pamiątkę oszukaństwa ze strony teścia względem zięcia, wychowany po śmierci rodziców przez kasztelana Fredrę, już młodzieńcem zdradzał namiętne a burzliwe usposobienie, kiedy się puszczał w zaloty do swego opiekuna. Rozstawszy się z nim, prze-

był szkołę życia w rozmaitych okolicach kraju i zagranicy, wyćwiczył się w rzemiośle wojennem, wypolerował się w formach towarzyskich, nauczył się mówić kilkoma językami, wygimnastykował umysł, nabył takiéj zręczności i układności, że gdy tylko chciał, potrafił najrozważniejszych nawet wywieść w pole i przychylnie dla siebie usposobić. Wędzidła religijne i moralne pozrywał, w Boga nie wierzył, a za jedyne prawo etyczne poczytywał siłę i własne zachcianki. A miał tych zachcianek sporo, gdyż pragnął, ażeby wszyscy i wszystko według jego woli się układali. W wyprawie wiedeńskiéj wziął udział i zaraz w pierwszém natarciu tak się odznaczył, iż zwrócił na siebie uwagę króla nie tém, żeby się karnością celował, bo przeciwko niéj zgrzeszył, ale tém, że się na niebezpieczeństwo rzucił z lwią odwagą. Miał on już po odniesioném zwycięstwie ułożony plan połączenia się z Węgrami i natarcia na Niemców; chciał plan ten osobiście królowi przedstawić, ale gdy go kasztelan Fredro do Sobieskiego nie dopuścił, zawrzał gniewem i okazał niebawem, że gotów działać na własną rękę. W nieszczęśliwéj bitwie pod Parkanami, gdy inni uciekali, i on uciekał także; ale na napomnienie, ażeby pozostał przy królu, odpowiedział wobec Jana III, że gdy króla zabiją, to Polacy wybiorą sobie innego, a gdy jego samego zabiją, to go nikt nie wskrzesi — i sunął daléj. Nie myślał on jednakże jeszcze wówczas opuszczać obozu polskiego, ale gdy zwierzchnik zwlókł odpowiedź na jego pytanie, czy może wrócić pod chorągiew, oddał się całkiem pomysłom swojéj fantazyi. W drugiéj, zwycięskiéj bitwie pod Parkanami już udziału nie wziął, a zebrawszy obfite łupy, o które zawsze nadzwyczaj chciwie się ubiegał, pociągnął do kraju. Na granicy Węgier i Polski stoczył w obronie swych łupów utarczkę z bandą rozbójników, herszta ich, żyda Wulfa, powiesił; a osiadłszy w swym majątku zaczął się rozglądać po sąsiedztwie, przedewszystkiém zaś postanowił afekt Krzysi Borowskiéj, narzeczonéj swego brata, który dostał się był do niewoli tureckiéj, ku sobie zwrócić i znacznym jéj posagiem fortunę swoję podeprzéć. Tak zręcznie i tak umiejętnie sprawą tą się zajął, że zjednał sobie ze wszystkiém i Krzysię i jéj matkę, a nawet jéj ojca-odludka, który rojąc plany reformy rzeczypospolitéj, nie rymujące z usposobieniem braci szlachty, za waryata był przez nią podawany. Przed matką i córką roztaczał swoje bogactwa, czém ujmował ich oczy i wyobraźnię, oraz znajomość świata i układność towarzyską, czém podbijał ich serca. Wobec ojca rozwijał poglądy jakby z głowy Borowskiego wyjęte, wykazując potrzebę uczynienia z ludu polskiego potęgi politycznéj, którąby można było przeciwstawić samolubnéj a niekarnéj szlachcie i tym sposobem dojść do utrwalenia rządu sil-

nego. I byłby osiągnął swój cel łatwo, bo już wszyscy uważali jego brata za przepadłego, a Krysia całą duszą lgnęła ku niemu, gdyby nie ta niesforna fantazya, która go unosiła niekiedy po za granice przez rozum wytknięte. Raz zachciało mu się wobec Borowskiego usprawiedliwić opryszków przez postawienie na równi ich grabieży z postępowaniem rycerzy na wojnie, a wyciągnięty przez swego rozmówcę na słowa, przyznał się, że w Boga nie wierzy i że za jedyne prawo uznaje siłę. Wtedy odludek, który nie był wprawdzie religiantem i ze świętych podżartowywał nawet potrosze, ale który wiarę w Opatrzność i w moc zasad moralnych uważał za fundament uspołecznienia, odnalazł w sobie duży zapas energii i nie tylko odprawił przewrotnego Abrahama ze swego zacisza, ale nadto powrócił do dawno opuszczonego dworu, gdzie żona z córką przebywały, postawił straż przed nim i nie dozwolił przestąpić wrót jego temu, co miał się niebawem z jego Krzysią małżeństwem połączyć. A gdy brat Abrahama, Rafał, potrafił uciec z niewoli i przybył do kraju, zakrzątnął się coprędzéj Borowski, by Krzysia wyszła za niego. Zakipiała wtedy krew w Kitaju i pobudziła do zerwania ze społeczeństwem uczciwém. Już on i dawniéj miał bandę z rozmaitych włóczęgów złożoną, z którą łotrował po Węgrzech; ale teraz ją zwiększył, werbując do niéj nawet szlachtę chodaczkową, i zaczął palić wsie i miasteczka, ażeby się zemścić na tych, co mu byli wstrętni, lub téż z łupów nagromadzić takie bogactwa, któreby mu starczyły na utrzymanie poważnéj siły zbrojnéj i zapewnienia sobie tym sposobem bezkarności. Wobec takiego szlacheckiego opryszka okazuje się w całéj smutnéj okazałości bezradność społeczeństwa i niemoc urzędu. Napróżno kasztelan Fredro zbiera szlachtę, by obmyśliła środki zapobieżenia dalszym pożogom i rabunkom; za środkami takiemi są ci jedynie, w sąsiedztwie których najbliższém zdarzyły się owe klęski; inni zaś daléj mieszkający nietylko o zebraniu siły zbrojnéj nie myślą, ale jeszcze przedrwiwają zbyt wielką płochliwość kasztelana. Gdy zaś przekonano się, że sprawcą nieszczęść jest Abraham Kitaj, to tylko mała garsteczka ludzi z różnych powodów, najczęściéj osobistych, nieprzyjaźnie względem niego usposobiona, myśli o pozbyciu się łotra i oddaniu go w ręce sprawiedliwości. Gdy wskutek zeznania samego króla o obrazie majestatu przez Abrahama został wyjęty z pod prawa ten, co praw nie szanował, wyrok pozostał tylko wyrokiem, z którego Kitaj się naigrawał. Ogół szlachty nie myślał o ściganiu brata szlachcica w obawie utraty swojéj złotéj wolności. Trzeba szczęśliwego wypadku na to, żeby Abraham został schwytany, gdy w zameczku granicznym podstępnie zdobytym, kapitan Mieczko, który z Kitajem oddawna miał na pieńku,

beczułki prochu zapalił. Związany i odstawiony do starosty sanockiego, który miał także złość do Kitaja za szpetne pokiereszowanie mu syna, już ma być stracony; ale tu się okazuje nieudolnosć w wymiarze kary. Skutkiem braku dozoru i niekarności służby zamkowéj, Abraham z więzienia wychodzi sobie swobodnie przy pomocy swéj bandy, a kat ścina głowę jakiegoś żyda... I na lat kilka milknie nawet wieść o Abrahamie. Nie próżnował on jednak. Udał się na Mołdawią i tam po swojemu politykę traktował. Gdy Sobieski odbywał wyprawę wołoską celem zdobycia tronu dla królewicza Jakóba, znalazł się Kitaj na tyłach wojska polskiego, hetmaniąc dobrze uzbrojonemu oddziałowi i nie zależąc od nikogo. Oddawał on niemałe usługi wojsku, gdyż dzielnie prażył Tatarów, ale też dbał i o swoje interesa, bo niemniéj dzielnie łupieżył. Zdawało się, że Kitaj chciał się owemi usługami zrehabilitować w oczach szlachty, boć to nie był rozbójnik zwyczajny, tylko szlachcic z gorącą fantazyą. Już król zwrócił uwagę na niego; już się Abraham zbliżał do króla, ale zawsze po swojemu z butą i obcesowo, gdy mu znów jak po zwycięstwie wiedeńskiém kasztelan Fredro stanął na zawadzie, powiadając mu, żeby odesłał swą asystencyą i wprzód się opowiedział komu należy, ażeby audyencyą u króla uzyskać. Niecierpliwy Abraham buchnął obraźliwą przymówką; nastąpił pojedynek; Kitaj zginął nie od miecza sprawiedliwości, ale z ręki tego, któremu młodzieńcem chciał żonę zbałamucić.

Taki-to okaz rozbujałego indywidualizmu i nieokiełznanéj swobody wysunął Kaczkowski na plan pierwszy swego utworu, ażeby uwydatnić ten najsilniejszy pierwiastek rozkładowy, jaki się we wnętrzu Rzeczypospolitéj znajdował. Wobec tego zgubnego pierwiastku inne z dobrych i wpływowych stają się obojętnemi, w działaniu swém nieskutecznemi. A jest ich niemało, bo powieściopisarz chciał wszechstronnie obraną przez siebie chwilę dziejową odmalować. Jest tu Sobieski „żołnierz nie mający sobie równego w swoim czasie, wódz znamienity a często nawet miewający pomysły natchnione, ale nieudolny mąż stanu, czasami zręczny w kabałach, ale nie posiadający ani umiejętności badania przyczyn, ani daru przewidywania odleglejszych wypadków, ani stałości w raz powziętych zapatrywaniach, do tego próżen wszelkiéj organizatorskiéj zdolności.“ Jest tu Borowski, człowiek z umysłem jasnym i głębokim, który widział dokładnie złe nurtujące w Rzeczypospolitéj i podawał zbawienne środki zapobieżenia mu, środki takie, jakie statyści wieku XVIII wygłosili następnie; ale będąc w poglądach swoich osamotnionym, ogłoszony za waryata, nie oddziaływał na ogół i tylko w rozmowach prywatnych opinie swoje wypowiadał. Jest tu i szlachcic rycerz,

Rafał Kitajgrodzki, który może być uważany za przedstawiciela młodzieży szlacheckiéj, bijącéj się dzielnie, nie myślącéj wiele, nie dbającéj o wygody, ale też nie pragnącéj żadnych zmian w ustroju Rzeczypospolitéj. Gdy za młodu trochę sobie krwi w walkach upuści, osiada na roli, gospodaruje i staje się potém podobnym do kasztelana Fredry, dobrego człowieka, dobrego sąsiada, powolnego królowi gdzie idzie o sprawy kraju, ale niegarnącego się ku niemu z własnéj chęci i o reformach nie myślącego. Jest tu jeszcze jeden młodzieniec szlachecki, należący do rodzaju domatorów, co lubią wygódki i chętniéj jeżdżą karetami niż wierzchem, co na wyprawy wojenne się nie kwapią, lubo ostatecznie do wojenki wstrętu wielkiego nie czują i gdy już koniecznie potrzeba, to się bić będą odważnie. Jego ojciec, starosta sanocki, lubi hulać i weselić się, a urzędu swego nie zbyt pilnować; gdy mu dokuczy podagra, sprasza dwunastu bernardynów i każe im śpiewać pieśni nabożne, a przytém pić wino, przekonany jest bowiem, że jak bernardyni naśpiewawszy się i nalawszy się winem, już chodzić nie będą mogli, to on wtedy wstanie i rzeźwo się rozrusza, jakby podagry nie miał nigdy. Jest i biskup i władyka, jest kapitan zameczku granicznego i kilku sług starych szlacheckich, są żydzi, jest i kozak; słowem jest taka obfitość osób i sytuacyi możliwych, że gdyby Kaczkowski chciał był wszystkie należycie rozwinąć treści wystarczyłoby mu na parę dużych tomów. Ale powieściopisarz wolał być zwięzłym, byle tém wydatniéj owa myśl dziejowa, ów smutny stan Rzeczypospolitéj z końca wieku XVII wystąpił na jaśnią. Pomylił się; gdyby był artystyczniéj swe zadanie rozwinął; gdyby był wprowadzone osoby i zdarzenia nie po kronikarsku zbywał, ale je malował naprawdę, toby wówczas myśl dziejowa, którą chciał wyrazić, daleko widoczniéj niż obecnie stanęła przed wyobraźnią i rozumem czytelnika, tak, że autor nie potrzebowałby w epilogu pisać do niéj komentarza. Komentarz-to dobry i rozumny, ale w utworze artystycznym mniéj właściwy.

Co się tyczy języka i stylu, to Kaczkowski ściśle wykonał to, co w krytyce Sienkiewicza jako wymagania postawił. Powiedział on tam słowa następne: „Mnie się zdaje, że odtwarzanie języka wieku w tekscie powieści nie tylko nie jest potrzebném, bo przecież dzisiejszym językiem można daleko dokładniéj opowiedzieć, jak się te rzeczy działy i wyglądały, niżeli niedostatecznie wyrobionym językiem dawniejszych wieków,— ale jest także zasadniczo niedopuszczalném, bo w takim razie powieść z tych wieków, które nie pozostawiły po sobie pomników językowych, byłaby niemożebną, kiedy tymczasem pewnie nikt nie zaprzeczy, iż może zjawić się pisarz, który doskonałą powieść napisze z czasów Bolesławowskich lub Ka-

zimierzowskich... Język współczesny wiekowi może w opowiadaniu tekstu tylko tam być użytym, gdzie ten tekst opowiada człowiek wiekowi współczesny. Natomiast koniecznością jest odtwarzać język wieku w dyalogach, o ile to jest możebném, bo inaczéj w prawdopodobieństwo tych dyalogów trudnoby było uwierzyć.“ Jest wprawdzie maleńka sprzeczność w argumentowaniu powieściopisarza, ale nie podnosząc jéj, należy stwierdzić fakt, że „Abraham Kitaj“ pisany jest wogóle językiem właściwym Kaczkowskiemu z bardzo rozważném użyciem archaistycznego zabarwienia, że rozmowy są charakterystyczne zarówno w języku jak i stylu; ale zarazem dodać, że w rozmowach tych tak samo pragnęlibyśmy widziéć więcéj barwności, jak w opowiadaniu zdarzeń więcéj artyzmu. Najnowsza powieść Kaczkowskiego historyczna odznacza się nadzwyczaj szerokim i wielostronnym poglądem na dzieje, podobnie jak ostatnia jego powieść społeczna „Graf Rak“ celowała głębokiém wniknięciem w stosunki spółczesne; ale zarówno jednéj jak i drugiéj zbrakło téj werwy i tego ożywienia, téj plastyki i tego artyzmu, jakiemi w pierwszych swoich Nieczujowskich opowiadaniach zdobył sobie autor sławę przebojem. Dawniéj był lepszym artystą niż myślicielem dziś lepszym myślicielem niż artystą.

P. Chmielowski.





ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Monumenta Poloniae historica. Pomniki dziejowe Polski, tom IV, wydany nakładem Akademii umiejętności w Krakowie, opracowany przez członków lwowskiéj komisyi hist. tejże akad. Lwów w komisie księgarni Gubrynowicza i Schmidta. 1884. 4°, 992 i VIII przedmowy.

Tom IV Monumentów tak ściśle związanych z imieniem ś. p. Bielowskiego, któremu świat naukowy zawdzięcza dwa pierwsze i wielką część trzeciego tomu, jest owocem prac komisyi histor. Lwowskiéj, któréj Akademia krakowska poruczyła dalsze prowadzenie dzieła, rozpoczętego przez Bielowskiego. Lwia część przypadła w tym tomie do opracowania d-rowi Kętrzyńskiemu, następcy Bielowskiego w dyrekturze zakładu IM. Ossolińskich, który też z trudnego zadania, jakiego się podjął, bardzo sumiennie się wywiązał. Wzorowe edycye źródeł, które tutaj po największéj części po raz pierwszy wychodzą w druku, krytyka tekstu, objaśnienia szczegółów tamże zawartych, szczęśliwa i trafna kombinacya z porównań użytych przy wydawnictwie kodeksów, wskazują nam w sumiennym wydawcy męża nadzwyczaj bystrego krytycyzmu, który wszelkie trudności jakiejkolwiek one są natury pokonywuje z pożytkiem dla nauki a pole jéj umie wzbogacać. Metodyczność, ścisłość i bystrość krytyczna są zaletami, które tu podnieść należy, tém bardziéj że z liczby 31 pomników w tym tomie wydanych, 25 i to najcenniejszych zawdzięczany jego opracowaniu.

Luźny tylko jest związek pomiędzy wydanymi pomnikami; wartość ich różnolita, to pewna wszakże, że co do drugiéj kwestyi, te żywoty świętych, patronów naszych, po największéj części tutaj reprezentowane, są utworem raczéj literackiéj aniżeli ścisło-historycznéj wartości. Są to legendy, cuda itp, próby pióra przeznaczone dla użytku

księży, dla zbudowania braci zakonnéj lub wiernych, lub w celach kanonizacyi tychże świętych spisywane, w których tedy rzadko tylko spotykamy jakąś ciekawą lub ważniejszą wzmiankę historyczną. Autor bowiem, po największéj części skromny zakonnik, cele etycznéj natury mając na oku, pomijał inne, które mu zresztą były bądź obce bądź nieznane. Nie wypływa stąd, aby źródła te były właśnie z tych powodów bez wszelkiéj wartości historycznéj—przeciwnie znajdujemy tam i wzmianki o monumentach dziejowych i tyle arcyciekawych szczegółów do życia wewnętrznego, do obyczajów i zwyczajów epoki piastowskiéj, tyle rysów skąd inąd nieznanych, że trud wydania tych pomników opłaca się sowicie dla nauki historyi.

Pierwszy pomnik „*De persecutione iudeorum Vratislaviensium*“ wiąże się jeszcze z III tomem Monumentów, a mianowicie z wydaną tamże relacyą o procesie prowadzonym przeciwko żydom Wrocławskim o profanacyą hostyi w 1453 r. P. K. wydaje inną relacyą cokolwiek odmienną w szczegółach od pierwszéj, a to z rękopisu bibl. Ossolińskich, w którym rzecz tę, pisaną niewątpliwie przez Polaka, odnalazł. Pominięty przez Arndta i przez Szląskich uczonych *krótki rocznik Trzebnicki*, a daléj *uwagi marginesowe Długosza* na jednym z kodeksów bibl. Zamojskich, będącym niegdyś własnością naszego historyka, uwagi polegające na źródłach dziś zaginionych, stanowią dalsze dwa numera. Nie małym przyczynkiem do historyi biskupów włocławskich są wydane w dalszym ciągu dwa *katalogi* tychże, pierwszy w heksametrach z końca XIV w., drugi obszerny z późnéj kopii z XVII w., znajdującéj się w jednym z kodeksów bibliot. ces. w Petersburgu. W dalszym ciągu idzie szereg wydanych przez p. K. Prussica; otwiera go *Chronica terrae Pr.*, wydawana już kilkakrotnie z odpisu Lelewela, uskutecznionego z kodeksu dziś zaginionego. Kronikę, uważaną nie bez słuszności jako źródło Annałów toruńskich, wydaje p. K. z całą sumiennością, ściśle zatrzymując ortografią Lelewelowską. *Zapiski Gołubskie* z początku XVI w. odkrył autor w archiwum kościelnym w Gołubiu i tu je po raz pierwszy wydaje. Następuje fragment *de magna strage*, kompletnie tu wydany, rzecz małéj wartości hist.; daleko większéj wagi jest *katalog biskupów Warmińskich* z kodeksu ks. Czartoryskich, z kontynuacyą doprowadzoną do 1625 r., mający do 1416 r. wspólne źródło z wydanym przez Wölkiego katalogiem. Po *katalogu mistrzów* z tegoż kodeksu idzie *liber mortuorum monasterii Pelplinensis*, podający arcyciekawe daty zejścia tak dostojników zakonu jakotéż wielu książąt, biskupów i innych dobrodziejów tamecznego klasztoru Cystersów, w całości wydany z zasobnym aparatem krytycznym. I następny pomnik po raz pierwszy głoszony drukiem a zawiera *liber mortuorum z klasztoru*

Kartuzów pod Gdańskiem, z odpisu Jerzego Schwengla—z którego pochodzi i następny pomnik, zawierający *spis opatów Oliwskich* do 1569 r. jakotéż i *fragmentum menologii Zukoviensis*, zawierający dwa skony książąt Pomorskich, tudzież wiążący się ściśle z tym pomnikiem *Series priorissarum et prepositorum Zukoviensium.*

Wydanie wszyskich tych Prussiców zawdzięczamy p. K. Ostatnie tylko dwa numera, które właściwie także do Prussiców jeszcze należą, zawdzięczamy opracowaniu p. Balzera. Jest to po raz pierwszy wydany *tractatulus contra cruciferos regni Polonie invasores* pióra Henryka Zbigniewa z Góry, studenta uniwersytetu krak., pisany w 1464 r. potwierdzający z jednéj strony jak ważną była sprawa krzyżacka, jak wielkiego miał zakon w tradycyi hist. sprzymierzeńca, a z drugiéj strony, jak w Polsce jéj ważność pojmowano, kiedy poświęcano téj kwestyi polityczną broszurę, a są ślady, że nie jest ona ostatnią. Z tego roku 1464 pochodzi i *mowa* anonima—oba dzieła sumiennie wydane przez uczonego docenta prawa polskiego na lwowskim uniwersytecie, z poparciem cytat z prawa kanonicznego i dzieł teologicznych.

Ważniejszy dział tego tomu, zawierającego, jak na wstępie referatu zaznaczono, żywoty świętych, rozpoczyna *legenda o świętym Wojciechu.* Jest to jeden z najdawniejszych pomników literatury historycznéj w Polsce. Autor, jak wydawca K. słusznie zaznacza korzysta przeważnie z t. z. Bruna, zna atoli i Kanaparyusza, oprócz tego ma rozdziały o charakterze legendowéj cudowności. Trafnie dowodzi p. K. że pomnik ten należy odnieść do wieku XII, i że on jest źródłem *Miraculów* tegoż świętego, których druk zaraz następuje. Na podstawie porównań dwóch druków i siedmiu innych kodeksów podaje nam p. K. wzorowy tekst cudów, zaznaczając, że mogły być napisane krótko przed 1295 rokiem, tj. przed koronacyą Przemysława, zaś po r. 1260, gdyż autor ich czerpie i z Wincentego „Vita St. Stanislai.“

Dalszy numer zawiera *Vita Minor St. Stanislai*, najdawniejszy i dotąd drukiem nie ogłoszony pomnik życia św. Stanisława, z kodeksu kapituły krak. (którego podobiznę wydał ks. kan. Polkowski) i jedénastu innych kodeksów lwowskich i krakowskich. Wydawca p. K. przekonywująco dowodzi, że napisał go Dominikanin krakowski około 1230 r. a chociaż tenże nieznał innych źródeł jak tylko Galla, Wincentego i tradycyi ustnéj, to jednakowoż podaje tak ciekawe uwagi do stosunków społecznych i prawnych téj odległéj epoki, że pomnik ten, źródło „Vitae majoris“ wraz z „Miraculami“ należy do najważniejszych wydanych w IV tomie Monumentów. Co do ostatnich (*Miracula*, 285—318) to wydał je p. K. z urzędowéj kopii, niestety bez po-

czątku i końca, jaką komisarz apostolski, minoryta Jakób z Velletri sporządzić kazał 1252 r., przeprowadzając inkwizycyą cudów ze świadków żyjących, którzy za przyczyną świętego od rozmaitych chorób uwolnieni zostali. Oryginał téj inkwizycyi odszuka się zapewne w archiwum Watykańskiém.

Vita major St. Stanislai jest według niezbicie uzasadnionego wywodu p. K. dziełem Wincentego Dominikanina, nie identycznego z Wincentym z Kielc, jak to dotychczas nawet i to ze stron bardzo poważnych sądzono. Wydawca wykazuje, że autor pisał rzecz na wezwanie biskupa Prandoty a korzystając z dwóch poprzednich prac (V. minor i Miracula) ukończył dzieło około 1260 roku jeszcze niewykończone i nieogładzone. Tekst Bandkiego, jak wykazał K., jest tylko skróceniem „Vitae majoris"—którą autor ogłasza drukiem, używając do ustalenia tekstu 14 rękopisów. Zawiera ona mnóstwo szczegółów skądinąd nieznanych o cudach św. Stanisława, rozwijających obraz kultury w XIII wieku i to po za granicami nawet ówczesnéj Polski. Objaśnienia tekstu źródłami dyplomatycznemi zasługują na jak najzupełniejsze uznanie.

Od tegoż wydawcy pochodzą jeszcze z większych żywotów, żywoty *Św. Kingi* i *Salomei*. Pierwszy na podstawie trzech rękopisów: pargaminowego Zamojskich z XV w., z Jagiellońskiéj bibl. XVI w. i klarysek krakowskich, który jest kopią rękopisu z 1401. Z porównania tych trzech kodeksów dochodzi autor do rezultatu, że trzeci rękopis stoi bliżéj oryginału zaginionego, aniżeli starsze co do wieku rękopisy pierwszy i drugi; daléj że żywot téj świętéj, jaki nam Długosz postawił, wskazuje, że historyk ten miał tekst bardziéj pokrewny oryginałowi zatraconemu aniżeli nawet tekst III będący kopią rękopisu z 1401 roku. Zgodzić się również należy z przekonywującemi wywodami wydawcy, że autorem „Vitae" był spowiednik klarysek ze Starego Sącza, franciszkanin, który czerpał z nieznanéj dziś kroniki węgierskiéj (a która to posłużyła za źródło kronice Marci z 1358 r.) i „vita major" św. Stanisława, a pisał rzecz po 1320 roku. Inny minoryta spisał około 1329 r. *cuda świętéj Kingi*. Liczne szczegóły, charakteryzujące życie ówczesne w Polsce, podnoszą pomnik żywota świętéj Kingi do rzędu najważniejszego ze wszystkich ogłoszonych w IV tomie Monumentów.

W dalszym ciągu spotykamy się z wydanym przez dra K. żywotem świętéj Salomei, królowéj Halickiéj, siostry Bolesława Wstydliwego, pisanym przez Stanisława franciszkanina około 1290 r. a więc jeszcze za życia świętéj Kingi, która zmarła w 1292 roku. Do ustalenia tekstu posłużyły dwa rękopisa starsze, wyżéj wspomniane, w których znajdujemy i żywot św. Kingi, jakotéż rękopis Ossolin-

skich, zawierający proces kanonizacyjny tejże świętéj (z 1663—65 r.). Mało tu szczegółów znajdujemy do jéj żywota cuda natomiast dostarczają dość szczegółów charakterystycznych do epoki z końca XIII wieku.

Do rzędu niewydanych pomników należą: *Mors et miracula beati Verneri episcopi Plocensis*, spisane przez Jana dziekana Płockiego około 1263 r. a może nieco późniéj, jak podnosi w swéj recenzyi Perlbach, około 1280. Tekst pochodzi z kodeksu Zamojskich (Legenda aurea Jacobi de Voragine) a czerpał stąd Długosz, który rzecz o śmierci błogosławionego niemal dosłownie wziął do swego dzieła. *Translatio St. Floriani* (755--62) w trzech tekstach z sześciu rękopisów XV w. nie ma téj historycznéj wagi, co pomnik poprzedni. Bardziéj interesującym jest pomnik „*de pincerna ducis Polonie* (Boleslai III) *a morte liberato*, tudzież rzecz *o cudach na grobie królowéj Jadwigi*, powtórnie tu wydana (po raz pierwszy w edycyi Piekosińskiego Cod. dipl. cathedr. Crac. II 448—450), których wszystkich pomników edycye zawdzięczamy niestrudzonemu pracownikowi panu Kętrzyńskiemu.

Żywot *Mojżesza Węgrzyna*, napisany przez Polikarpa, mnicha monasteru Peczerskiego pod Kijowem około 1231 r., w opracowaniu prof. Kałużniackiego, w tekście ruskim wraz z tłómaczeniem polskiém, dostarcza kilka nieznanych szczegółów do ostatnich lat panowania Bolesława Chrobrego, podanych tu w postaci legendarnéj; zresztą może być uważany za przyczynek do historyi obyczajów epoki w któréj autor rzecz swą pisał. Rolę Józefa w obec Putyfary, odgrywa tu Mojżesz w obec pewnéj pięknéj niewiasty polskiéj. Chętnie używane przez Kałużniackiego klamry prostokątne z powodu rozwiązania skróceń przy edycyi tekstów ruskich, odpadły tu z powodu braku tychże.

Objętością odznacza się i pomnik żywota *Świętéj Jadwigi* księżny, szląskiéj, ważny stąd, że odźwierciadla życie wewnętrzne, domowe, zwyczaje i obyczaje ludu Szląskiego, wydany starannie przez dra Semkowicza (501—653). Nieznany z imienia autor pisał ten żywot w latach 1278—1300 kreśląc najdrobniejsze szczegóły o cnotach świętéj, skąd poszło, że dzieło jego w celu zbudowania wiernych pisane, natchnęło nie jednego artystę do ilustracyi cudów i czynów miłosierdzia i pobożności świętéj. Wydawca zużytkował wydanie Stenzla, oparte na 6-ciu kodeksach, a liczbę ich dopełnił kodeksem Ostrowskich i korzystał nadto z odpisu (z nieznanego dziś kodeksu), który to odpis znajduje się dzisiaj w bibl. Ossolińskich. Lubo wydawca zarówno jak Stenzel za podstawę tekstu bierze kodeks Wrocławski kapitulny, znajdujemy jednakowoż w téj nowéj edycyi lepsze lekcye aniżeli u Stenzla. Mniejszą wartość od żywota św. Jadwigi po-

siada wydany również przez Semkowicza *żywot św. Anny*, żony Henryka Pobożnego, z jedynego kodeksu Wrocławskiego.

Pomniki zakończa *żywot świętego Jacka* w edycyi prof. Ćwiklińskiego. Błędna kopia z niekoniecznie dobrego kodeksu Chigiańskiego stanowi tekst tego żywota. Jakie trudności powstały stąd przy edycyi pojmie łatwo każdy, kto się raz ustaleniem tekstu zajmował. Niepodobna wyjść z labiryntu hipotez, przypuszczenia cisną się na myśl i wypierają inne przedtem powzięte i miane już za prawdopodobne. Zresztą i sam żywot, skreślony ręką Stanisława Dominikanina krakowskiego po 1352 r. w téj postaci, jak go mamy w rękopisie Chigiańskim, wygląda na dzieło tak liche i niedokładne, że należało chyba oczekiwać wierniejszéj kopii oryginału który dziś za zaginiony uważać należy, lub co już najmniéj, postarać się o dobre skolacyonowanie kopii Chigiańskiego kodeksu, gdyż odpisu, jaki wydawcy posłużył za tekst, niepodobna uważać jako skolacyonowany.

Oto krótka treść prawdziwie monumentalnego dzieła. Zdawszy zeń w ogólnych rysach sprawę, ciśnie się nam pod pióro słówko na zakończenie. Dwa lata mijają odkąd tom ten olbrzymi w rozmiarach, zaopatrzony w indeks stanowiący dla się odrębną całość, opuścił pracę i jest w handlu w komisie księgarni Gubrynowicza i Schmidta. A są to *monumenta Sacra Poloniae*, powinny być przeto w ręku przewielebnego duchowieństwa, przedewszystkiém kapituł, seminaryów, bibliotek klasztornych, kapitulnych, a jednakowoż komisanci uskarżają się, że dzieło zalega w magazynach tudzież na półkach księgarskich. Może winna temu cena 15 zł. za tom, a może i obojętność dla Monumentów. W każdym razie, odezwa komitetu redakcyjnego nie powinna napotkać na chłód, jakiego doznaje dzieło samo w handlu księgarskim. Odezwa ta, pomieszczona w przedmowie, dotyczy dalszéj przyszłości dzieła. Na tom V materyał już przygotowany i druk kroniki Bernardyńskiéj Jana Komorowskiego, obejmującéj 25 arkuszy druku, (edycyą przygotował prof. Liske) jest już ukończony, ale dla dalszych tomów proszą komitetowi o pomoc w podawaniu wiadomości o dawnych rękopisach, o materyałach kryjących się po bibliotekach kapitulnych i klasztornych, po strychach nieraz dawnych kościołów itp. a zawierających nieraz bardzo cenny i zupełnie nieznany materyał historyczny. Oby ta odezwa znalazła jak najszerszy odgłos, a miejmy nadzieję, że owocem jéj będzie niejeden jeszcze pomnik w dalszych tomach Monumentów.

Dr. A. Prochaska.

= **Saturnin Kwiatkowski: Jan Giskra z Brandysu.** *Rys biograficzny z 15 w. We Lwowie 1886.* Pomiędzy najemnikami czeskimi, którzy w niespokojnych czasach 15 w. na wschodzie Europy odgrywają taką samą rolę, jak Szwajcarowie na zachodzie, służąc za pieniądze różnym panom i sprawom, zajmuje znakomity wódz i dzielny partyzant Jan Giskra z Brandysu najwybitniejsze miejsce. Znana ta i ciekawa wielce postać, mająca znaczenie zarówno dla dziejów czeskich i austryackich, jak węgierskich i polskich, znalazła w p. Kwiatkowskim skrzętnego i pracowitego biografa. O urodzeniu i pochodzeniu jego, o młodości i pierwszych latach służby wojennéj, nie wiemy zgoła nic pewnego; dopiero po śmierci Albrechta II Habsburga († 1439) występuje na szerszą widownią. Jak pierwéj temu, służy on teraz wiernie wdowie jego Elżbiecie, która w imieniu syna swego Władysława Pogrobowca broni praw do węgierskiéj korony przeciw Władysławowi Warneńczykowi, królowi polskiemu, i jego stronnictwu. Stoi on od samego początku sporu, oddany zupełnie, przy partyi habsburskiéj i jest jéj najdzielniejszym rzecznikiem na Węgrzech, a nie zdradza jéj nawet wtedy, gdy pojmuje za żonę siostrzenicę biskupa jagierskiego, gorącego stronnika Warneńczyka. I po klęsce warneńskiéj jest Giskra, jako generalny starosta Pogrobowca, główną podporą rakuskiego stronnictwa, a siedząc na hrabstwie saroskiem i ziemi spiskiéj, silne zajmuje stanowisko w północnych Węgrzech. Po śmierci Władysława Pogrobowca (1457), rozpoczyna się ostatni epizod udzielnego panowania Giskry w tych stronach; wypełnia go pięcioletnia krwawa wojna, którą wiedzie król Maciej Korwin, wróg partyi rakuskiéj z całą energią, wziąwszy sobie za cel wypędzenie czeskich najemników z Węgier. W przewidywaniu niekorzystnego dla siebie końca téj walki z potężnym przeciwnikiem, stara się Giskra o pozyskanie Polski dla swych awanturniczych planów. Zjawia się mianowicie na sejmie Piotrkowskim 1458 i namawia króla do podniesienia praw swych do korony węgierskiéj, przyrzekając pomoc swoję, oraz zaprzyjaźnionych z sobą panów i miast węgierskich, a kiedy odmowną otrzymuje odpowiedź ofiaruje swe usługi w wojnie z zakonem. Nie wskórawszy na razie nic, wrócił w kilka tygodni znowu do Polski, udał się do Prus i jego to wpływowi na czeskich żołdaków, walczących po stronie zakonu udało się doprowadzić do ośmiomiesięcznego rozejmu. Na Węgrzech wrzała tymczasem walka daléj, lecz po upadku Spiżu i Sarosu nie udało się Giskrze utrzymać swego stanowiska, pogodził się z Maciejem i otrzymał prócz pieniężnego wynagrodzenia obszerne posiadłości we wschodnich Węgrzech. Odtąd znika on z widowni, nie wiedzieć nawet, gdzie i kiedy umarł. Słynny ten kondotier uważany za ojca zasady: wojna żywi wojnę,

na czele swych walecznych i dobrze wyćwiczonych weteranów husyckich, których wiódł zawsze do zwycięstw, niepospolitą uzyskał sławę u współczesnych. Ruchliwy, rzutny, spadający nagle na wroga,—ztąd prawdopodobnie nazwa „Iskra“,—hojny dla podwładnych, był bożyszczem swych żołnierzy. Był on jednak nie tylko dobrym wodzem, odznaczał się i talentem administracyjnym, oraz wzrokiem politycznym „który mu pozwalał patrzéć daléj niż na koniec miecza.“ Rozprawa p. Kwiatkowskiego jest pierwszą biografią, przedstawiającą całość życia i czynów wojowniczego tego czeskiego najemnika. Najdokładniejsze wyzyskanie wszelkich możliwie dostępnych źródeł, oraz jasne opowiadanie czynią to wyczerpujące studyum ciekawém i ważném zarówno dla dziejów Węgier jak Polski, choć z drugiéj strony przyznać trzeba, że przez to mozolne wyszukiwanie i zestawianie rozbitych czasem szczegółów, rzecz, jak na „rys biograficzny“ jest cokolwiek za ciężką. *F. Bostel.*

= **Stahlberger T.: Mickiewicz w Weimarze 1829 r.** *Kraków 1886.* Pobyt Mickiewicza w Weimarze i jego spotkanie się z Goethem jest niewątpliwie jednym z donioślejszych faktów w życiu naszego wieszcza, ztąd téż często był on przedmiotem opisów i komentarzy ze strony biografów zarówno Mickiewicza jak Goethego. Zdarzenie się dwu tych największych poetów XIX wieku, w uroczystéj chwili 80-éj rocznicy urodzin wielkiego autora „Fausta“ nadawało spotkaniu temu jeszcze poważniejszy nastrój i doniosłość. Ten téż epizod jest właśnie przedmiotem pracy p. Stahlbergera. Zebrał w niéj autor skrzętnie wszystkie najdrobniejsze wiadomości do tego faktu się odnoszące i złożył w jednę harmonijną i wdzięczną całość. Praca p. St. nie przynosi żadnych nowych i nieznanych szczegółów, napisana jednak wielce starannie i poprawnym językiem, stanowi pożądany przyczynek do literatury Mickiewiczowskiéj, jako akcentująca właśnie doniosłość owego głośnego spotkania dwu wieszczów, i wiernie a szczegółowo owę chwilę pobytu Mickiewicza w Weimarze przedstawiająca.

= **Poeyze Adama Mickiewicza**. *Wydanie zupełne w 4 tomach. Lwów, księgarnia polska, 1886* w 16-ce. Nowa ta edycya samych tylko poezyi wielkiego wieszcza nie posiada żadnych zalet pod względem krytycznym; ani co do tekstu, ani co do układu nie kierowano się w niéj jakiemikolwiek zasadami naukowemi; co wchodziło dotychczas w skład utworów poetyckich Mickiewicza, to oddrukowano bez dodania wprawdzie wielkich omyłek, ale téż i bez koniecznych sprostowań. W układzie rządzono się zupełną dowolnością rozpoczęto od „Pana Tadeusza“, który zajął tom pierwszy, najobszerniejszy (str. 403); mieszczą się tu objaśnienia samego poety i odmianki tekstu. Tom drugi (str. 303 i 2 karty nlb.) zawiera: 1) Sonety erotycz-

ne, 2) Sonety krymskie, 3) Ballady i romanse, 4) Tłomaczenia (Giaur, wiersze drobne, zdania i uwagi z Jakóba Boehme, Anioła Szlązaka i Saint-Martina). W tomie trzecim (str. 314 i 2 karty nlb.) wydrukowano „Grażynę“, „Konrada Wallenroda“ i cały szereg tak zwanych „wierszy różnych,“ zestawionych całkiem przypadkowo, bez cienia nawet myśli grupującéj. Tom czwarty wreszcie (str. 311 i 1 karta nlb.) obejmuje „Dziady“ naturalnie wraz z „Ustępem.“ Taki układ nie może mieć żadnego umiejętnego znaczenia. Wydawca też o takiém znaczeniu bynajmniéj nie marzył; chciał się ogółowi przysłużyć jaknajtańszém wydaniem poezyi Mickiewicza i zamiaru tego dokonał. Dał druk wyraźny, papier cienki wprawdzie, ale nie zły i naznaczył bardzo nizką cenę: za cztery tomy zł. reński 1 i centów 60. Teraz uprzystępnienie nabycia utworów Mickiewicza doszło już do téj miary, jaką mają podobne wydania u Niemców, Francuzów lub Anglików.

— **Spis przedmiotów** *zawartych w 80 tomach Przeglądu polskiego, zestawił Jarosław Pieniążek. Kraków 1886.*—Zbyteczną, a na tém miejscu chyba niewłaściwą byłoby rzeczą udowadniać pożyteczność tego rodzaju spisów i zestawień ułatwiających badaczom często długie i mozolne poszukiwania. Wymagać jednak musimy od prac w tym kierunku podejmowanych dokładności wszechstronnéj, jeżeli mają one rzetelną i prawdziwą przynieść korzyść badaczom. Zestawienia tego rodzaju są w swoim zakresie rodzajem bibliografii. Jeżeli w niéj dokładności i ścisłości niema, praca cała traci wartość. Wszak miał p. P. wzory podobnych zestawień d-ra Estreichera dla Biblioteki warszawskiéj oraz Tygodnika illustr., według których mógł zupełnie dokładnie i odpowiednio wszelkim naukowym wymogom uskutecznić swą pracę. W zestawieniu p. P. znajdujemy przedewszystkiém spis przedmiotu uskuteczniony alfabetycznie według nazwisk autorów. Metoda ta jest błędną, gdyż utrudnia zoryentowanie się w poszczególnych działach i materyach, których ugrupowanie najważniejszém jest w danym razie zadaniem. Nie znajdujemy daléj w dziale rozbiorów literackich wskazówek, jakie dzieła poddane są rozbiorowi, ale zaznaczono tylko ogólnikowo: „Przegląd literacki“ poczém odsyłacz do kilkudziesięciu stronic. Wierzymy, że w ten sposób przeprowadzone zestawienie zabrało nierównie mniéj czasu i pracy autorowi niż wyszczególnianie całego materyału, ale czy w obec tego warto było całą pracę podejmować, ośmielamy się wątpić. W podobny sposób przeprowadzone zestawienie żadnego oczywiście nie przynosi pożytku i szkoda tylko podjętéj zarówno pracy jak nakładu. Cena wreszcie 1 złr. za broszurkę o 62 str. poczytana być musi za wielce wygórowaną.



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Nareszcie! — Niezawodne skutki banku ratunkowego. — Czyny zachętą. — Sapieha i Potocki. — Skutki niezależności naszych umysłów i charakterów. — Zobowiązanie ogółu w „Gazecie Polskiej.“ — Powinność. — Wybryk p. Sg. — Głos nienawiści. — Projekt Politechniki w Warszawie.—Czy ona dziś na czasie? – Dawny wniosek hr. Rzyszczewskiego. Dyplomatyczne stosunki Łodzi z Warszawą. — Jeszcze pomnik Mickiewicza. — Dyktatura marszałka. — Pro domo sua. — Rozmowa ślepych o kolorach. — Francuskie miesięczniki jako najwyższy argument. — Co się komu należy.

Nareszcie!... Nareszcie w Poznaniu przystąpiono do zorganizowania obrony ziemi. 80-ciu obywateli założyło bank, którego celem będzie odpieranie kolonizacyjnych zamachów ks. Bismarcka. Kapitał zakładowy wynosić ma 3 miliony marek w 3 tysiącach akcyi, po 1000 marek każda. Kierunek instytucyi oddany został w ręce komisyi wykonawczéj, do któréj wybrano pp. Stanisława hr. Żółtowskiego, dr. Zygmunta Sułdrzyńskiego, dr. Witolda Skarzyńskiego, dr. Władysława Łebińskiego i kupca Wł. Jerzykiewicza.

Gdy wieść ta, istotnie pocieszająca, rozbiegła się po szerokim świecie, każda pierś polska, niezawiędła w troskach doli osobistéj, musiała poczuć ulgę niemałą!.. Nareszcie!... Uledz bez walki, bez wyprobowania wszelkich środków obrony, bez spełnienia obowiązku wobec przeszłości i przyszłości byłoby hańbą, byłoby świadectwem, że miłość bytu narodowego wygasła, że wartość społeczna rodaków naszych w Księstwie i w Prusach stała się niższą nawet od téj, jaką ma w opinii wrogów. Może bank nowy nie zdoła stać się skuteczną tamą od nawały marek, kolonistów i praw wyjątkowych, może przemoc pomimo wszelką obronę tryumf odniesie,—ale siła napastników osłabnie kiedyś, fale najazdu opadać będą, i jak szczyty drzew po potopie wychylać się zaczną szczątki życia, bytu, dążeń i nadziei polskich. Dla przyszłych pracowników apatya, niedbalstwo dziś byłyby najfatalniejszą tradycyą, drugim sejmem grodzieńskim. Chociażby nieudany opór daje rękojmię, że siły i uczucia jakieś są i działać

kiedyś zaczną, pozwala się spodziewać, że życie przetrwa niszczące wpływy gospodarki pruskiéj.

Miejmy nadzieję, że tylko pierwszy krok był trudny, że gdy raz siła napięta ujawniła się w czynie, daléj już tryskać będzie, nieustając, wciąż rosnącym potokiem. Każde dokonane usiłowanie wleje nową otuchę, obudzi zapał, zaświeci jako zachęta, przykład i przypomnienie obowiązku. Fakt założenia banku wywołał rzeczywiście natychmiast oznaki gorliwości. Jakiś przyjaciel „Kraju" petersburskiego, na pierwszą wieść o organizowaniu czynnéj obrony w Poznańskiém oświadczył, że z chwilą założenia banku ratunkowego gotów jest złożyć 10,000 marek na 10 akcyi, z oddaniem ich na własność towarzystwa pomocy naukowéj imienia d-ra Marcinkowskiego. „Kurjer Poznański" znowu za inicyatywą pani J. S. otworzył subskrypcyą na akcye wspólne, kupowane za pomocą drobnych składek. Akcye, w ten sposób nabyte, złożone zostaną w przyszłym banku bez procentów, jako fundusz „bratniéj pomocy" na ratowanie ziemi naszéj. W przeciągu dni kilku z nadesłanych składek utworzył się już fundusz, równy wartości kilku tysiąco-markowych akcyi. Podobno w Księstwie popierają „w pewnych kołach" gorąco myśl ustanowienia, za przykładem Czechów, *postu narodowego*, t. j. ograniczania się we wszystkich wydatkach przez jeden dzień w tygodniu, aby zaoszczędzone pieniądze złożyć w kasie „bratniéj pomocy." Ostatniego tego projektu nie można za gorąco poprzéć i pochwalić. Operacye banku mogą zawieść, ale wdrażanie się do oszczędności, zrzekanie się uciech i przyzwyczajeń na rzecz celów ogólnych z pewnością bez korzyści nie przeminie i w znacznéj części wynagrodzi szczerby, prawami pruskiemi poczynione w naszym organizmie. Ciągłe przypominanie sobie o obowiązkach społecznych zacieśni związek, łączący jednostki z ogółem i wzmoże siły tego ostatniego. Ludzie, co dla wyższéj myśli uwolnią się od jarzma nawyknień, co żyć będą w ciągłém ograniczaniu zachceń dla przyszłości narodu, potrafią wiele zrobić.

Według zapewnień gazet, dwaj magnaci galicyjscy, ks. Adam Sapieha i hr. Artur Potocki z Krzeszowic poprą czynnie poznańską instytucyą ratunkową. Obaj ci panowie mają olbrzymie środki materyalne, a o dobrych ich chęciach wątpić nie można. Obaj są zawsze *obecni*, gdy kraj potrzebuje pomocy, obaj dali dowody, że fortuny na cele publiczne nie żałują. Dla tego téż z udziału ich w téj sprawie rokować pomyślnie dla instytucyi można.

Celem banku będzie: dopomagać właścicielom ziemskim, których interesy są zachwiane; nabywać majątki z wolnéj ręki i na licytacyach; nareszcie skupione grunta odprzedawać z zyskiem jednemu

nabywcy, parcelować je, lub też nareszcie wydzierżawiać. Hasłem ma być: bronić nie osoby, lecz ziemię. Nie będziemy tu szczegółowo roztrząsać zasad, na jakich wsparto urządzenie banku, powinni to zrobić skrupulatnie znawcy, otaczając go od pierwszéj chwili gorliwą i rozważną opieką, udzielając nie tylko rad, lecz w razie potrzeby i bardziéj czynnéj pomocy, czy to przy opracowywaniu ustaw, czy przy wykonywaniu zadania. Zapewne dziś jeszcze plan pracy nie został ostatecznie nakreślony i z biegiem czasu i wypadków będzie na podstawie doświadczenia ulegał zmianom i ulepszeniom.

Wyrażono już obawę, która i nas niepokoi, że bank chociażby tak ściśle przystający do ustaw państwowych, jak płyn do naczynia, może być zamknięty i nawet zrujnowany, jeżeli będzie bruździł woli kanclerskiéj. Wobec tego przychodzi naturalnie na myśl, czy w razie zwiastuńczych oznak prześladowania, dla ratowania ziemi nie można by było znaleść innego organu niż zbiorowy i oficyalnie uznany komitet. Zdaje się, że nie, i to jedynie wskutek fatalnych wad kilkowiekowéj anarchii. Irlandczykami rządził przez tyle lat z wielką korzyścią dla narodu O'Connel, dziś w razie potrzeby powierzono by Parnellowi wszystkie siły, mienie zarówno, jak i usługi osobiste. My ani ufać, ani słuchać, ani iść karnie za przywódcą nie potrafimy. Gdyby wśród nas stanął już nie O'Connel, nie Parnell, nie Cavour, ale człowiek, którego charakter i umysł byłby ekstraktem przymiotów wszystkich mężów stanu, to i wtedy znosilibyśmy go cierpliwie, tylko przez bardzo jakiś krótki przeciąg czasu. Późniéj zaraz demokracya wniosłaby oskarżenie o wszystkie zbrodnie przewrotności, egoizmu, opowiadała by gorszące anegdoty, gdyby tylko jednego dnia był u dwu aż posiadaczów większéj własności; albo też arystokracya pozbawiła by go zaufania, gdyby głośniéj nieco wyznał, że zbawienie widzi w parcelacyi, lub coś podobnego. No, a prócz tego byłyby naturalnie tłumy niezadowolonych ze względów osobistych, opozycyonistów z zasady, lub z powodu chronicznie złego humoru, przy rozstrojonym żołądku i nacisku lichwiarzów; wielu by odpychał sposób układania włosów, lub uśmiech niedosyć pewny, a nie zabrakło by i takich, których irytuje wszelkie uznanie powszechne, szczególniéj jeżeli zaszczyconemu niém można zarzucić mylne poglądy na... nieśmiertelność duszy przypuśćmy. Fatalne rozgoryczenie, które odpycha ludzi, jak cząsteczki gazu, jest smutną chorobą, niszczącą nasz organizm narodowy nieustannie. Wielu ludzi żyjących, albo raczéj marniejących w pojedynczém szamotaniu się, uważa za coś szczególnie godnego uznania niepodporządkowanie swojéj osoby i woli pewnemu prądowi. Nieuleganie obcym wpływom, niezależność jakaś metafizyczna tylko przez słabe umysły uważaną być może

za zaletę, zasługę i zasadę w życiu; uganianie się za podobnemi marami, lub nawet nieleczenie się z zakorzenionych nałogów anarchii przynosi wielką szkodę społeczeństwu.

„Gazeta Polska“ powiedziała kiedyś poznańczykom: „Wy wypracujcie plan, my wszyscy spełnimy swoją powinność.“ Gazeta nie miała mandatu do przemawiania w imieniu ogółu, ale każdy, czytając te słowa, pragnął by się sprawdziły i chętnie powtórzyłby sam podobne zapewnienie. Pamiętajmyż wykonać owe zobowiązania. Niechaj ciągłe dowody przekonywają poznańczyków, że nie są odosobnieni. •Niechaj widok uczuć i dążeń solidarnych dodaje im otuchy i wytrwałości w ciężkich przejściach. Mamy wśród siebie ludzi bogatych, którzy w takiéj chwili o obowiązkach obywatelskich nie zapomną i pójdą za przykładem Sapiehy i Potockiego, ale udział kilku bogaczów nie zwalnia nikogo, od przyjęcia udziału w sprawie ogólnéj. To, że akcya kosztuje aż 1000 marek (500 rs.), nie może stanowić przeszkody dla tych, którzy tak dużéj sumy nie mają. Czego nie jest w stanie dać jeden, to potrafi zebrać dziesięciu lub stu. Trzeba tylko, aby ludzie energiczniejsi zakrzątnęli się koło tego. Na cele daleko mniéj ważne potrafiono organizować loterye, wieczorki i tym podobne sposoby zbierania większych sumek. Żaden stan wyłączonym być nie powinien, kto nie może dać rubla, niech da choć dziesiątkę. Powszechne przejęcie się sprawą nietylko pozwoli kupić poważną ilość akcyi, ale moralnie będzie miało tę dobrą stronę, że tylu ludziom pozwoli wziąć udział w życiu ogółu. Spełnijmy powinność!

Zdawało by się, że pierwszy akt solidarnéj pracy nad obroną bytu, który chociażby chybił głównego celu, przynieść musi korzyść moralną, powinien zostać powitany przez prasę polską sympatycznie. Przewidzieć skutków niepodobna, należy więc zapewnić usiłowaniom jak najwięcéj szans powodzenia, należy nie osłabiać siły rzutu. A jednak znalazło się pismo, znalazł się literat, który garść drwin i urągań rzucił na powitanie pracy narodowéj. Gdyby wszystkie pisma postąpiły w ten sposób, gdyby ginący poznańczycy usłyszeli tylko słowa zniechęcenia, czy nie doznali by boleści cięższéj niż po szyderstwach ks. Bismarcka, czy nie wpłynęło by to fatalnie na nasze stosunki wewnętrzne i tak już z przyczyn zewnętrznych coraz gorsze? Czytałem dwukrotnie artykuł p. Sg. (*Wędrowiec*, Nr. 42, „Z wędrówki“) i zrozumieć jego myśli przewodniéj nie zdołałem, o co mu chodzi— dowiedzieć się nie byłem w stanie. Po pierwszych słowach sądziłem, że autor ma jakiś własny plan, i dlatego ośmielił się tak drwiąco traktować usiłowania ludzi poważnych w sprawie poważnéj, aby zwrócić

uwagę na własny pomysł zbawczy. Tymczasem to tylko popis dowcipu, urąganie dla sprawienia sobie satysfakcyi, koncepty dla konceptów. Przy czarnéj kawie, wśród wesołéj rozmowy cygańsko-literackiéj takie banalne i tanie wymyślania szlachcie są bardzo niewinną rozrywką, trzeba jednak pamiętać, że tego, co się tam usłyszy, nie zawsze godzi się powtarzać, zwłaszcza gdy chodzi o rzeczy wielkiéj wagi. Zapewnianie, że lud jest jedyną siłą narodu, wydaje się widać p. Sg. nową prawdą jakąś i dlatego rzucił ją w oczy inicyatorom banku, a jednak czas już wielki po za formułkę tę, wytartą jak trojak saski, choć ćwierć kroku daléj zrobić. Spodziewać się należy, że to sykanie jednych ust nie osłabi ruchu, zrodzonego przez uczucie zdrowe; ale doprawdy smutek ogarnia, że nawet w takich doniosłych wypadkach nie możemy być wolni od wybryków rozkiełznanego warcholstwa.

Mówiąc o p. Sg., nie mogę pominąć innego jego wystąpienia w 40 numerze tegoż pisma. Tam znowu ofiarą padł dr. Henryk Nusbaum za to — mówiąc bez ogródek — że jest żydem. Wzrastający wciąż prąd antysemityzmu porywa coraz szersze koła; jak każda nienawiść jest ślepy, zrozumieć głosu rozsądku nie chce i w każdéj chwili gotów w błoto wdeptać przeciwników. Podnosić głos przeciw temu—stracona praca! Pytać, gdzie pędzicie, co za ziarna siejecie, kto owoce zbierać będzie — daremne wysiłki, spienione usta, tylko gniewne wykrzykniki wydawać mogą. Chociażby protest wyrwany został z piersi przez najczystszy w swém źródle ból obywatelski, rzucą zań w twarz obelgą przedajności. Pomimo to, potrzeba jakaś wewnętrzna każe nam mówić nieraz bez względu na to, o kogo chodzi, bez względu na osiągnięcie rezultatu, byle niesprawiedliwość nie została bez zaprzeczenia. Zresztą kiedyś przecie ochłoniemy z szału, wtedy niesłuchany dziś głos przemówi do tych, co się zajmą tępieniem narosłych chwastów. D-r Nusbaum w prospekcie „Głosu“ powiada, że ograniczanie żydów z powodu ich odmiennéj religii jest postępowaniem niewłaściwém i że on „zostanie żydem“, to jest nie ochrzci się, gdyż do tego przekonania go nie skłaniają, a pod naciskiem ustępować nie należy. „Gdybym—mówi on—w celu uzyskania lepszego o sobie sądu, lub dla osiągnięcia jakich praw i przywilejów zmienił wiarę — skłamałbym zasadzie.“ P. Sg. wkłada w usta d-ra N. taką apostrofę do żydów: pozostańcie żydami, niezależnie od religii, któréj ani idea (?), ani etyka nie jest tak wzniosłą jak religia i etyka chrześciańska. W „Głosie“ ani tych słów, ani podobnéj myśli niema; natomiast d-r N. twierdzi: „Tylko miłością, cnotą obywatelską, wywalczać sobie powinni żydzi uznanie i miłość. Nie zżymać się nam na niesprawiedliwość chwili obecnéj, ale *czynami zmusić*

przyszłość do sprawiedliwości, a istotnych zasług naszych owoce niech orzeźwią nasze przyszłe pokolenia"... „Rezygnacya milcząca, pobłażanie wspaniałomyślne, miłość szczytna, altruizm poświęcający się w stosunku do braci nieżydów — tą drogą jedynie żydzi zamkną usta krzykliwéj nienawiści — te winny być bodźce ich życia, godła ich działalności." Nie chcę się wdawać w ocenę, czy twierdzenia d-ra N. są słuszne, czy téż to tylko złudzenia. Ale pytam się każdego nieuprzedzonego człowieka, czy w przemówieniu tém jest co nieobywatelskiego, zasługującego na publiczne wyświecanie i urągowisko. Nienawiść rozbudzona ani ocenić, ani odczuć nie może, ona potrzebuje jedynie potępiać i pastwić się. Pan Sg. wyrzuca dr. N. „dmuchanie z wiatrem", wśród różnych omówień daje bardzo wyraźnie do zrozumienia, iż przyczyną nieprzyjmowania chrztu jest jedynie ta okoliczność, że katolicyzm stał się obecnie u nas złym interesem. Nawet antisemicie niewolno, choćby na chałaciarza, którego jedyném rzemiosłem jest oszustwo, rzucać insynuacyi nieuzasadnionych; tymczasem d-r N. jest pracownikiem, jest obywatelem i ma pewne zasługi. Stosunki staną się nie do zniesienia, uniemożliwią wszelką pracę, wszelkie zabranie głosu, jeżeli niechęć z tego lub innego względu i słabość do złośliwych konceptów pchać będzie do szyderstwa i stawiania ludzi pod pręgierzem.

Towarzystwo Popierania Przemysłu i Handlu nie rozpoczęło jeszcze powakacyjnych posiedzeń. Gazety jednak już doniosły, że natychmiast na pierwszych zebraniach rozpatrywany będzie projekt założenia w Warszawie szkoły politechnicznéj. Wniosek w téj sprawie został postawiony jeszcze w początkach r. b. i oddany pod rozpatrzenie komisyi, w skład któréj weszli pp. St. Przystański, M. Paszkowski, J. Dynowski, E. Diehl i W. Leppert. W dziejach instytucyi projekt ten jest wypadkiem doniosłym. Dobrze, odpowiednio do potrzeb miejscowych urządzona politechnika zmniejszy potrzebę uciekania się do pomocy zagranicy i wytworzy ognisko odpowiednie. Młodzież nie będzie opuszczała kraju, jadąc tam, gdzie naukę dają pośledniejszą, a wpływy działają fatalne. Komisya, złożona ze specyalistów, potrafi niewątpliwie urządzić rzecz jak należy, ośmielamy się jednak zwrócić uwagę na pewną okoliczność natury ogólniejszéj, nie technicznéj. Może by wypadało rozejrzéć się w dziejach innych szkół. Założyciele ich mieli zamiar popierać wiedzę, a tymczasem obecnie za własny grosz, ze stratą dotkliwą, popierać muszą zupełnie co innego. Chodzi więc o to, że gdy cel postawiony będzie inny, gdy wola, nie mająca siedziby w Towarzystwie Popierania P. i H. rządzić zacznie, czy korzyść krajowa, osiągnięta ze szkoły, odpowie włożonym nakładom? Czy w chwili obecnéj politechnika w War-

szawie może być tak dobrą, aby nie puścić téj młodzieży za granicę, która tam wiedzę techniczną czerpie. A czerpie ją wielka ilość, bo inżynierów mamy dużo. Nie występujemy wcale ani z radą, ani z żądaniem, zwracamy tylko uwagę na okoliczność, z którą w chwili obecnéj liczyć się trzeba. Zresztą p. St. Przystański będzie mógł lepiéj niż ktokolwiek inny poinformować komitet o stanie rzeczy.

Do tego samego zakresu czynności Towarzystwa, co starania o założenie Politechniki, należy wniosek Zygmunta hr. Rzyszczewskiego, przedstawiony na posiedzeniu sekcyi I-széj w d. 28 listopada 1885 roku. Przypominamy teraz o nim, gdyż rok niedługo dobiega, a dotąd żaden głos jeszcze nie powiadomił ogółu, jaki obrót wzięła sprawa. Projektodawca zwracał wtedy uwagę, że wiele młodzieży ze średniém i wyższém wykształceniem teoretyczném ciśnie się dziś na drogę praktyczną. W zajęciach, wymagających wyższéj wiedzy technicznéj, uczuwać się daje obecnie pewne przepełnienie; natomiast drugo- i trzeciorzędne stanowiska w zakładach przemysłowych zajmują cudzoziemcy, rzadko posiadający jakiekolwiek teoretyczne wykształcenie. Szkół, które by wydawały dobrych majstrów i podmajstrzych, nie ma w kraju prawie zupełnie, należy więc braki zastępować i potrzeby wypełniać przez przyjmowanie do fabryk na praktykantów młodzieży z pewném wykształceniem bądź ogólném, bądź fachowém. Dotąd robiło się to, ale luźnie, przy niesystematyczném jedynie poparciu ludzi dobréj woli, pomimo to jednak wyniknęły bardzo pomyślne rezultaty i wyrobiły się siły techniczne pierwszorzędnéj nieraz wartości. Ale taka robota bez planu nie odpowiada potrzebie. Według więc projektu hr. Rz., Towarzystwo Popierania Przemysłu i Handlu stać się powinno jak gdyby centralném biórem, pośredniczącém pomiędzy ofiarującymi miejsca i pragnącymi odbyć praktykę. Wniosek został przyjęty. Towarzystwo miało rozesłać do znaczniejszych fabryk w kraju okólnik, zawiadamiający o projekcie, tłómaczący potrzebę kształcenia praktykantów i żądający przysłania wykazu ilości miejsc, jak również powiadamiania w miarę, gdy się takowe otwierać będą, a także informacyi co do warunków przyjęcia. Poszukujący miejsc znowu powinni zgłaszać się do sekretarza towarzystwa, składać tam dowody wykształcenia i wszelkie wiadomości o zamiarach, środkach i warunkach. Bióro zarządu nie tylko daje poszukującym pracy wykaz wakujących miejsc, ale w razie potrzeby udziela rady, daje listy rekomendacyjne, korzysta ze stosunków i wpływu członków. Oddział warszawski miał się w tym względzie zwrócić do oddziałów łódzkiego i tomaszowskiego z prośbą o współdziałanie. Wniosek żądał, ażeby po zamknięciu roku Towarzystwo ogłosiło w pismach sprawozdanie

z czynności z tego zakresu z wymienieniem tych fabrykantów, którzy zgodzili się przyjmować i przyjęli w ciągu roku praktykantów, rekomendowanych przez oddział. Na tém się wiadomości pewne co do sprawy całéj kończą. Zapewne, zgodnie z ustawą, dopiero po zamknięciu roku bieżącego dowiemy się o stosunku żądających miejsc do ofiarujących takowe. Czyby jednak nie było możebném i właściwém, ażeby bióro Towarzystwa dawało znać przez pisma: ile i jakie miejsca są do obsadzenia; jacy fabrykanci odpowiedzieli na zapytanie, ilu nie odpowiedziało wcale? Tego rodzaju wiadomości byłyby bardzo pożądane dla pragnących dostać się na praktykę, a fabrykantom przypomniały by o obowiązku odpowiedzi na okólnik. O ile zdołaliśmy dowiedzieć się, Towarzystwo w lutym r. b. rozesłało około 300 okólników i dotąd odebrało bardzo niewielką ilość odpowiedzi, z których znaczna część odmównych. Pomimo to jednak ilość zażądań miejsc była mniejszą od zaofiarowań. Jeżeli to prawda, to może szkoda, że cała sprawa nie jest dosyć głośną, i może lepiéj byłoby nie czekać zamknięcia roku, lecz częściéj (przynajmniéj w razie, gdyby były miejsca do obsadzenia) zawiadamiać ogół o stanie rzeczy?

Oddziały łódzki i tomaszowski nie odpowiedziały dotąd na prośbę warszawskiego. Bardzo jest rzeczą zrozumiałą, że projekt hr. Rzyszczewskiego, dążący do wyrobienia miejscowych sił przemysłowych, mógł się niepodobać fabrykantom cudzoziemcom, ale w stosunkach międzypaństwowych nawet, przy bardzo chociażby nadwątlonéj przyjaźni obowiązuje grzeczność. Przecie łódzcy i tomaszowscy producenci nie chcą chyba uważać stosunków dyplomatycznych z Warszawą za zerwane? Tak przynajmniéj można sądzić z tego, że niektórzy z tamtejszych potentatów starają się, aby tu wiedziano o szpitalach, przez nich zakładanych, o szkołach technicznych, o kościołach, fundowanych dla innych wyznań i tak daléj. Dziwném jest, że z taką pochopnością do rzeczy nadzwyczajnych, do filantropii na wielką skalę nie idzie w parze współdziałanie z ogółem w rzeczach drobnych.

Jakieś nieprzychylne bóstwo musiało na caly wiek bieżący wystarać się dla nas o karę ciężkiego porodu wszelkich rzeczy użyteczności ogólnéj. Czy co zależy od nas jedynie, czy spoczywa w sferach wyższych, musi wprzód długo męczyć się w głowach projektodawców, w pismach, w przeróżnych instancyach zanim zdoła urzeczywistnić się. Wszystkiego musimy za długo wyczekiwać, od banku ratunkowego poczynając, a kończyć na tramwajach warszawskich. Dziwnie dramatyczne losy ścigają szczególniej projekt pomnika Mickiewicza. Nowe zebranie komitetu postawiło znowu spra-

wę na tym punkcie, na jakim stała ona w chwili ukończenia składek przed kilku laty. Ma być rozpisany nowy konkurs. Nie można jednak powiedzieć, że nie jesteśmy bliżsi końca, owszem, kołowanie nieustanne wśród naturalnych w takiéj sprawie trudności i sztucznych, wytworzonych przez niesforność przedstawicieli opinii, doprowadziło komitet do bardzo, według nas, szczęśliwéj myśli oddania całéj sprawy w energiczne ręce marszałka Zyblikiewicza. On postawi pomnik i prawdopodobnie postawi go lepiéj niż chwiejny komitet; dał już nieraz dowody, że krzyki choćby najdotkliwsze nie wykoleją go z obranéj drogi; ale z drugiéj strony nie przeszkadzajmy mu. Przyjdźmy z góry do mocnego przekonania, że to jest człowiek wyprobowanéj wartości obywatelskiéj, poważny, zasługujący na zaufanie i to przeświadczenie niech broni nas późniéj od popierania różnych protestów w sprawach, których nie znamy bliżéj i na których znać się nie możemy.

W 42 numerze „Przeglądu Tygodniowego", redaktor sam, lub téż któryś ze współpracowników wydrukował w „Echach" rozmowę swoję z „przyjacielem literatem", w któréj zawiera się dowodzenie, że dwa miesięczniki „Ateneum" i „Biblioteka Warszawska" są zbyt nudne, aby mogły być czytane. Przyjaciel literat wyznaje otwarcie na wstępie: „Ja sam wiem o Ateneum tyle tylko, że ma jakąś płową okładkę z rysunkiem kościołka i popiersia, a Biblioteka Warszawska nosi obłóczkę zieloną, jeśli się nie mylę" (omylił się, w tém nawet i red. Przeglądu go sprostowała). Przedstawiciel Przeglądu zaś utrzymuje, że to „wyborne miesięczniki." Zachodzi teraz pytanie, czy autor „Echa" sam czytał i widział pisma, o których mowa była, czy też nie? Jeżeli nie, to dysputa dwóch ludzi o przedmiocie nieznanym mogła być bardzo zajmującą, pełną wrażeń, ale nie nadaje się chyba do powtarzania drukiem, szczególniéj, jeżeli treść jéj dotyka bliźnich w sposób niebardzo pochwalny. Jeżeli zaś czytał, to uległszy słabości gawędzenia ze ślepym o kolorach, powinien był zwyciężyć i dowieść światłemu literatowi, że „miesięczniki są wyborne." Tymczasem przyjaciel zwyciężył i powołując się na tytuły artykułów i liczbę kartek zamknął autorowi z Przeglądu usta, przez co wszystkie wywody jego stały się zarzutami przeciwko omawianym pismom. Pomijając cudowność wypadku jasnowidzenia „przyjaciela literata" i dziwną chęć zgody jego przeciwnika, rozpatrzmy same zarzuty. „Te nasze poważne pisma oddają przysługę ludziom, nie mającym gdzie drukować prac swoich, ale nie czytającemu ogółowi", jako przykład wskazany jest artykuł p. Gostomskiego o Fauście. „Zginiesz, a nie odczytasz!"— upewnia przyjaciel, mający widocznie bardzo skromne pojęcie o zamiłowaniu swego interlokutora do lektury.

Prócz tego „takie nawet *dobre* rzeczy i *na czasie*, jak *Szkoły historyczne w Polsce* przez Wł. Smoleńskiego, lub *Kotlina Prypeci i błota Pińskie pod względem przyrodniczym*, kwalifikują się do czysto specyalnych pism.“ To wszystko poparte jest nieuniknionym w takich wypadkach argumentem: „Porównajno miesięczniki francuskie, niemieckie, angielskie z naszemi.“ Sądzę, że mamy prawo przypuszczać, iż literat warszawski, który ocenia „Ateneum“ i „Bibliotekę“ z okładki, powoływane na świadectwo pisma zagraniczne zna jedynie ze słyszenia; zresztą miesięczników francuskich, nadających się w tym razie do porównania, nie ma. Mniejsza z tém jednak, weźmy najpoczytniejsze wydawnictwo książkowe—dwutygodnik „Revue des deux Mondes“ i będziemy się nań powoływać. Dla czego artykuł o Fauście jest niewłaściwy? Nie z powodu wykonania, bo o tém niema mowy w „Echu“, nieodpowiedni więc jest chyba wybór treści i liczba stronnic. Nam się zdaje, że chyba więcéj jest warta praca o jednym z największych utworów europejskiéj literatury, niż rozprawy, pochwały, lub szykany wierszyków i nowelek współczesnych, które wyrastają i giną bez wpływu i śladu. W innych literaturach i społeczeństwach istnieją stowarzyszenia i pisma poświęcone studyom nad dziełami geniuszów, czyż by u nas jeden artykuł był już zbytecznym? W „Revue des deux Mondes“ znajdujemy artykuły: „Un poete franc-maçon devant le saint office au XVIII siecle“, stronnic 31, — „Le poète Grillparzer et Bethoven“, str. 29, — „L'art flamand et l'art italien au XV siecle“, str. 34 i w tym samym numerze artykuł o Heinem str. 13 i t. d. i t. d. (powołuję się na kilka zaledwie zeszytów, wziętych na chybił trafił z roku bieżącego i zeszłego). Dobry, ale za specyalny jest artykuł p. Smoleńskiego „Szkoły historyczne w Polsce.“ Czy jest choć jeden średnio nawet inteligentny polak, dla którego podobna treść byłaby niedostępną. Cytat z „Revue d. d. M.“ robić nie mogę, bo musiałbym $^1/_8$ część artykułów zacytować i to o rzeczach bardzo specyalnych, a przytém drukowały się tam kilkotomowe dzieła historyczne. Następnie, czy mniéj jest interesujący dla polskich czytelników artykuł p. Rehmana o błotach pińskich niż dla francuza bardzo długie opisy Normandyi p. Baudrillarda, studyum o obronie brzegów morskich (str. 36), lub (w tymże zeszycie) „Les mines et les mineurs“ (aż 47 str.).

Rozwodziliśmy się dla tego tak długo nad tym przedmiotem, aby dowodnie wykazać niesłuszność zarzutów, i oparłszy się na tém, przejść do zwrócenia uwagi na objaw ogólniejszéj natury, choć nas bezpośrednio dotyczący. Prąd potrzeb umysłowych i materyalnych, który literaturę robi coraz lżejszą, coraz bardziéj przystosowywaną do potrzeb nerwów, niż umysłu, coraz bardziéj starającą się odpo-

wiadać żądaniom czytelników, niż uczyć, nie jest pomyślnym w skutkach objawem społecznym. Do książek nawoływać trzeba i robić to należy. Pisma poważne, miesięczniki, nie zastąpią książki, ale w pewnym stopniu jednak mogą dodatnio dopełniać i prostować gorączkową fabrykacyą tygodników i gazet. Fakt, że „Ateneum“ i „Biblioteka“ z trudnością egzystować mogą, jest pokrewny zjawisku małego odbytu książek, nieraz niezależnie od ich dobroci. Przeciwko temu oddziaływać należy, budzić smak do rzeczy gruntowniejszych. Gdyby nawet pismo od czasu do czasu pomieściło pracę, kierując się jedynie tą pobudką, iż nigdzie indziéj ona miejsca nie znajdzie, to w tém zdrożnego nic niema i nie usprawiedliwia inteligencyi z zarzutu, że się trzyma zdala od pism poważniejszych. Boć przecie drukując rzeczy nie poczytne, robi się to nie dla osobistéj pociechy autora, lecz wskutek wartości saméj pracy dla społeczeństwa. Ktoś może znaleść artykuł nieodpowiedni dla niego, ale powinien rozumieć, że takowy przydać się może niejednemu pracownikowi nad daną gałęzią zjawisk. A przedewszystkiém powinna to rozumiéć prasa, która przecie wié dokładnie, że oba miesięczniki są prowadzone nie dla interesu wydawniczego, lecz z pobudek społecznych. To naturalnie nie wyjmuje ani „Ateneum“, ani „Biblioteki“ z pod kontroli, ale — mówiąc otwarcie — daje prawo do życzliwości i poparcia, boć to sprawa nie pana X. lub Y., lecz ogółu niejako. Nie o pochwały chodzi, lecz o zwracanie uwagi, o radę i krytykę. Tymczasem wzmianki doszukać się w pismach trudno, a gdy się nareszcie zjawia, nosi widocznie na sobie ślady pośpiechu, nas niczego nauczyć nie może, czytelników źle informuje i w końcu odstręcza od czytania poważniejszych rzeczy. Czy to słusznie?

Ludwik Straszewicz.



Wydawca, **W. Spasowicz.** — Redaktor, **Piotr Chmielowski.**

OGŁOSZENIE KONKURSU.

Stypendyum imienia Śniadeckich z fundacyi ś. p. Seweryna Gałęzowskiego, w kwocie 5000 franków rocznie ma być nadane z końcem roku bieżącego. O stypendyum to ubiegać się mogą docenci obu uniwersytetów krajowych, lub jednego z zagranicznych (ci ostatni z warunkiem dostatecznéj do wykładu biegłości w języku polskim). Gdy stypendyum to z ostatnich lat trzech przyznaném było kandydatom poświęcającym się naukom przyrodniczym, przeto, na mocy porozumienia między Radą administracyjną Szkoły Polskiéj w Paryżu a miejscowym komitetem wykonawczym, stypendyum następne ma być przyznane na rok jeden kandydatowi, oddającemu się naukom humanitarnym.

Do podań, które najdaléj po koniec Października b. r. wnosić należy do Akademii Umiejętności (Kraków, ulica Sławkowska) dołączyć należy:

1) Dowód, że kandydat jest docentem, jakiego przedmiotu, jak dawno, ilu miewał słuchaczy;

2) Prace naukowe bądź już drukiem ogłoszone, bądź w rękopiśmie będące;

3) Program studyów, które w ciągu roku przedsiębrać zamierza.

Po upływie pierwszego półrocza kandydat będzie obowiązany złożyć sprawę z prac naukowych, któremi zajmował się w tym czasie i usilność swoją w téj mierze w właściwy sposób udowodnić.—Sumę sobie przyznaną stypendysta odbierać będzie w ratach półrocznych z góry.

W Krakowie dnia 28 Września 1886 r.

Stanisław Tarnowski,
Sekretarz gen. Akad. Um.

SPROSTOWANIE.

W zeszycie październikowym „Ateneum“, na str. 13, w cytacie z „Fausta“ Göthego, zamiast:

Jak *zwinném* skrzydłem błogosławieństw krążą —

powinno być:

Jak *wonném* skrzydłem błogosławieństw krążą.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum"

w ciągu m. Października 1886 r.

---

1. **Badania nad dyssocyacyą dwutlenku azotu.** Przez *Edwarda* i *Władysława Natansonów* (odbitka z „Kosmosu"). Lwów. 1885, 8-o str. 27 i tablica litograf.
2. **Dalsze badania nad dyssocyacyą dwutlenku azotu.** Przez *Edwarda* i *Władysława Natansonów* (odb. z „Kosmosu"). Lwów, 1886, 8-o str. 18 i tablica litograf.
3. **Upominek** z uroczystości odsłonięcia i poświęcenia tablicy pamiątkowej ś. p. Władysława Ludwika Anczyca, odbytej w kościołku św. Salwatora na Zwierzyńcu pod Krakowem dnia 12 Czerwca 1886 r. — Kraków, 8-o, str. 47 (z dwoma rycinami)
4. **Die dramatisirte Geschichte Joseph's:** Żywot Józefów von Nicolaus Rej. Napisał *Dr. W. Nehring* (odbitka z „Archiv für Slavische Philologie" IX). 8-o, str. 53.
5. *Alfred Daniell.* **Zasady fizyki.** Podręcznik z 257 drzeworytami w tekście. Przełożył z upoważnienia autora podług najnowszego wydania angielskiego *J. J. Boguski.* Zesz. IV, (od str. 473 do 624) Warszawa, nakł. księgarni T. Paprockiego i S-ki, 8 o.
6. **Wszyscy za jednego!** Fraszka. Napisał *Włodzimierz Wysocki.* Wydanie trzecie. Kijów, nakł. księg. B. Koreywy, 1886, 8-o str. 61.
7. **Studyja Romańskie.** Część pierwsza: Łacińsko-romański wokalizm przez *Dr. Maksymiliana Kawczyńskiego.* Kraków, 1886, 8-o, str. 133.
8. *Oddział Warszawski Towarzystwa popierania przemysłu i handlu.* Sekcya II. **Sprawozdanie meteorologiczne** za miesiąc Lipiec 1886. r. Warszawa, str. 15.
9. **Obraz przemysłu** w kraju naszym wedle najnowszych źródeł urzędowych krytycznie opracował *Dr. fil. Jan Banzemer* (Odbitka ze „Słowa"). Warszawa, 1886, 4-to, str. 55.
10. Pisma *Michała Bałuckiego.* Tom V. **O kawał ziemi.** Powieść. Warszawa, nakł. S. Lewentala, 1886, 8-o, str. 326.
11. **Mirtala.** Powieść *Elizy Orzeszkowej.* (Z 15-tu ilustracyami Miłosza Kotarbińskiego). Warsz. nakł. S. Lewentala, 1886, 4-o. str. 155.
12. *Zenobiusz Drakuli.* **Domna Rozanda** dramat historyczny w pięciu aktach.—Kraków, Gebethner i sp. 1886, 8-o, str. 168.
13. **Obszczestwo ułuczszenja narodnawo truda...** Sbornik (1-j wypusk) izwleczenij iz otzywow... o cielach obszczestwa u. n. t., o zaniatjach raboczawo nasielenja i mierach moguszczych służyt' dla razwitja miestnawo narodnawo truda. 4-o str. 494 i XXVIII.
14. **Recherches sur l'organogénèse des hirudinèes** (Clepsine complanata Sav.) (avec 4 planches) par *Joseph Nusbaum* a Varsovie. Extrait des Archives Slaves de biologie. Paris, 1886, 8-o, str. 38.
15. **L'embryologie d'Oniscus murarius.** Par *Joseph Nusbaum* de Varsovie (Seperat-Abdruck aus dem „Zoologischen Anzeiger" N. 228, 1886). 8-o, str. 5.
16. **Matieriały k organogenii** nasiekomych i czerwiej. Rozprawa *Józefa Nusbauma.* napisana w języku rosyjskim w celu uzyskania stopnia magistra nauk zoolog. (z 8-iu tabl. rysunk.) Warsz, 1885, 8-o, str. 94.

Дозволено Цензурою, Варшава 21 Сентября 1886 г.